KTO BĘDZIE RZĄDZIŁ UKRAINĄ

Lista potencjalnych konkurentów Wołodymyra Zełenskiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 10/619 3–9 MARCA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Czy będą w Polsce kary za banderyzm

DLACZEGO BRYTYJSKI PARLAMENT BOI SIĘ ŚLEDZTWA W SPRAWIE GANGÓW IMIGRANTÓW PEDOFILÓW

Bestialstwo z nienawiści – polscy księża na celowniku bandytów

Trzeci? Drugi? A może...?

ROZMOWA Z KANDYDATEM NA PREZYDENTA SŁAWOMIREM MENTZENEM

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 43 500 egzemplarzy

eprasa.pl 1d5b8d

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

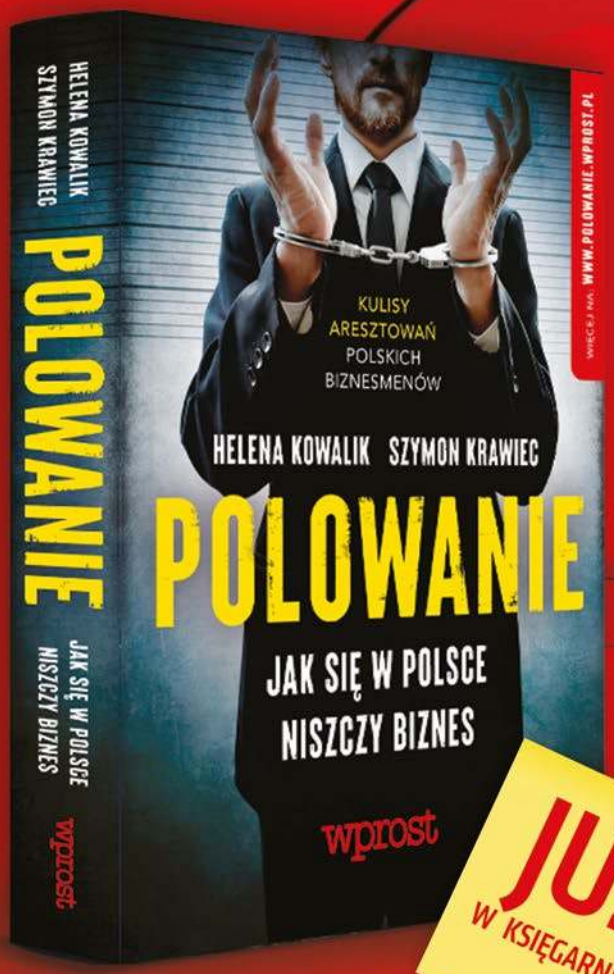

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 1d5b8d9732

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wielcy wygrani i przegrani

Gdyby próbować odpowiedzieć na pytanie zadane na okładce ostatniego numeru tygodnika „Do Rzeczy" – przypomnę: „Po co była ta wojna?" – w oparciu o ostatnie informacje, okazałoby się, że była ona po to, by USA mogły stać się głównym udziałowcem ukraińskich zasobów surowcowych, przynajmniej na tych terenach, których wcześniej nie zdobyła dla siebie Rosja. Wygląda na to, że w zamian za przyznanie Amerykanom prawa do wydobycia metali rzadkich Ukraińcy kupili sobie prawo… do dalszego posyłania własnych obywateli na śmierć. Taka ocena nie wydaje się przesadą.

Jak podają media za „Financial Times", w datowanej na 24 lutego 2025 r. umowie (cóż za ironia losu – jest to równo trzy lata po rosyjskim ataku) jest zapis o utworzeniu funduszu, do którego Ukraina miałaby wpłacać 50 proc. dochodów z eksploatacji państwowych zasobów mineralnych, w tym ropy naftowej i gazu. Fundusz inwestowałby zgromadzone środki w projekty na Ukrainie. Umowa ma nie obejmować obecnego wydobycia surowców przez państwowe przedsiębiorstwa Naftogaz lub Ukrnafta.

Nie jest jasne, czy Stany Zjednoczone faktycznie wycofały się z żądań dotyczących praw do 500 mld dol. potencjalnych przychodów z wykorzystania ukraińskich zasobów naturalnych. Co więcej, umowa „pomija jakiekolwiek odniesienie do gwarancji bezpieczeństwa USA, na które Kijów pierwotnie nalegał w zamian za zgodę na umowę" – stwierdził FT. Rzeczywiście, określenie „kiepski interes", jeśli chodzi o Kijów, wydaje się wyjątkowo oględne. Po trzech latach morderczej wojny Ukraina nie tylko straciła najprawdopodobniej ok. 20 proc. terytorium bezpośrednio na rzecz Rosji, nie tylko opuściły ją miliony ludzi, czy to uciekając na Zachód, czy też wybierając Wschód, lecz także dodatkowo wzięła sobie na kark wieloletnie zobowiązania w stosunku do swoich najbliższych sojuszników.

Dlaczego tak się stało? Odpowiedź jest zarazem prosta i brutalna: ponieważ Ukraina nie była się w stanie dorobić prawdziwych elit państwowych, kierujących się osobnym interesem narodowym. Zamiast tego jej klasa panująca dała się użyć, wbrew swoim intencjom, jako pionek w rozgrywce wielkich mocarstw. Nie wolno wtykać palców między drzwi i nie wolno dać się rozgrywać imperiom. Ukraińscy politycy dali się wykorzystać w wojnie zastępczej Rosji z USA, z której to – wszystko na to wskazuje – obie główne siły wychodzą z poważnymi zyskami.

Rosja poszerzyła swoje terytorium, zdobyła dodatkową ludność i zawładnęła najbardziej gospodarczo rozwiniętymi obszarami Ukrainy. Dzięki wojnie mogła też odbudować kulejący przemysł zbrojeniowy. Dodatkowym, ważnym elementem było pobudzenie ducha narodowego – była to pierwsza wojna rosyjska, a nie sowiecka. Te zyski okupione zostały wprawdzie stratami ludzkimi o trudnej do określenia skali, w całości jednak Moskwa może być zadowolona: jej główne cele strategiczne zostały zrealizowane.

Podobnie mogą być zadowolone Stany Zjednoczone. Wprawdzie nie udało się osiągnąć w pełni rzeczy najważniejszej, a więc wykrwawienia i rozbicia Rosji, jednak był to plan maksimum i mało kto, oprócz najbardziej zapiekłych globalistów, w niego wierzył. Zamiast tego USA zdobyły gigantyczne kontrakty zbrojeniowe, co na lata zapewnia całemu kompleksowi militarnemu ogromne zyski. Dodatkowo uzyskały dostęp do cennych surowców na Ukrainie i doprowadziły do powstania między Ukraińcami a Rosjanami śmiertelnej wrogości. Wreszcie, rzecz niebagatelna, na długie lata pozbyły się zagrożenia – inna sprawa, że raczej wydumanego – jakie mogłoby wyniknąć z bliskiej współpracy Rosji i Niemiec.

To, że największe straty poniosła Ukraina, nie ulega wątpliwości. Nie tylko nie zrealizowała żadnych celów, z którymi przystępowała do wojny w 2022 r. – nie ma mowy o przyjęciu do NATO, przyjęcie do UE jest mirażem – lecz także stała się de facto państwem upadłym. Ukraina odegrała w obecnej polityce dokładnie taką samą rolę, jaką Polska odgrywała w XIX w., kiedy to wzniecanie kolejnych powstań było zręcznie wykorzystywane przez naszych zachodnich przyjaciół. Rolą Polaków było systematyczne składanie daniny krwi, bo zawsze udawało się znaleźć odpowiednią liczbę ludzi o gorących głowach, którzy pchali resztę do klęski. Ta smutna funkcja pariasa była przykrywana zasłoną wielkich gestów i pustych frazesów.

Na tej wojnie na pewno, tak w sensie gospodarczym, jak prestiżowym, straciła Europa. A Polska? Polska odegrała przeznaczoną jej rolę naganiacza wojennego. Nieustannie wzywała Ukrainę do podejmowania wysiłku zbrojnego, wspierając zresztą Kijów ponad swój stan, oraz była najgłośniejszym krytykiem Rosji. Czy faktycznie przeznaczyła na pomoc Ukrainie 150 mld zł czy trochę więcej lub mniej – nie ma aż takiego znaczenia. Daliśmy wszystko, co się dało, po to, żeby swoje zyski mogli teraz zrealizować nasi amerykańscy sojusznicy. Umocniliśmy swoją pozycję wiernego wasala, który wciąż ma nadzieję na docenienie. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

TEMAT TYGODNIA

14 SŁAWOMIR MENTZEN
TO TRZASKOWSKI Z NAWROCKIM MAJĄ PROBLEM
Ze Sławomirem Mentzenem, kandydatem Konfederacji na prezydenta, prezesem partii Nowa Nadzieja, rozmawia Ryszard Gromadzki

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
TAJEMNICE TRUMPIZMU I POLSKA POLITYKA
Waszyngton z perspektywy Warszawy

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WOJNA TRUMPA: FRONT POLSKI

23 PAWEŁ ZDZIARSKI
CZY W POLSCE BĘDĄ KARY ZA BANDERYZM?

26 KRYSTIAN KRATIUK
SEKSEDUKACJA TAK! SPOWIEDŹ DZIECI NIE?

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
KSIĘŻA NA CELOWNIKU

30 RADOSŁAW WOJTAS
PRZESTĘPCZOŚĆ Z IMPORTU

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
OSCARY SUBIEKTYWNIE
Najlepsze filmy ubiegłego roku. Ranking prywatny

35 GRZEGORZ KONDRASIUK
CZECHOW BOJKOTOWANY POPRZEZ WYSTAWIANIE

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

40 ŁUKASZ WARZECHA
POLSKA FRAJEREM NARODÓW
Na pomoc Ukrainie i Ukraińcom wydaliśmy najwięcej

42 AGNIESZKA MARIANOWICZ-SZCZYGIEŁ
CZY BÓG NIE MA PŁCI?

45 ANNA MANDRELA
ZAMILCZANIE DYSKUSJI

46 OLIVIER BAULT
MIĘDZY OCHRONĄ A CENZURĄ

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
PROPOZYCJA WATYKANU

HISTORIA

50 JACEK KOMUDA
ANATOMIA UPADKU
Fragment najnowszej książki „Upadek. Jak straciliśmy Pierwszą Rzeczpospolitą"

54 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM MOLENDĄ
CZOŁGIEM DO SŁAWY

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃCY PRZED WYBOREM
Kto będzie nowym sługą narodu

61 JAN BOGATKO Z BERLINA
PRZEZ OKULARY ROSYJSKIE

64 ROBERT BOGDAŃSKI
STUDNIA HIPOKRYZJI I POLITYCZNE WAHADŁO

EKONOMIA

68 TOMASZ CUKIERNIK
CUDZE ZYSKI W POLSCE
Zagraniczne koncerny płacą podatki u siebie

72 JACEK PRZYBYLSKI
WOJNA O METALE RZADKIE

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (53), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 1d5b8d9732

TYGODNIK POLSKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Wojciech Olkuśnik/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Ofiara staje się katem", Andrzej Krzystyniak, „DRz" nr 7/2025

Szanowny Panie,
z ciekawością przeczytałam artykuł. Urodziłam się w 1953 r. w Chorzowie, w województwie stalinogrodzkim. To ówczesne komunistyczne władze zamieniły Katowice na Stalinogród. Polacy wtedy nie mieli nic do powiedzenia. Obarczanie Polaków przez „nacjonalistów" za krzywdy, których po 1945 r. doznali Ślązacy, mija się z prawdą. Głoszenie takich tez jest na rękę Niemcom: divide et impera – zawsze aktualne.

W 1945 r., gdy Armia Czerwona wkraczała do Małopolski, Rosjanie nam (moim Rodzicom) tak wtedy mówili: „Zdjes niczewo, no w Germani to my pagulja-jem". Nie było tam wtedy tak masowych gwałtów na kobietach jak potem na Śląsku. Opowiadano mi: w Rudzie Śląskiej ulicą szedł żołnierz rosyjski z konserwą mięsną w ręce. Naprzeciwko szła kobieta z kilkuletnim chłopcem za rękę. Rosjanin dał potrzymać puszkę chłopcu, wciągnął kobietę do bramy. Po chwili słychać było strzał, żołnierz wyszedł z bramy, wziął od chłopca puszkę i poszedł dalej. Zastrzelenia zgwałconych kobiet były nagminne...

Komendantem obozu Zgoda w Świętochłowicach był polski Żyd, sadysta, Samuel Morel (1919 Garbów–2007 Tel Awiw). Oskarżony po 2000 r. o zbrodnie przeciw ludzkości wyjechał wtedy do Izraela, do końca życia pobierał polską emeryturę, jako były pracownik Służby Więziennej [...].

Wraz z wkroczeniem wojsk niemieckich w 1939 r., a potem w 1944 r. wojsk rosyjskich Polacy nie byli żadną liczącą się stroną w wydarzeniach drugiej wojny światowej, pozostawały im bierny lub czynny opór oraz walka na różnych frontach.

[...] Jestem panu bardzo wdzięczna za zajęcie się śląską tematyką, raczej rzadko zamieszczaną w ogólnopolskiej prasie.

Łączę wyrazy szacunku
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Od autora

Bardzo dziękuję za ten list, będący świadectwem prawdy historycznej dla kłamliwej tezy o „polskich obozach koncentracyjnych" po 1945 r. Dziękuję za słowa poparcia.

Andrzej Krzystyniak

„Ci okropni myśliwi", Dariusz J. Gwiazdowicz, „DRz" nr 9/2025

Szanowna redakcjo!
Z zaciekawieniem przeczytałem artykuł Pana Profesora D.J. Gwiazdowicza o myśliwych. I chcę redakcji pogratulować odwagi w jego publikacji, dlatego że porusza on bardzo ważne sprawy dotyczące przyrody i jej wpływu na nasze środowisko, a także wszechobecnego hejtu na myśliwych prowadzonego przez ekoterrorystów z różnych organizacji pseudoekologicznych wyspecjalizowanych w wyłudzaniu pieniędzy od mało uświadomionych ludzi oraz sprzyjające im wydawnictwa i redakcje. Mamy wielu naukowców zajmujących się tą tematyką o ogromnej wiedzy popartej badaniami naukowymi i to ich głos powinien się liczyć w dyskusji, a nie widzimisię niemającego żadnej wiedzy w tym temacie jakiegoś tam wiceministra. Gratuluję i proszę o więcej takich merytorycznych artykułów.

Pozdrawiam
Marek Zdeb

eprasa.pl 1d5b8d9732

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nowa epoka fryderycjańska

PIOTR SEMKA

Wielu historyków twierdzi, że nowożytne Niemcy najskuteczniej ukształtował pruski król Fryderyk, zwany przez Niemców „Starym Frycem". Po ostatnich wyborach do Bundestagu niemal pewne jest, że nowym kanclerzem zostanie „Nowy Fryc" o nazwisku Merz. Zważywszy na to, że jego ojciec pochodził ze starej rodziny oficerskiej z przedwojennego Wrocławia, imię Friedrich mogło być wybrane z szacunku dla pruskiej tradycji.

Merz to lider zwycięskiego obozu CDU/CSU, który wygrał w ostatnich wyborach. Tuż za chadekami uplasowała się AfD, druga pod względem liczby deputowanych formacja w nowym Bundestagu. Ale Alternatywa w Republice Federalnej Niemiec otoczona jest anatemą i nikt z nią nie chce tworzyć rządu. Dzieje się tak mimo wyraźnej irytacji sporej części Niemców, którzy w Internecie otwarcie głoszą, że najchętniej widzieliby jako nowy rząd koalicję CDU/CSU z AfD. Nic jednak z tego. Friedrich Merz zaraz po wyborach zastrzegł, że z Alternatywą nie chce mieć nic wspólnego.

W tej sytuacji wraca koncepcja GroKo, czyli Grosse Koalition – wielkiej koalicji zwycięskich chadeków z mocno pokiereszowaną socjaldemokracją byłego kanclerza Olafa Scholza.

Właśnie z wielkimi fanfarami ogłoszono rozpoczęcie negocjacji koalicyjnych. Takie targi trwają za Odrą niemiłosiernie długo, a zapisy koalicyjne liczą setki stron. Nowa koalicja ma powstać ponoć najwcześniej po Wielkanocy. Zwykłych Niemców zalewa krew, bo gołym okiem widać, że RFN się sypie. Spada konkurencyjność niemieckich towarów, wobec nielegalnej imigracji władze są bezradne, a administracja jest skostniała i nienowoczesna. Zarówno chadecy, jak i socjaldemokraci mają w Bundestagu stosunkowo niewielką większość, ale wolą wspólne rządy niż dopraszanie partii Zielonych. To zafiksowane na Zielonym Ładzie ugrupowanie mało kto już lubi.

Politycy chadecji są zresztą tak pewni siebie, że już z góry chcą okiełznać apetyty SPD na tworzenie programu rządu. Podobno grożą, że w najgorszym wypadku stworzą rząd mniejszościowy, który będzie tolerowany przez AfD.

Czym Merz spróbuje przekonać do siebie Niemców? Na pewno rozpocznie powrót do energii atomowej oraz podobno ma obiecać porzucenie terminów wyłączenia z ruchu pojazdów spalinowych. Lewica już zaczyna kreować czarny wizerunek Friedricha Merza jako niemieckiego Trumpa. Z oburzeniem przyjmowane są plany chadeków, aby ograniczyć wszechwładzę niemieckich NGO-sów. Czy to jednak wystarczy, aby zatrzymać uwiąd RFN?

Hasło wielkiej koalicji budzi skojarzenia z zastojem epoki Angeli Merkel, która też gustowała w czarno-czerwonej koalicji. A skazana na ostracyzm Alternatywa dla Niemiec, obrażona tym, że znów się ją wpycha do kąta, wieszczy, iż jej czas prędzej czy później musi nadejść. Alice Weidel, liderka AfD, kolejna potomkini Prusaków ze Śląska, uspokaja swoich kolegów partyjnych, że Merz i Scholz wzajemnie się zaklinczują. Pożyjemy, zobaczymy. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

RUMUNI MAJĄ DOŚĆ. BĘDĄ STRZELAĆ DO ROSYJSKICH MASZYN

Rumuński parlament przyjął w ubiegłym tygodniu ustawę zezwalającą armii na zestrzeliwanie dronów nielegalnie naruszających rumuńską przestrzeń powietrzną. Zgodnie z nowym prawem bezzałogowe statki powietrzne mogą być „zniszczone, zneutralizowane lub przejęte", jeśli maszyny naruszą rumuńską granicę, będącą jednocześnie granicą z Unią Europejską i NATO. ***(jap)*** ©℗

NASZ AUTOR ODZNACZONY

Jan Bogatko (wł. Andrzej Iwicki) został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Orderem Odrodzenia Polski. To drugie pod względem starszeństwa polskie państwowe odznaczenie cywilne. W 1978 r. uzyskał azyl polityczny w RFN, gdzie przez wiele lat był dziennikarzem Radia Wolna Europa (ps. Jan Bogatko). Jest stałym korespondentem „Do Rzeczy" z Niemiec. Gratulujemy! ***(kg)*** ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

W minionym tygodniu nie tylko my doznaliśmy zdziwienia. A mianowicie TVN24 odpalił materiał, z którego wynikało, że osławione hasło ***** *** zostało wymyślone w Moskwie. Zdziwiło nas, że informację na ten temat odpala stacja z Wiertniczej, a nie TV Republika. Spytaliśmy zatem kilku ludzi związanych ze służbami, o co chodzi. Okazuje się, że orły kontrwywiadu cywilnego, które miały tę informację, nie podzieliły się nią ze swoimi ówczesnymi politycznymi zwierzchnikami ze Zjednoczonej Prawicy. To się nazywa apolityczność służb.

Ciekawe rozważania zza kulis. Otóż w relacjach polsko-amerykańskich pojawiła się interesująca kwestia: rząd techniczny PiS-Konfederacja-PSL wspierany przez Waszyngton, który ma dość warszawskiej słabości do Berlina. Czy to czysta fantastyka? Usłyszeliśmy, że to zależy. Od czego? Ano od tego, co się wydarzy w Rumunii.

Tłumaczymy, o co chodzi z Rumunią. Otóż wbrew ostrzeżeniom z Waszyngtonu tzw. Europa rozpieprza tam (w Rumunii, nie w Waszyngtonie) demokrację, odwołując wyniki wyborów prezydenckich po uważaniu, a ostatnio aresztując nawet antysystemowego kandydata Călina Georgescu. Słyszeliśmy, że jeśli demokrację w Rumunii uda się ocalić, to być może przyjdzie czas na porządki w Warszawie. Niestety, nie bardzo w to wierzymy. Nadzieje pokładane w odległych mocarstwach rzadko się spełniają.

Tymczasem gruchnęła wieść, że Radek Sikorski dogadał się z Andrzejem Sebastianem w kwestii ambasadorów. I Radek będzie zgodnie z procedurami najpierw pytał prezydenta Andrzeja Sebastiana o zdanie, a dopiero potem odwoływał i nominował. Nie to jest najciekawsze, ale plotka, że pierwszym nowym ambasadorem ma być sam Radek Sikorski, który chce wybrać się na placówkę do USA. Wtedy Klich, który tej placówki aktualnie pilnuje, mógłby wrócić do kraju. Wierzymy w tę plotkę. Radek dobrze radzi sobie w nieruchomościach, a w Waszyngtonie jest do opylenia gmach ambasady.

Jeszcze jeden smaczek. Nowa ambasada Polski w USA ma się mieścić w popadającym w ruinę gmachu należącym do Uniwersytetu Hopkinsa. A na remontach można zarobić więcej niż na budowie od fundamentów. Jeśli jeszcze dodamy, że we władzach Uniwersytetu Hopkinsa jest Anne Applebaum, prywatnie małżonka Radka, to chyba będziemy w domu. I oni też będą w domu.

Ocieplenie na linii Osoby Głowy Państwa i Osoby Radka Sikorskiego wywołało mieszane uczucia. W każdym razie wśród ambasadorów bezprawnie odwoływanych przez Radka. Jak napisał do nas jeden z nich: „No i na końcu Duda się na nas wypiął po tym, jak nas przez pół roku upokarzano". Wracając na chwilę do nieruchomości będących we władaniu MSZ: do opchnięcia jest kolejna posiadłość. A konkretnie chodzi o byłą siedzibę ambasady w Berlinie, w prestiżowej dzielnicy niemieckiej stolicy. Złe języki mówią, że kupiec już jest, który chce ją wziąć za bezcen, bo nosi liczne ślady użytkowania

Sport. Zły Donald z Sopotu wykopyrtnął się na nartach. „Na zwolnienie nie pójdę, chociaż pewnie niektórzy by chcieli" – ogłosił. Poznajemy nowe znaczenie słowa „niektórzy". Wedle sondażu Opinia24 dla RMF FM niezadowolonych z rządów Tuska jest już 57 proc. Polaków. Widzicie, w nowomowie „większość" to „niektórzy".

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

À propos Złego Donalda z Sopotu. Zaraz po tym, jak zepsuł Macronowi konferencję w Paryżu deklaracją, że Polska nie wyśle wojska na Ukrainę, dziwnym trafem wypłynęła informacja, że Francja zablokowała rozbudowę wojskowego rurociągu z paliwem dla armii NATO na tereny Polski. Zaiste, potężnym graczem jest Donald Z Sopotu, a jego osiągnięcia są jeszcze większe.

Sport, ciąg dalszy. Polska została mistrzem Europy. W piłce nożnej. Co prawda, tylko halowej. Ale i to wystarczy, by się cieszyć. Niestety, nikt się jakoś nie cieszy. W każdym razie publicznie. Podejrzewamy, że może to być związane z tym, że chodzi o piłkę halową księży. Minister do spraw sportu i opiłowywania katolików jakoś nie zaprosił do siebie zwycięskiej drużyny. Czyżby się bał, że się za niego pomodlą?

Znów sport. Nie sprawdziły się zapowiedzi, że nowym prezesem klubu piłkarskiego Śląsk Wrocław zostanie kumpel prezydenta Wrocławia, Jacka Sutryka, od kierowania ogrodem zoologicznym. Gdyż został nim gość, który już był w klubie i odpowiadał za komunikację. Słusznie. Jak to wszystko ostatecznie pieprznie, to ktoś musi o tym sprawnie zakomunikować. Dla niewiedzących: piłkarski Śląsk nadal dumnie okupuje ostatnie miejsce w Ekstraklasie, co obu panów G. jako urodzonych we Wrocławiu napawa smutkiem. Wychowywaliśmy się bowiem, próbując naśladować dryblingi Janusza Sybisa. Jeden z panów G. do dziś ma nawet bliznę na kolanie.

Z zapartym tchem czekamy na książkę „Rafał", czyli wywiad rzekę z kandydatem Rafałem Franciszkiem, przypadkowo ukazującą się półtora miesiąca przed wyborami prezydenckimi. Jeszcze bardziej czekamy na plakaty i billboardy, które będą ją promować, gdyż te, jak wiadomo, do limitu wydatków kampanijnych wliczać się nie będą. W sprawie zawartości książki będziemy raczej milczeć, by nie narazić się na zarzut szerzenia mowy nienawiści. A my wolimy miłość. Tak realizujemy myśl ulubionego autora Rafała, Edgara Morina: „Słowa miłości przechodzą w milczenia miłości". ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Przehajpowany

Staropolski obyczaj nakazuje, by, gdy kto umrze, do czasu pogrzebu mówić tylko o jego cnotach i zasługach albo się od mówienia o nim powstrzymać. Dlatego o kulcie, którym lewicowo-liberalne media i salony otaczały zmarłego niedawno Mariana Turskiego, piszę z pewnym opóźnieniem. Nie chcę ujmować szacunku należnego świadkowi straszliwych czasów, ale uczynienie go, tylko z racji tego, że był więźniem Auschwitz i przeżył, najwyższym autorytetem, a z tym wszystkim pałką do okładania politycznych wrogów jest zbyt charakterystyczne, by nie zaprotestować.

Rozumiem, że traumy wojenne Ocalonego mogą zdaniem wielu usprawiedliwić jego gorliwą służbę komunizmowi – ale nie czynią kariery stalinowskiego cenzora świetlaną. Rozumiem wdzięczność środowisk żydowskich za jego zasługi dla kultywowania ich dziedzictwa, a zwłaszcza dla muzeum Polin. Ale odkąd muzeum to wykorzystało rocznicę Marca '68 do upowszechniania kłamliwej propagandy, jakoby ów marzec trwał nadal, a PiS był kontynuacją PZPR, trudno oceniać je jako jednoznacznie dobre. A patronat Turskiego nad „stowarzyszeniem antyfaszystowskim Nigdy Więcej", paskudną jaczejką zajmującą się wyłącznie rzucaniem oszczerstw na Polskę i konkretnych Polaków, nie jest zasługą, lecz wręcz powodem do wstydu.

W kółko powtarzane z nabożeństwem cytaty: „To się nie może nigdy powtórzyć", „Nie bądź obojętny", a zwłaszcza „Auschwitz nie spadło z nieba", to przecież tylko pompatyczne banały, skoro nie szła za nimi najmniejsza nawet przenikliwość w dostrzeganiu mechanizmów totalitaryzmu i skłonności do etnicznych zbrodni, które, owszem, odradzają się, ale w innej formie i innych miejscach. A już powtarzanie tych banałów jak gdyby nigdy nic w cieniu realnego ludobójstwa, dokonywanego na oczach świata przez szowinistów żydowskich otwarcie nawołujących do mordowania nawet kobiet i dzieci, bo „w Gazie nie ma niewinnych Palestyńczyków", to rechot historii, a nie jej rozumienie. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Patrząc w mgłę

Człowiek kierujący państwem musi dla Ojczyzny doświadczać nawet najbardziej niekomfortowych sytuacji. To dobrze, że prezydent Duda próbuje szukać dla Polski drogi w rozpadającym się porządku międzynarodowym i europejskim.

Trudno natomiast usprawiedliwić całą politykę, która ziszczającą się obecnie perspektywę ignorowała. Mądre powiedzenie głosi, że rządzić znaczy przewidywać. Myśleć np. o tym, jak długo Ukraina jest w stanie prowadzić wojnę. Jak długo będzie pomagał jej Zachód? Jakie są granice jego zaangażowania?

Nic nie usprawiedliwia naszej tromtadracji z roku 2022. Po co była, złożona parę dni przed wybuchem wojny, deklaracja wicemarszałka Terleckiego w parlamencie w Kijowie, że „nie wyobrażamy sobie NATO bez Ukrainy"? Czy tak trudno doliczyć się, że 5 + 5 = 10, czyli że oprócz rytualnie przywoływanego artykułu piątego jest jeszcze artykuł dziesiąty, więc że każde znaczące państwo NATO może sprzeciwić się rozszerzeniu przymierza?

Po co zaraz po agresji rosyjskiej premier Morawiecki ogłaszał trzecią wojnę krymską („przywróciMY integralność terytorialną")? Czy nie wystarczyło stwierdzenie, że solidaryzujemy się z obroną niepodległości Ukrainy?

Po co było chwalenie się, że jesteśmy „reżyserem sankcji"? Tę listę można by długo ciągnąć.

Gdy wojska rosyjskie koncentrowały się na granicach Ukrainy, pisałem, że wojna przyniesie Polsce wiele szkód, ale jeśli wybuchnie, to trzeba „po prostu pozostać w zjednoczonym froncie Zachodu, ani nie wybiegając przed szereg (żądając »jeszcze większych« sankcji czy zgłaszając inne postulaty, których nikt nie zamierza podjąć), ani nie cofając się poza stanowisko państw decydujących". Ta prosta droga pozostawiłaby nam dziś więcej opcji. Wystarczyło trochę więcej narodowej odpowiedzialności i mniej geopolitycznej egzaltacji. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

O przepustkach antyfaszystowskich

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Giuseppe Cruciani to bardzo popularny dziennikarz radiowy, znany z dość zdecydowanych poglądów, alergii na progresistów i niewyparzonego języka.

Miał prezentować w Lodi swą najnowszą książkę „Przeciwko poprawności politycznej". Jednak lewicowe władze miasta przegłosowały rozporządzenie, z którego wynika, że każdy, kto chce wystąpić w miejscu publicznym lub w salach i pomieszczeniach należących do gminy Lodi, musi podpisać specjalną deklarację. Ma się w niej „odciąć od faszyzmu, zadeklarować, że nie dąży do osiągnięcia antydemokratycznych celów, które stawiała przed sobą partia faszystowska i nie zamierza obrażać demokracji, jej instytucji i wartości wyznawanych przez ruch oporu w czasie drugiej wojny światowej".

To dopiero pierwszy krok. Potem nad podpisaną deklaracją i petentem pochylą się członkowie specjalnej gminnej komisji weryfikacyjnej, w której przytłaczającą większość posiadają postępowcy, i podejmą niepodważalną, jedynie słuszną decyzję. W związku z tym, że dla włoskich lewicowców dziś faszystą jest każdy, kto nie wyznaje ich poglądów (z premier Meloni na czele), zapewne podanie organizatorów prezentacji książki Crucianiego o wynajem w tym celu sali publicznej zostanie odrzucone. Co więcej, Cruciani już wywrzeszczał w swojej audycji radiowej: „Wała im podpiszę! To mnie obraża!".

Przy okazji wyszło na jaw, że podobne zasady przyjęły postępowe władze miejskie Mediolanu, Padwy, Bergamo, Reggio Emilii i L'Aquili. Naturalnie w obronie demokracji. Słowem to lewicowcy decydują, kto jest faszystą, a kto nie. Można to wyłącznie tłumaczyć galopującym kretyństwem i ziejącą nienawiścią do myślących inaczej. Postępowym rajcom nie przyszło do skołowanych głów, że stosują arcyfaszystowskie metody do walki z rzekomym faszyzmem, którego nie ma.

Jedyne neofaszystowskie ugrupowanie we Włoszech – Forza Nuova – nie wystartowało w ostatnich wyborach, bo nie udało się mu zebrać 36 tys. głosów podpisów poparcia, czyli 0,007 proc. dorosłej populacji. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 1d5b8d9732

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

SCHABOSZCZAK ZAWSZE DOBRY

Są gusta i guściki i wbrew powszechnemu przekonaniu można o nich dyskutować. Refleksją na temat muzyki disco polo podzieliła się Małgorzata Ostrowska. – Jest za mało ambitnej muzyki. W tej chwili jest pogoń za słuchaczem, za słuchalnością, że często idzie się na bardzo duże kompromisy, jeśli chodzi o jakość muzyki, którą się puszcza [...]. Muzyka się bardzo zmieniła od moich czasów. Chciałabym coś ambitniejszego czasem posłuchać – wskazała. – Ogromny wpływ na to ma popularność muzyki discopolowej w naszym kraju. To nie jest dobry wpływ według mnie – dodała wokalistka. Ostrowska przekonuje, że disco polo to proste melodie i prześne teksty. – Prawdopodobnie komuś robię przykrość, no ale trudno, tak myślę – skwitowała w rozmowie z Pomponikiem. Ta opinia dotarła do jednej z największych gwiazd disco polo w kraju. Magdalena Narożna z zespołu Piękni i Młodzi stwierdziła, że nie każda muzyka pasuje do każdej okazji. – Zacznijmy myśleć innymi kryteriami. Muzyka jest po to, żeby bawić człowieka, żeby dawać upust różnym emocjom. Jeżeli masz ochotę popłakać, to włączysz sobie Céline Dion, jeśli chcesz się wykrzyczeć, to włączysz sobie jakiegoś konkretnego rocka. Jeżeli chcesz potańczyć, to włączasz disco i zapominasz o tym, co się dzieje w domu, o problemach. Nie wiem, po co te kryteria. Każdy człowiek zasługuje na to, żeby mieć odrobinę uczuć, które są w danym momencie potrzebne. Ja lubię makaron, ale też zjem czasem schabowego, prawda? – odparowała Ostrowskiej. No prawda.

FOT. ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS

BEZ ZMIAN

Prezenterka Anna Wendzikowska jakiś czas temu wyznała, że pracując dla programu śniadaniowego TVN, ona i inni doznali mobbingu. Teraz wróciła do tego tematu. Okazuje się, że osoba odpowiedzialna za wyrządzenie jej krzywdy nadal jest w branży. – Czy to jest model zarządzania strachem i konfliktem? To brzmi obrzydliwie – zagaił Piotr Kędzierski, współprowadzący podcast „Wojewódzki & Kędzierski". – Tak było. Było naprawdę słabo, te sytuacje były zgłaszane wcześniej. To była jedna osoba, kobieta, na którą ludzie się skarżyli do HR – odparła prezenterka. – Dzisiaj pracuje w programie śniadaniowym, w Polsacie. Już dzwonią do mnie ludzie, którzy tam pracują [...]. To jest straszne, jak o tym myślę. Usłyszałam: nie mów tego na głos, będziesz „niezatrudnialna" [...]. Ileś osób wylądowało w naprawdę trudnych sytuacjach, a osoba, która jest za to odpowiedzialna, spadła na cztery łapy i robi to dalej, w innym miejscu – kontynuowała Wendzikowska. Prezenterka potwierdziła, że chodzi o producentkę, co nie zdziwiło prowadzących. Czyli wszyscy wszystko wiedzą, ale nikt nic nie robi. A ludziom dalej dzieje się krzywda. To ta słynna solidarność zawodowa?

CZAS NA SPOKÓJ

Stali czytelnicy tej rubryki wiedzą, że podejście autorki do postaci Filipa Chajzera i jego wybryków jest – delikatnie ujmując – sceptyczne. Odbijając się od ściany do ściany, szuka swojego miejsca, wykonując przy okazji masę dziwnych ruchów. A to wszystko oczywiście relacjonuje na Instagramie. Każdy jednak kiedyś znajduje spokój ducha i być może właśnie przyszedł czas na Filipa. W jedną z ostatnich niedziel celebryta zamieścił na Facebooku nagranie sprzed Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie. Wyznał, że wiara w Boga odmieniła jego życie i pomogła wybrnąć z trudnych sytuacji. – Dzisiaj jest niedziela, a w niedzielę chodzi się do kościoła i bardzo to państwu polecam – zaczął nagranie Filip Chajzer. – Pamiętam, że w zeszłym roku znalazłem się w dosyć beznadziejnym momencie mojego życia. Nie mogłem się ruszyć w prawo, w lewo, każda decyzja była zła. Byłem oskarżany o straszne rzeczy. Bałem się wychodzić z domu. No muł i 10 metrów jeszcze pod mułem, nie? I pamiętam, że byłem w Toskanii, jakiś mały kościółek, mała wioska opuszczona przez Boga i świat. W tym kościółku powiedziałem, że ja już nie daję rady, że nie mam siły, że zawierzam wszystko tam na górze, i przez wstawiennictwo Matki Boskiej poprosiłem o pomoc, bo powiedziałem, że już sobie nie daję rady. Puszczam to i zostawiam prowadzenie Górze. Powiem Wam, że od tego momentu wszystko zmieniło się w moim życiu. Niedziela – kościół. Polecam – zwrócił się do fanów prezenter. Do polecenia można dołączyć. I cóż, pozostaje życzyć wytrwałości.

DUMNA EGOISTKA

Aktorka Kaja Paschalska dołączyła do grona kobiet, które chwalą się swoją bezdzietnością. Przekonuje, że w jej sytuacji to najlepsze możliwe rozwiązanie i niczego nie żałuje. – Jak wiele kobiet byłam zaprogramowana na to, że rodzina, mąż i dzieci to jest to ostateczne poczucie bezpieczeństwa, spełnienia, coś do odhaczenia, normalna kolej rzeczy. Były takie momenty w moim życiu, że bardzo chciałam mieć dzieci, ale dobrze, że nic z tego nie wyszło, bo trauma pokoleniowa ciągnęłaby się dalej – przyznała w wywiadzie dla magazynu „Wprost". – Wychodzę z założenia, że zanim podejmę się wychowania młodego człowieka, powinnam najpierw ogarnąć samą siebie. Moje życie ostatnio to nauka zdrowego egoizmu i budowanie poczucia własnej wartości – dodała 39-latka. „Zdrowy egoizm". Przynajmniej szczerze. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, za nami jeden z najgorszych grawitacyjnie uposażonych czwartków ever (wyjaśnienie: używamy takiej nazwy, iż „tłusty czwartek" jest fat shamingujący, może być obraźliwy i niektórzy mogą się poczuć przez tę nazwę źle).

Otósh wyobraźcie sobie, iż Nowy z Tarnowa postanowił do tematu podejść poważnie i w czwartek rano ze zdziwieniem zauważyliśmy rozwieszony nad całym open space'em wielki napis: TŁUSTY CZWARTEK 2025. Pomyśleliśmy, iż straszne festyniarstwo i siara, dobrze, że znajomi z zagranicy nie widzą. Nie to jednak było najgorsze, mimo iż było strasznie złe.

Jako iż Nowy w sytuacji uśmiechniętej Polski jeszcze mocniej osadził się w roli konserwatysty i jeszcze mocniej utożsamia się z dziedzictwem minionych pokoleń, to nie tylko nosi kontusz, a przy pasie ma przytroczoną (podobno serio istnieje takie słowo) tekturkową szablę. Zapuścił też rzadkie wąsy, dzięki którym mógłby wyglądać jak hipster, ale wygląda jak jakiś wczesnośredniowieczny sarmata, tylko chudszy, iż Nowy w ramach propagowania fashysmu bardzo dba o aktywność fizyczną.

Ale wracając do głównego wątku: Nowy postanowił podejść do grawitacyjnie uposażonego czwartku bardzo konserwatywnie i postanowił pełnymi garściami czerpać z tradycji. Skutkiem tego stół w naszej korpokuchni uginał się od takich przysmaków jak boczek, słonina, pączki z kaszanką czy bigos. Były też pączki bez nadzienia i nawet wyraziliśmy nadzieję, iż w końcu coś wege, ale okazało się, że były smażone na głębokim tłuszczu ze smalcu.

Of kors odmówiliśmy udziału w celebrowaniu tej okazji, iż poczuliśmy się urażeni ze względu na ten konserwatywny blast from the past, a przede wszystkim dlatego, iż zaproponowany poczęstunek nie uwzględnił naszej dietoróżnorodności, a jak dobrze wiecie, kiedy coś nie uwzględnia dowolnej różnorodności, to my nie jesteśmy zainteresowani.

W kontrze do tego, co proponował Nowy, postanowiliśmy wprowadzić własne świecko, obchodzone każdego dnia tygodnia, iżby było różnorodnie, z promocją różnego rodzaju diet wegetariańskich, iżby zachęcić do nich może i Nowego. Niestety, gdy się o tym dowiedział, rzucił w nas słoniną i kazał robić darmowe nadgodziny. W tej sytuacji postanowiliśmy się buntować wewnętrznie i okazywać umiarkowanie wyrażane niezadowolenie, iż wiecie – niedługo kończy się kwartał, premie będą, nie ma się co narażać.

Trochę też się obawiamy tego, co nadejdzie, iż już w sobotę będzie dzień waginoosób, który w polskiej tradycji jest celebrowany głównie przez osoby fallicznie uposażone. Dla mniej obytych w świecie czytelników wyjaśniamy: chodzi o to, iż mężczyźni świętują Dzień Kobiet (według ich wąsatego pojęcia, kim jest kobieta), piją przy tym dużo wódki i kupują waginoosobom takie uprzedmiatawiające prezenty jak np. pralki, zmywarki, rajstopy, kwiaty czy czekoladki.

Istnieją więc dwa scenariusze: w pierwszym Nowy tak pocelebruje w sobotę, że będzie go trzymało do poniedziałku i nie w głowie mu będzie dalsze imprezowanie, a co za tym idzie – obędzie się bez krępujących życzeń stygmatyzujących płciowo.

W drugim, znacznie gorszym, Nowy będzie pośrodku procesu celebrowania, a więc będą całowanie po rękach, wręczanie upominków, przemowy i wszystko to, czego w nowoczesnym społeczeństwie i nowoczesnym korpo nie wypada robić. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Zawsze patrzę w oczy

I jak było, Mateusz, w prokuraturze?
Ciężko, Mariusz, ciężko.
Ale wytrzymałem.

Bardzo bili?
Akurat bić, to nie bili.
Pewnie wyjątkowo.

To skąd masz takie limo pod okiem?
A nie, to po imprezie tydzień temu. Szedłem ulicą i latarnia mnie zaatakowała.
Wiesz, jak jest.

Ale nacisk psychiczny wywierali?
A żebyś wiedział. Siedzisz naprzeciwko prokuratora i on ci zadaje pytanie. I czeka na odpowiedź. Nie każdy by wytrzymał. Ja dałem radę.

Ale ty masz silną psychikę.
I zawsze patrzę w oczy, kiedy z kimś rozmawiam. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Coraz więcej wskazuje na to, że ekipa Trumpa to ekipa porąbańców i degeneratów".

TOMASZ LIS, *publicysta, na platformie X*

eprasa.pl 1d5b8d9732

WATYKAN USPOKAJA: PAPIEŻ CZUJE SIĘ LEPIEJ

Stan zdrowia papieża Franciszka uległ kolejnej poprawie. „Miał spokojną noc i odpoczywa" – oznajmił Watykan w oficjalnym komunikacie wydanym w piątkowy poranek.

Osiemdziesięcioośmioletni Ojciec Święty od 14 lutego przebywa w rzymskiej Poliklinice Gemelli. Początkowo został tam przewieziony z zapaleniem oskrzeli, które jednak przerodziło się w obustronne zapalenie płuc. Przez kilka dni jego stan był określany jako krytyczny. W czwartek 27 lutego Watykan uspokajał w komunikacie, że stan papieża Franciszka uległ poprawie, a dzięki zastosowaniu tlenoterapii wysokoprzepływowej Ojciec Święty „przechodzi ze stanu krytycznego do złożonego".

Od poniedziałku na placu św. Piotra codziennie o godz. 21 odbywa się modlitwa różańcowa o zdrowie papieża Franciszka. Na modlitwie każdego wieczoru gromadzą się tłumy wiernych. Wiele osób zapala również świece przed kliniką Gemelli. O zdrowie dla papieża Franciszka modlą się również wierni w różnych krajach, w tym we wszystkich kościołach w Polsce. ***(jap)*** ©℗

FOT. DYLAN MARTINEZ/REUTERS/FORUM

Ze Sławomirem Mentzenem, kandydatem Konfederacji na prezydenta, prezesem partii Nowa Nadzieja
rozmawia Ryszard Gromadzki

To Trzaskowski z Nawrockim mają problem

eprasa.pl 1d5b8d9732

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Co jest dla pana większym wyzwaniem: wejście do drugiej tury wyborów prezydenckich czy ewentualne finałowe starcie z Rafałem Trzaskowskim?

SŁAWOMIR MENTZEN: Myślę, że w moim przypadku trudniejsze jest wejście do drugiej tury niż ostateczne zwycięstwo wyborcze. Muszę przekonać jeszcze wielu Polaków, że niemożliwe nie istnieje. Moja obecność w drugiej turze wyborów prezydenckich byłaby największą zmianą w polskiej polityce od dobrych 20 lat. Wielu ludziom ciężko jest sobie taką zmianę wyobrazić. Ja widzę realną szansę na taki scenariusz, choć będzie to niezwykle trudne.

Koniecznym warunkiem wejścia przez pana do drugiej tury wyborów jest pokonanie Karola Nawrockiego i pozyskanie istotnej części jego wyborców, czyli przekonanie elektoratu PiS. Ma pan pomysł, jak tego dokonać?

Jestem dużo bardziej wiarygodny w kluczowych tematach, które zdominowały toczącą się kampanię wyborczą, takich jak sprzeciw wobec masowej imigracji, Zielonego Ładu, wysłaniu polskich wojsk na Ukrainę czy dalszej pomocy finansowej dla Ukrainy. W tych wszystkich sprawach Prawo i Sprawiedliwość w przeszłości niestety zawiodło swoich wyborców. Moja wiarygodność jest pierwszym powodem, który powinien przekonać do mnie wielu wyborców PiS.

Powód drugi jest taki, co potwierdzają sondaże, że w drugiej turze mam większe szanse na pokonanie Rafała Trzaskowskiego niż Karol Nawrocki. Uważam, że w interesie wyborców PiS jest to, aby prezydentem został ktokolwiek inny niż Rafał Trzaskowski, jakikolwiek przedstawiciel prawicy. Wszystko wskazuje na to, że gdyby do drugiej tury wszedł Karol Nawrocki, to głosy moich wyborców, mam ma myśli elektorat Konfederacji, mogłyby się podzielić. Jeśli w drugiej turze znalazłbym się ja, a nie Nawrocki, to żaden wyborca PiS nie poparłby przecież Trzaskowskiego.

Mówił pan o historycznej zmianie, która może dokonać się w polskiej polityce po wyborach prezydenckich. Nigdy wcześniej, od 1989 r., wybory głowy państwa nie odbywały się w sytuacji tak realnego zagrożenia naszego bytu państwowego i bezpieczeństwa Polaków. Niemcy właśnie rozpoczynają wdrażanie tzw. konwencji dublińskiej, czyli masowego wypychania do Polski migrantów z Azji i Afryki, a to przecież ledwie preludium do paktu migracyjnego. Za naszą wschodnią granicą ważą się losy wojny na Ukrainie. Jest realne ryzyko, że Polska zostanie uwikłana w ten konflikt, choćby angażując swoje wojska w bliżej nieokreślone działania na zapleczu frontu. Konfederacja od lat przestrzegała przed tymi zagrożeniami. Czy teraz może liczyć na polityczną rentę?

Zagrożenia, które pan wskazał, są realnym niebezpieczeństwem dla Polski, więc nie jest to dla mnie żaden powód do satysfakcji czy radości. Nie mogę się cieszyć, że Niemcy wpychają nam migrantów, prawdopodobnie za cichym przyzwoleniem rządu Tuska. Natomiast prawdą jest, że Polacy się z tego również nie cieszą, dlatego mogą wreszcie, po 20 latach, chcieć zagłosować na kogoś innego z nadzieją, że w końcu w Polsce coś się realnie zmieni.

Podczas niedawnej konwencji w Bełchatowie kilka razy powtarzał pan hasło „Ani jednego polskiego żołnierza na Ukrainie". Nie obawia się pan, że wbrew Polakom nasz rząd, za zgodą prezydenta Andrzeja Dudy, wyśle polskie wojsko na Ukrainę, nie bacząc na wszelkie wiążące się z tym ryzyko, kiedy tylko otrzyma „ofertę nie do odrzucenia" ze strony naszych sojuszników, choć w tym wypadku należałoby raczej powiedzieć pseudosojuszników?

Polska ma w tej sprawie jedną rzecz do załatwienia: nie dać się wciągnąć w tę wojnę. To jest nasz najważniejszy, najbardziej fundamentalny cel. Byłem kilka dni temu we Lwowie, na cmentarzu Łyczakowskim, widziałem mogiły polskich żołnierzy sprzed 100 lat, widziałem też świeże groby żołnierzy ukraińskich. Musimy zrobić wszystko żeby nie musiały powstawać nowe polskie cmentarze wojskowe. Zgodnie z polskim prawem nie da się wysłać polskich żołnierzy za granicę bez zgody prezydenta. Jeśli wygram wybory, to ja na pewno takiej zgody nie wydam. Żaden polski żołnierz nie trafi na Ukrainę.

W myśl jednej z koncepcji, o której mówi się w związku z negocjacjami dotyczącymi pokoju na Ukrainie, gdyby kraj ten nie osiągnął strategicznego celu w postaci członkostwa w NATO, powinien ponownie dysponować bronią nuklearną, co gwarantowałoby skuteczne odstraszanie Rosji. Co realizacja takiego wariantu oznaczałaby dla bezpieczeństwa Polski?

Nie jestem przekonany, że leżałoby to w interesie Polski i zwiększyłoby nasze

eprasa.pl 1d5b8d9732

bezpieczeństwo. Natomiast uważam, że dobrze byłoby, gdyby w ramach uzgodnień pokojowych niektóre państwa Europy Zachodniej, takie jak Francja, Wielka Brytania czy Szwecja, wysłały swoje siły na Ukrainę po to, żeby tam ustabilizować sytuację i zwiększyć prawdopodobieństwo, że nie dojdzie tam do nowej wojny.

Czy Polska powinna być objęta programem „Nuclear Sharing?"?

Nie przeceniałbym tego programu. Samo to, że Stany Zjednoczone mogłyby umieścić u nas broń jądrową, co do użycia której wszystkie decyzje należałyby wyłącznie do Waszyngtonu, w mojej ocenie niewiele by zmieniło, jeśli chodzi o nasze strategiczne położenie. Nie zwiększa to w istotny sposób bezpieczeństwa Polski.

Francja przy poparciu Niemiec i Wielkiej Brytanii chce włączyć się w gwarancje pokojowe dla Ukrainy. Prezydent Francji Macron mówi wręcz, że jego kraj mógłby wykorzystać arsenał nuklearny do zagwarantowania bezpieczeństwa Ukrainy i Europy. Europejska inicjatywa obronna jest w stanie skutecznie zrekompensować ewentualne wycofanie się USA z gwarancji bezpieczeństwa dla naszego kontynentu?

Prawdą jest, że Europa musi wreszcie dorosnąć, zrozumieć, że powinna dysponować własną siłą. Nie można cały czas liczyć, że ktoś inny, w tym wypadku Amerykanie, zawsze nas obroni. Europa powinna zacząć się zbroić. Problem w tym, że na razie Europa w zasadzie jest bezbronna. Nie liczy się obecnie pod względem militarnym. Ma bardzo słabe zdolności wojskowe. Niestety, Polska również. Jest czymś absolutnie niepojętym, że trzy lata po wybuchu wojny na Ukrainie nie byliśmy w stanie rozpocząć niezbędnych zbrojeń. Nadal nie powstają u nas fabryki broni czy amunicji. Amunicji artyleryjskiej mamy na trzy dni wojny, w wieloletnim zamówieniu, zamówiliśmy drony samobójcze w liczbie, którą Ukraina zużywa w dwa tygodnie.

Jest nie do uwierzenia, że polscy politycy doprowadzili do sytuacji, że trzy lata po wybuchu pełnoskalowej wojny, prawie 11 lat po agresji Rosji na Ukrainę, my wciąż nie dysponujemy siłami zbrojnymi o wystarczającej sile.

Jak skutecznie nadrobić stracony czas?

Straconego czasu oczywiście w całości nie da się nadrobić. Po pierwsze, należy ułatwić produkcję broni i amunicji w Polsce. Obowiązujące dziś przepisy w zasadzie uniemożliwiają wchodzenie w ten sektor prywatnego biznesu. To rzecz absolutnie niezrozumiała. Toczy się wojna. Zużywane są ogromne ilości broni i amunicji. Jest olbrzymi popyt na broń i amunicję, a w Polsce nie powstają nowe fabryki amunicji. Dlaczego? Bo sama biurokracja, konieczność uzyskania różnych zgód sprawiają, że od momentu decyzji do wybudowania fabryki upływa kilka lat na wypełnianiu papierków. To trzeba zmienić. Prywatni przedsiębiorcy zbudowaliby te fabryki już dawno i pełną parą produkowaliby broń i amunicję na zlecenie Wojska Polskiego. Uniemożliwiają im to przepisy. Sami sobie robimy krzywdę. Na własne życzenie ograniczamy własne zdolności wojskowe.

Potrzeba wielkiej deregulacji?

Tak, niezbędna jest wielka deregulacja w zakresie produkcji broni i amunicji, a także w sprawie dostępu do broni przez Polaków. Musimy być przygotowani na ewentualny konflikt. Musimy być na tyle silni, żeby nikomu do głowy nie przyszło nas zaatakować. Jeżeli będziemy mieli dużo broni, odpowiednie zapasy amunicji i silną armię, to Putin nas nie zaatakuje, bo się będzie bał.

Podczas wizyty we Lwowie apelował pan do władz Ukrainy o wycofanie się z kultu Bandery i ludobójców Polaków spod znaku OUN-UPA. W reakcji na ten apel mer Lwowa określił pana mianem „prorosyjskiego polityka z polskim paszportem", dodając, że należy sprawdzić, czy ma pan prawo wjazdu na teren Ukrainy. Jeszcze dalej posunął się znany ukraiński historyk i dziennikarz Wachtang Kipiani, który napisał w mediach społecznościowych, że „może panu załatwić powtórkę z Pierackiego", polskiego ministra spraw wewnętrznych zamordowanego przez ukraińskich nacjonalistów w 1934 r.

To zdumiewające, że ukraińską odpowiedzią na pokazanie przeze mnie prawdy na temat istniejącego tam kultu zbrodniarzy i morderców było grożenie mi śmiercią. W ten sposób ci ludzie raczej potwierdzili moje słowa. Mer Lwowa nie ma problemu z przyjmowaniem polskich pieniędzy, ale polskich polityków mówiących prawdę o Ukrainie już by na terytorium swojego państwa nie wpuszczał.

Wróćmy do spraw krajowych. Podczas konwencji w Bełchatowie mówił pan wiele razy o potrzebie przywrócenia zdrowego rozsądku, zdrowych reguł w polskim życiu publicznym. Myślę, że szczególnie brakuje ich w naszej gospodarce. Totalnie przeregulowanej, krępującej przedsiębiorczość Polaków. Jak uwolnić przedsiębiorców spod tego jarzma?

Trzeba pilnie wdrożyć wiele rozwiązań, takich jak „UE+0", czyli zakaz dobudowywania do ustaw implementujących dyrektywy unijne kolejnych ograniczeń. Obecnie jest tak, że kiedy Unia postanawia regulować kolejną gałąź naszego życia czy gospodarki, to Sejm dobudowuje do unijnych regulacji jeszcze nasze, polskie, co dodatkowo utrudnia życie przedsiębiorcom. Należy wprowadzić zasadę „dwa za jeden" albo nawet „trzy za jeden", zgodnie z którą jeśli ktoś proponuje nową regulację, to równocześnie musi wskazać trzy inne do likwidacji.

Poziom regulacji musi się zmniejszać, a nie zwiększać. W Polsce jest cały czas odwrotnie. Kolejne rządy mówią o potrzebie deregulacji, zapowiadają ułatwienia dla przedsiębiorców, a w tle tych zapowiedzi powstają tysiące stron nowych ustaw. Konieczny jest radykalny zwrot w kierunku deregulacji. Musimy przestać wprowadzać nowe przepisy, podatki, składki i opłaty i zacząć po kolei je likwidować.

Mówi pan, że chce nadać urzędowi prezydenta sprawczość poprzez wykorzystanie instrumentu, którym jest Rada Gabinetowa. Ten instrument jest przecież wpisany w system polityczny, ale w praktyce ma charakter atrapy, nie wzmacnia władzy prezydenta. Prezydent ma jednak do dyspozycji także inne narzędzia, może korzystać z inicjatywy ustawodawczej czy możliwości rozpisania referendum.

Owszem, prezydent może zaproponować referendum, ale za zgodą Senatu. I to jest pewien problem.

Znieśmy Senat...

To instytucja umocowana w konstytucji. Na braku zgody Senatu „przejechał się" prezydent Duda, kiedy wystąpił z inicjatywą referendum. Z tym trzeba uważać. Sądzę, że prawdziwym przełomem w polskim życiu politycznym może być wykorzystanie narzędzia, którym jest Rada Gabinetowa. Tak jak pierwszym przełomem byłoby moje zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Po 20 latach system PO-PiS w końcu może się załamać. Konsekwencją byłoby także załama-

eprasa.pl 1d5b8d9732

nie dotychczasowego systemu rządzenia. Teraz mamy taką dziwaczną formułę, że prezydent wybierany jest w wyborach powszechnych, a potem odgrywa rolę reprezentacyjną, rządzi premier. Można to urządzić inaczej. Regularne zwoływanie Rady Gabinetowej sprawiłoby, że byłbym w stałym kontakcie z ministrami i premierem. Na bieżąco mógłbym recenzować ich działania i od razu informować, że jeżeli w danej ustawie nie zostaną zawarte przepisy, które w mojej ocenie powinny się w niej znaleźć, to ja tej ustawy nie podpiszę. Dzięki temu prezydent zyskałby znacznie większy niż kiedykolwiek wpływ na proces legislacyjny, a tym samym na rządzenie państwem. Ośrodek władzy znalazłby się znacznie bliżej Pałacu Prezydenckiego.

Jednym z filarów pana programu, a także programu Politycznego Konfederacji jest tzw. reset konstytucyjny. Co kryje się pod tym hasłem?

Po pierwsze, wiele zapisów obecnej konstytucji należy przemyśleć na nowo, bo nie są dostosowane do współczesności. Po drugie, 10 lat temu Platforma Obywatelska rozpoczęła demontaż polskiego systemu prawnego poprzez wybranie sędziów Trybunału Konstytucyjnego „na zapas", a ten proces kontynuowało następnie Prawo i Sprawiedliwość. Zwieńczył to Donald Tusk, mówiąc o „demokracji walczącej", w której prawo może być łamane w imię przywrócenia praworządności. Tusk nie przestrzega wyroków Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego. Obie strony tego sporu walczą ze sobą kosztem Polski i Polaków. Potrzeba jednolitego systemu prawnego wynika ze zdrowego rozsądku. Stąd propozycja „resetu konstytucyjnego", czyli wymiany sędziów Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego i KRS za pomocą większości konstytucyjnej w Sejmie. Dzięki temu powinno udać się zakończyć ten 10-letni spór i przywrócić w Polsce realną praworządność.

Jak po ewentualnym wyborze na urząd prezydenta zamierza pan uchronić Polskę przed złowieszczymi skutkami Zielonego Ładu?

Po pierwsze, zablokowałbym ustawy implementujące w Polsce unijny plan, żeby uniemożliwić jego wprowadzenie do polskiego porządku prawnego. Z rzeczy, które trzeba zrobić w trybie pilnym – ale niestety nie jest to prerogatywa prezydenta, w tej sprawie musiałbym porozumieć się z rządem – trzeba przestać pobierać opłaty z tytułu systemu ETS, za emisję dwutlenku węgla, po to, żeby wreszcie spadły ceny energii w Polsce. Żeby znowu opłacało się produkować prąd w polskich elektrowniach.

Czy Polska powinna wycofać się z zamykania kopalni węgla kamiennego i brunatnego? Mamy ogromne zasoby tych surowców, które pozwoliłyby nam produkować tani prąd.

Problem w tym, że wydobycie węgla w polskich kopalniach jest bardzo drogie, co w dużym stopniu jest efektem obowiązujących regulacji. Unia Europejska wymusiła na nas za pomocą dyrektyw mnóstwo przepisów, które sprawiają, że wydobycie węgla jest niezwykle drogie. Dochodzą do tego jeszcze opłaty wynikające z systemu ETS. Cały ten nawis regulacyjny trzeba usunąć, wtedy cena polskiego węgla radykalnie spadnie i można będzie kontynuować wydobycie w naszych kopalniach i mieć w Polsce tanią energię.

Dziesięć lat temu PO rozpoczęła demontaż systemu prawnego poprzez wybranie sędziów Trybunału Konstytucyjnego „na zapas", a ten proces kontynuował PiS. Zwieńczył go Tusk, mówiąc o „demokracji walczącej"

Pana kampania przebiega na razie nadspodziewanie dobrze, co potwierdzają sondaże. Nie brakuje jednak analityków, którzy przestrzegają, że decydująca będzie jej ostatnia prosta. Przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. Konfederacja też długo świetnie trzymała się w sondażach, a później były tąpnięcie i mocno rozczarowujący wynik.

Bardzo chciałbym stanąć do debaty z Karolem Nawrockim czy Rafałem Trzaskowskim. Niestety, nie wydaje się, żeby oni byli zainteresowani taką debatą. Bardzo chciałbym dowiedzieć się, co ma do powiedzenia Karol Nawrocki np. na tematy gospodarcze, co w danym momencie będzie miał do przekazania Rafał Trzaskowski, co podsuną mu spin doktorzy, bo ten człowiek stale mówi coś innego, zaprzeczając sobie samemu. Udaje kogoś, kim nie jest. Podejrzewam, że to ci dwaj panowie będą mieli problem w takiej debacie z pokazaniem swojej wiarygodności.

Ma pan żal do Grzegorza Brauna, że zdecydował się na start w wyborach prezydenckich?

Na razie wydaje się, że mi to nie zaszkodziło, więc nie mam o co mieć do niego żalu.

Wygląda na to, że nawet jeśli nie wejdzie pan do drugiej tury wyborów, to już wykonał pan kawał dobrej roboty dla Konfederacji, co może zaprocentować w kolejnych wyborach parlamentarnych.

To oczywiste, że moje wyniki sondażowe podbijają notowania Konfederacji. Ale jest zdecydowanie za wcześnie, żeby odtrąbić sukces kampanii. Jako Konfederacja mieliśmy już przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi dwucyfrowe wyniki w sondażach, a skończyło się na 7 proc. poparcia. Żeby osiągnąć rzeczywisty sukces w wyborach, musimy na to z całym sztabem jeszcze ciężko zapracować. Trzeba mieć nadzieję, że będzie dobrze, ale jesteśmy daleko od poczucia, że już osiągnęliśmy sukces.

Czyli lekcja po wyborach parlamentarnych w 2023 r. została odrobiona?

Można mi zarzucić wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że się nie uczę.

Podczas konwencji w Bełchatowie towarzyszyła panu żona z dziećmi. Jak najbliżsi znoszą trudy intensywnej kampanii, którą pan prowadzi? Ma pan w nich oparcie?

Oczywiście, że tak. Ostatnio jestem w domu średnio jeden dzień w tygodniu. Cały czas jestem w trasie, gdzieś w Polsce albo w Sejmie. To żona od wielu miesięcy zajmuje się dziećmi i domem. Z tego powodu jej szerszy udział w kampanii w terenie nie wchodzi w rachubę. Dzięki jej pracy w domu mogę tak bardzo angażować się w kampanię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

Tajemnice trumpizmu i polska polityka

Piotr Semka

Nieprzewidywalność Donalda Trumpa może być uważana za zaletę, jeśli się święcie wierzy w to, że jest to środek gospodarza Białego Domu prowadzący do szczytnego celu odbudowy potęgi Ameryki. Szkopuł w tym, że może się ona okazać czymś, co niesie korzyści dla Ameryki, ale już dla mniejszych i słabszych jest druzgocące

Spotkanie prezydentów Polski i USA – Andrzeja Dudy i Donalda Trumpa – w Waszyngtonie, 22 lutego 2025 r.

FOT. MAREK BORAWSKI/KPRP

Po miesiącu prezydentury Donalda Trumpa można już uznać, że znakiem firmowym jego polityki jest nieprzewidywalność. Nawet najwytrawniejsi znawcy polityki międzynarodowej tracą orientację, czy to, co w danym momencie głosi gospodarz Białego Domu, to stwierdzony fakt czy tylko buńczuczna deklaracja.

Trump zapowiadał, że Rosja zgadza się na obsadzenie przez siły europejskie misji rozjemczej między Ukrainą a Rosją, ale szef dyplomacji rosyjskiej, Siergiej Ławrow, natychmiast ogłosił, że o żadnym zawieszeniu walk nawet nie ma mowy. Trump najpierw określił prezydenta Ukrainy, Wołodymyra Zełenskiego, jako dyktatora, który rządzi, odwlekając wybory, by potem uroczyście zaprosić go do złożenia wizyty w Białym Domu. W sprawie umowy surowcowej z Ukrainą raz padają deklaracje, że wszystko jest niemal gotowe, a potem wybrzmiewa dementi Zełenskiego, że zanim dojdzie do podpisania umowy, musi on usłyszeć realne gwarancje bezpieczeństwa.

A jednocześnie nie można zaprzeczyć, że Trump bywa skuteczny. Jeszcze przed objęciem urzędu doprowadził on do porozumienia między Hamasem a Izraelem i przy wszystkich problemach, które występują na Bliskim Wschodzie, zwalniani są więźniowie po obu stronach konfliktu. Tak samo w sprawie umowy dotyczącej cennych surowców Ukrainy republikański prezydent zmusił jednak Zełenskiego do współpracy.

Jednakże niecierpliwość Trumpa i jego dość pochopne przechwałki, że „zakończy wojnę na Ukrainie w tydzień", nadają mu pewien rys blagiera. Co więcej, czynią go niewolnikiem rosyjskich klisz propagandowych na temat okoliczności wybuchu wojny na Ukrainie. Negocjator Waszyngtonu Steve Witkoff powtarza rosyjską wersję, że wojny nie sprowokowali Rosjanie, że konflikt wybuchł wskutek dążeń Ukrainy do NATO, a taki rozwój wydarzeń był oczywistym zagrożeniem dla Rosjan. Jeszcze gorsze efekty dla wizerunku USA miało weto w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, które postawiło delegację Stanów Zjednoczonych w jednej linii z dyplomatami Rosji, Chin, Kuby czy Iranu – krajów zaliczanych jeszcze nie tak dawno przez Waszyngton do tzw. osi zła.

Nieprzewidywalność może być uważana za zaletę, jeśli się święcie wierzy w to, że jest to środek Trumpa prowadzący do szczytnego celu odbudowy potęgi Ameryki. I taka opinia wydaje się bliska dużej części prawicowego komentariatu internetowego w naszym kraju. Zachwyca się on, że sprzeczne komunikaty wysyłane przez Biały Dom czynią Trumpa skuteczniejszym. Problem w tym, że polscy politycy muszą brać pod uwagę także to, iż chaotyczna dyplomacja Trumpa może prowadzić do celów, które, owszem, dla Ameryki są korzystne, ale już dla mniejszych i słabszych graczy mogą być druzgocące.

Pierwsza na tej ławce strachu siedzi Ukraina, której niepodległość zależy od tego, czy Trump będzie bronił jej niepodległości czy nie. Kolejni zagrożeni to państwa bałtyckie i Polska. Mogą one się pocieszać przekonaniem, że opuszczenie państw od Tallina do Warszawy będzie trudne do zniesienia dla amerykańskich elit i opinii publicznej, ale takiej sytuacji nie mogą wykluczyć. Ten dysonans poznawczy na dodatek jest wzmacniany lękiem przed zrażeniem do siebie nowego prezydenta. Dlatego obowiązuje zasada: im dalej od bieżącej polityki, tym zaniepokojenie wyraża się swobodniej. A im bliżej, tym bardziej wszystko owija się w bawełnę.

SKRYWANE PRETENSJE

Prawica wchłonęła pierwsze dwa tygodnie od zaprzysiężenia Trumpa jako okres swoistego święta. Gdzieś wreszcie udała się kontrlewicowa rewolucja i – co więcej – pojawiły się przesłanki, że ktoś zaczął patrzeć Donaldowi Tuskowi na ręce w trakcie jego operacji wprowadzania „demokracji walczącej". Apogeum tego poczucia satysfakcji była słynna przemowa wiceprezydenta J.D. Vance'a, krytykująca stan demokracji w Unii Europejskiej i wyrażająca zaniepokojenie unieważnieniem wyborów w Rumunii. Gdy niedługo potem pojawił się raport prawicowego think tanku Hudson Institute, opisujący praktyki ekipy Tuska mające znamiona łamania zasad demokracji, entuzjazm w obozie PiS sięgnął zenitu. Liberalna prasa kpiła z tych nastrojów, ale to nie politycy, którym ona

eprasa.pl 1d5b8d9732

kibicuje, co dzień kładą się z obawą, czy następnego dnia zostaną zatrzymani.

Swoistym ukoronowaniem tego uprzywilejowanego charakteru relacji PiS z obozem Trumpa miało być zaproszenie Andrzeja Dudy do Waszyngtonu przy okazji kongresu Conservative Political Action Conference (CPAC). I tutaj obóz PiS-owski przegrzał troszeczkę z nastrojami triumfu. Dziesięciominutowa rozmowa w kuluarach kongresu amerykańskich organizacji konserwatywnych to nie było to, o czym marzył polski prezydent. Ponadto polski obóz liberalny też przesadzał, prezentując cały wyjazd jako upokorzenie. Niezwykle serdeczne pochwały dla polskiego prezydenta wygłaszane przez Trumpa z kongresowej trybuny to rzecz, której nie spotyka zbyt wielu liderów z zagranicy.

Jednak znacznie większe obawy wywołały w obozie PiS deklaracje Trumpa, że wina za wywołanie wojny na Ukrainie spada na Wołodymyra Zełenskiego. Takie suflowanie Moskwie może na dłuższą metę być preludium do pozostawienia Europy samej sobie, co dotknie najmocniej państwa frontowe. I tak naprawdę do dziś nie wiadomo, która wersja obowiązuje. Czy ogólnikowe deklaracje sekretarza obrony Pete'a Hegsetha co do okoliczności redukcji obecności US Army w Europie? Czy też cytowane przez Andrzeja Dudę zapewnienia od Trumpa, że o żadnej redukcji nie ma mowy?

Atmosferę dezorientacji wzmocnił jeszcze brak wyraźnego pomysłu PiS na swoje stanowisko w trzecią rocznicę agresji Rosji na Ukrainę. Wyraźnie zabrakło jakiegoś rozwiniętego przemówienia Jarosława Kaczyńskiego, który, jak się zdaje, jest w szpitalu, a czołowe postacie PiS nie miały nic ciekawego do powiedzenia. Na dodatek Karol Nawrocki akurat dzień po rocznicy inwazji uznał za najlepszą okazję do narzekania, że Ukraińcy wykorzystują polski system ochrony zdrowia. To wydarzenie pokazuje, że w PiS coraz wyraźniej widać próżnię przywództwa. Z jednej strony wyczulone nastroje społeczne wyrażające rozczarowanie Ukraińcami skłaniają do unikania wyraźnych demonstracji solidarności z naszym wschodnim sąsiadem, z drugiej – naiwność Trumpa wobec dyplomacji rosyjskiej aż się prosi o jakieś komentarze. Ale na wyrazistą linię czołowej partii opozycyjnej dziś, jak widać, nie stać. Z sytuacji korzysta oczywiście główny rywal PiS po prawej stronie, czyli Konfederacja. Ta stawia jednoznacznie na grę krytycyzmem wobec Ukrainy, a i pragmatyzm Trumpa wobec Rosji nie jest dla partii Sławomira Mentzena niczym strasznym.

PLATFORMA TEŻ NIEPEWNA SIEBIE

Jeśli ktoś uważa, że ta sytuacja jest o wiele łatwiejsza dla Platformy Obywatelskiej, to tkwi w „mylnym błędzie". Partia Donalda Tuska, a raczej jej czołowi przedstawiciele sprawiają wrażenie, jakby ich marzeniem było przebłaganie prezydenta z żółtymi włosami za niedawne obraźliwe uwagi Donalda Tuska. Prezydent Rafał Trzaskowski wykonuje wręcz retoryczne sztuki, aby nie powiedzieć nic złego na temat nowego prezydenta. Radosław Sikorski wykorzystuje całą swoją znajomość amerykańskiego sposobu myślenia, aby zbudować poprawne relacje z nową administracją. Wizyta Sikorskiego w Waszyngtonie (równocześnie z wizytą Dudy) i jego godzinna rozmowa z sekretarzem stanu Markiem Rubio może świadczyć o tym, że szef polskiej dyplomacji znajduje jakieś sposoby na udobruchanie trumpistów. Platforma też bez słowa protestu zgodziła się na weto prezydenta Andrzeja Dudy wobec ambasadorowania Bogdana Klicha w Waszyngtonie. Jak można się domyślić, Sikorski starał się ugłaskać jankesów obietnicami zakupu broni w amerykańskich firmach zbrojeniowych i deklaracjami otwarcia na inwestycje firm zza wielkiej wody przy budowie polskich elektrowni atomowych.

O tym, że Platforma nie ma powodów do czucia się zbyt pewnie w nowej, szybko zmieniającej się rzeczywistości, świadczą ostatnie porażki Donalda Tuska. Polski premier ściągnął na siebie irytację prezydenta Emanuela Macrona, gdy zdecydowanie odmówił propozycjom wejścia Polski do europejskiego korpusu mającego pilnować ewentualnego rozejmu na linii Ukraina – Rosja. Innym dowodem na to, że Tuskowi gra w europejskie szachy niespecjalnie wychodzi, było ominięcie go przy zaproszeniach na miniszczyt w Kijowie w rocznicę wybuchu wojny. W stolicy Ukrainy spotkali się przywódcy państw bałtyckich, państw nordyckich oraz Hiszpanii i Kanady. Dlaczego nie było nikogo z Polski? Tego z kręgów Platformy dowiedzieć się nie było sposobu.

W trzecią rocznicę wybuchu wojny ukraińsko-rosyjskiej Platforma zagrała kartą najwierniejszego sojusznika walki o niepodległość Ukrainy. Jej politycy lubią się chwalić, że Polska występuje w tym froncie w jednej linii z Francją, Niemcami czy Wielką Brytanią, w kontraście do nieczytelnej polityki Trumpa wobec Rosji. Ale ten pryncypializm niedługo może stać się dla Platformy kulą u nogi. Bo oto Emmanuel Macron w czasie wizyty u Trumpa w Waszyngtonie jak najbardziej poparł rozpoczęcie dialogu z Rosją. A kanclerz Olaf Scholz sam dzwonił do Putina raptem miesiąc temu. I można zaryzykować tezę, że jeśli Paryż i Berlin zabiorą się do dialogowania z Kremlem, to mogą szybko przegonić w gorliwości najbardziej prorosyjskich członków ekipy Donalda Trumpa. W jakiej sytuacji postawi się w takim wypadku dziś dumnie proukraińska Platforma?

ODWIECZNE DYLEMATY

Ostra wojna polsko-polska sprawia, że zarówno Platforma, jak i PiS bardzo są czułe na kwestie relacji z USA. I na pocieszenie oba obozy mogą sobie powiedzieć, że nie ma dziś w całym świecie mądrych na politykę Trumpa. Nawet ci, którzy dworowali sobie z ponadgodzinnego oczekiwania Andrzeja Dudy na Trumpa w korytarzu hali kongresu CPAC, mogli dwa dni potem zobaczyć, jak Trump każe Macronowi przysiadać się z krzesełkiem do boku imponującego prezydenckiego biurka. Polskie obawy dotyczące długodystansowej polityki Trumpa to nic w obliczu lęku Ukrainy przed pozostawieniem jej samej na pastwę moskiewskiego niedźwiedzia. A frustracje Niemiec z powodu przypuszczalnego oddania najcenniejszych surowców Ukrainy na wyłączną korzyść USA odreagowują tamtejsze dzienniki piszące o „zdradzie Zełenskiego".

Żyjemy w części Europy, która podminowana jest dziś lękiem o przyszłość i jednocześnie świadomością, że Unia Europejska nie ma siły jej obronić. Dlatego wszyscy, chcąc nie chcąc, zdani są na humory Trumpa. Każdy, kto próbuje nadrabiać miną, może stanąć jutro lub pojutrze wobec konieczności chowania honoru do kieszeni. Taka to już uroda Pax Trumpiana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

Rafał A. Ziemkiewicz

Wojna Trumpa: front polski

Na raport Hudson Institute stwierdzający rzeczowo przejawy chronionego przez UE i amerykańską Partię Demokratyczną bezprawia w Polsce trzeba patrzeć w kontekście wojny, którą w imię przywrócenia chrześcijańskiej cywilizacji Zachodu wypowiedziała Ameryka Donalda Trumpa owej międzynarodowej lewicowo-liberalnej hydrze

Sam tytuł specjalnego raportu o Polsce, ogłoszonego w minionym tygodniu w Waszyngtonie, nie pozostawia wątpliwości: „When Democrats Govern Undemocratically: The Case of Poland" („Gdy demokraci rządzą niedemokratycznie: przypadek Polski"). Raport przygotowały wspólnie think tanki Hudson Institute i Foundation for Defence of Democracies, a ogłoszono go pod patronatem najpoważniejszego zespołu eksperckiego Partii Republikańskiej – Heritage Foundation, z osobistym udziałem jej szefa, Jamesa Carafano. Także nazwiska autorów – Matthew Boyse i Peter Doran – są znane i cenione w świecie ekspertów od polityki międzynarodowej, zarówno tych uniwersyteckich, jak i tych z praktycznym doświadczeniem w dyplomacji. Mamy więc do czynienia z dokumentem naprawdę znaczącym.

Jak na taki dokument przystało – co każdy może stwierdzić, gdyż raport jest w Internecie, choć szkoda, że wciąż jeszcze nikt nie przetłumaczył go na polski – napisany jest on w sposób wyważony, daleki od publicystycznych uniesień i, być może ku pewnemu rozżaleniu zwolenników PiS, wcale niebezkrytyczny wobec rządów tej partii w latach 2015–2023. Szczególnie obciąża te ostatnie, w oczach amerykańskich ekspertów, kwestia upartyjnienia mediów zwanych w Polsce i Europie „publicznymi", czyli po prostu państwowych. Samo istnienie takich mediów jest dla Amerykanina

Autorzy raportu Hudson Institute wskazują wiele bezprawnych posunięć rządów PO, które są przez premiera Donalda Tuska uzasadniane koniecznością „przywracania praworządności" FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 1d5b8d9732

mało zrozumiałe, gdyż z natury muszą one działać według zasady, którą Boyes i Doran ujęli parafrazą sławnej formuły pokoju augsburskiego: „Cuius regio, eius television". Tą formułą łagodzą oni nieco krytykę PiS: praktykę używania państwowej telewizji i radia w roli propagandowej tuby rządu uważają za naganną, ale w Europie powszechną, a w Polsce stosowaną przez wszystkich kolejnych rządzących.

Generalnie jednak, zbierając konkretne fakty i zestawiając je z oskarżeniami formułowanymi w tym czasie przez lewicowo-liberalne elity polskie i unijne, wykazują, że – choć niewolne od naginania i obchodzenia prawa – nie dopuszczały się jednak rządy PiS jego otwartego łamania. Do pewnego stopnia skłonni są nawet PiS usprawiedliwiać, np. w kwestii powołania Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, konstatując, że nie można pomijać faktu, iż zastany przez centroprawicowy rząd stan sądownictwa był krańcowo zły i bardzo odległy od demokratycznych standardów, a prawo je regulujące było celowo zawikłane.

PRZEKROCZENIE CZERWONEJ LINII

To ważne, bo przechodząc do omówienia kolejnych bezprawnych posunięć rządów PO, zaznaczają autorzy raportu, że uzasadniane one były – i są nadal – właśnie tezą o rzekomym łamaniu prawa przez PiS, i to na masową skalę, oraz wynikającą z tego koniecznością „przywrócenia praworządności". Skoro praworządność nie była łamana, oskarżenia opozycji są bezpodstawne, a oparte wyłącznie na nich rezolucje Parlamentu Europejskiego i innych gremiów unijnych fałszywe, to działania rządu Donalda Tuska podejmowane w grudniu 2023 r. (siłowe wejście do TVP na podstawie rzekomych uchwał rad nadzorczych, szybko uznanych za niebyłe, i wyłączenie jej sygnału) oraz późniejsze (szczególnie w prokuraturze i sądownictwie) należy uznać nie tylko za godzące w demokrację, lecz także za niczym nieusprawiedliwione.

Nie ma sensu streszczanie kolejnych przekroczeń, które konstatują w swym raporcie Hudson Institute i FDD w odniesieniu do rządów PO, bo dla Polaka – a dla czytelnika naszego tygodnika zwłaszcza – są to wszystko sprawy doskonale znane. Rekapitulacja tych faktów i jednoznaczna konkluzja, że rząd Donalda Tuska przekroczył czerwoną linię oddzielającą demokratyczne państwo prawa od autokratycznych i kleptokratycznych reżimów, nie jest zresztą dla autorów celem samym w sobie. Polska – jak wskazuje sam tytuł – jest dla nich tylko case study, przykładem służącym analizie procesu zachodzącego we wszystkich krajach Zachodu, odpowiedniejszym do badań niż inne, dlatego że reżim Tuska, dufny w moc „kryszy" trzymanej nad jego nadużyciami przez elity Unii Europejskiej i amerykańską administrację Partii Demokratycznej, poczynał sobie wyjątkowo otwarcie i bezczelnie.

Nie ma się z tego powodu co obrażać: Polska nie jest w tej kwestii dla Ameryki ważna sama w sobie. Dyplomacja amerykańska opanowała doskonale sztukę niedostrzegania, jak łamią prawa człowieka rządy współpracujące z mocarstwem, przy jednoczesnym pryncypializmie w domaganiu się ich szanowania od tych, które stają mu na drodze. Unia Europejska obecnie ustawia się na tej drugiej pozycji – po części wynika to z nowej geopolityki i nowych pryncypiów polityki USA wyznaczonych przez Donalda Trumpa, po części z bezwładu działania europejskich struktur i przywódców, którzy nie są w stanie się do tych pryncypiów przystosować, a bodaj nawet ich zrozumieć. Gdyby było inaczej, raport o polskim „kejsie" być może również by powstał, ale nie dostałby tak silnego wsparcia i nie przebiłby się do świadomości amerykańskich elit w aż takim stopniu.

Nie Tusk – nie mówiąc już o jego podwładnych – jest tutaj głównym oskarżonym, choć oczywiście przy zestawianiu zarzutów stawianych przez partie obecnej koalicji rządowi PiS i ich obietnic wyborczych z decyzjami podejmowanymi po objęciu władzy słowo „hipokryzja" pojawia się często. Ale poprzez jej skonstatowanie obrazuje raport przede wszystkim hipokryzję organów Unii Europejskiej i konkretnych rządów – szczególnie niemieckiego i francuskiego – które zaangażowały się w obalenie rządu PiS. Boyes i Doran stwierdzają, i podpierają to licznymi przykładami, że wobec Polski notorycznie stosuje się podwójne standardy. Taki sam np. wybór sędziów oraz członków Sądu Konstytucyjnego, jaki powszechnie stosowany jest w krajach zachodniej Europy, w Polsce ma być „odchodzeniem od praworządności". Powtórzę: dla Polaka, zwłaszcza korzystającego z mediów zwanych „prawicowymi", nie ma tu żadnych zaskoczeń. Słowa o „wyższej kulturze prawnej" Niemiec, którymi tamtejsi politycy i eurokraci uzasadniali, dlaczego tam dopuszczalne jest wyłanianie organów nadzorujących sądownictwo przez parlament, i to spośród polityków, nie sędziów, a podobny mechanizm wprowadzony u nas czyni sądy „niespełniającymi norm europejskiej Karty praw podstawowych", stały się wręcz memem. Ale Amerykanie dowiadują się o tej ogromnej hipokryzji i tolerancji dla bezprawia w sojuszniczej Europie jak o czymś nowym.

PRZYPADEK RUMUŃSKI

Raport nie szczędzi też samej Ameryki, a konkretnie administracji Joe Bidena, wprost oskarżając ją o działania naganne z punktu widzenia amerykańskich wartości, a przede wszystkim o działanie na szkodę amerykańskich interesów. W interesie USA było bowiem, aby w Warszawie pozostali u władzy politycy życzliwi Ameryce i sceptyczni wobec UE. Można nawet powiedzieć, że jest to z punktu widzenia Ameryki najważniejsza z konkluzji tego raportu – doskonale wpisująca się w kontekst afery miliardowego marnotrawstwa USAID, masowych nadużyć w systemach ubezpieczeń społecznych, nielegalnego przekupywania amerykańskich i światowych mediów dla wzmocnienia propagandy demokratów i innych spraw, o których przez prawie godzinę mówił Trump w swym wystąpieniu na konferencji CPAC (Konferencji Politycznej Akcji Konserwatywnej).

Mówiąc krótko, łamanie prawa przez Tuska i jego koalicję uczyniło rządzoną przez „liberałów" Polskę miękkim podbrzuszem Europy, w stopniu porównywalnym z Rumunią. Horrendalna decyzja o unieważnieniu rumuńskich wyborów prezydenckich, a w ostatnim tygodniu, już po ogłoszeniu omawianego tu raportu, aresztowanie zwycięskiego kandydata do prezydentury Călina Georgescu, i to w dniu, gdy miał zgłaszać swą kandydaturę w powtarzanych wyborach,

eprasa.pl 1d5b8d9732

sprawiają oczywiście, że także ten kraj stał się obiektem szczególnej uwagi waszyngtońskiej dyplomacji i – jeśli wierzyć Bloombergowi i innych mediom – przyczyną jednoznacznego amerykańskiego ostrzeżenia przed próbą uniemożliwienia startu w wyborach „populiście".

Mamy w tej sprawie, nawiasem mówiąc, dość istotne skojarzenia ze sprawami polskimi. Głównym wśród pretekstów do zatrzymania Georgescu przez rumuńską policję jest wszak oskarżenie o „nieprawidłowe finansowanie kampanii wyborczej", przez Tuska użyte do zablokowania wypłat pieniędzy należnych PiS z budżetu i analogicznego – tylko „na miękko" – niedopuszczeniu opozycji do równej rywalizacji wyborczej z partią establishmentu. W obu wypadkach – z błogosławieństwem unijnych elit. Trudno nie wspomnieć tu tyleż butnego, ileż bezczelnego stwierdzenia byłego, ale wciąż wpływowego francuskiego komisarza europejskiego Thierry'ego Bretona: „Zrobiliśmy to w Rumunii, zrobimy [jeśli wybory wypadną nie po naszej myśli] i w Niemczech".

Mark Brzezinski pełnił w Warszawie funkcję nie tyle ambasadora USA w RP, ile wysłannika amerykańskich antytrumpistów w Polsce

Na temat Rumunii nie przygotowano jednak Trumpowi raportu mogącego być podstawą do dalszych, już czysto politycznych działań. Po pierwsze, jej znaczenie w geopolitycznym układzie jest w oczywisty sposób mniejsze niż Polski, teoretycznie mogącej odegrać rolę lokalnego lidera Europy Środkowej (w istocie brak do tego jedynie politycznej woli polskich elit politycznych, porażonych myśleniem w kategoriach „brzydkiej panny bez posagu"). Po drugie, nie ma tam przywódców politycznych, którzy by mieli, tak jak Tusk, ambicję przewodzenia jakimś unijnym „formatom", a tym bardziej dążeniom do obiecywanego przez (de facto) nowego kanclerza Niemiec, Friedricha Merza, uniezależnienia Europy od USA i jej usamodzielnienia względem NATO.

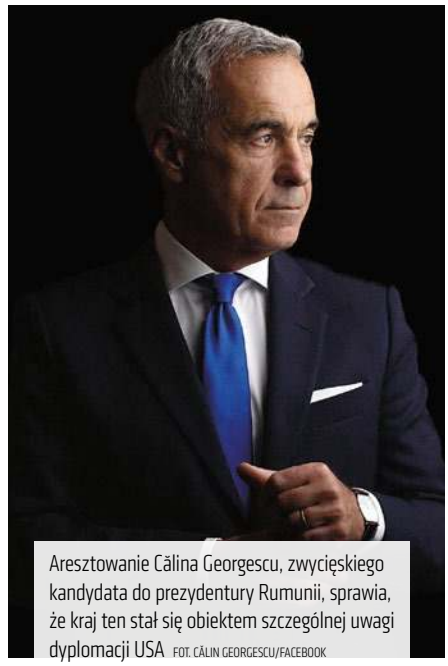

Aresztowanie Călina Georgescu, zwycięskiego kandydata do prezydentury Rumunii, sprawia, że kraj ten stał się obiektem szczególnej uwagi dyplomacji USA FOT. CĂLIN GEORGESCU/FACEBOOK

Głośna i brutalnie szczera przemowa wiceprezydenta J.D. Vance'a na szczycie w Monachium oraz twarde postawienie sprawy skierowania przyszłych zysków z ukraińskich zasobów do Ameryki, a nie do Niemiec, nie pozostawiają miejsca na złudzenia. Trump nie zamierza pozwolić, żeby znowu było tak jak przez ostatnie dziesięciolecia. Jest zdecydowany odbudować siłę gospodarczą Ameryki, nadwerężoną przez ideologiczne szaleństwa liberałów i egoistyczną pogoń za maksymalizowaniem zysków przez działające globalnie korporacje – a to musi się stać kosztem m.in. Europy. Jest także zdecydowany na ostrą konfrontację z Chinami, wymagającą „skrócenia frontu", zmniejszenia amerykańskiego finansowania Europy i jej znacznie większego niż dotychczas udziału w kosztach utrzymywania równowagi między mocarstwami. Rządzący Europą albo muszą spełnić te oczekiwania lidera światowej demokracji, albo zostaną wymienieni – do czego rozejście się Europy z zasadami demokracji daje znakomite ideologiczne uzasadnienie.

IDĄ NA ZDERZENIE

Jednakże oprócz zapowiedzianego zakończenia europejskiej „jazdy na gapę" i „traktowania przez dziesięciolecia Ameryki jak frajera", o którym otwarcie, ku radości amerykańskich podatników, zaczęła mówić obecna administracja, Trump kieruje się także poczuciem misji. Powiedział to otwarcie w przemówieniu inauguracyjnym i nie ma powodu, by mu nie wierzyć: skoro kula mordercy chybiła dosłownie o milimetry, to znaczy, że Bóg ocalił go, by dopełnił przeznaczonej mu misji. A tą misją jest zniszczenie zdeprawowanego, lewicowo-liberalnego establishmentu rujnującego zachodnią cywilizację, jej wartości, demokrację i wolności obywatelskie – nie tylko w samych USA. Wspomniana kasta „oświeconych", którzy poczuli się jedynie upoważnieni do sprawowania władzy nad Zachodem i pod hasłem „walki z populistami" wymówili posłuszeństwo wyrażanej demokratycznie woli obywateli, stworzyła bowiem swoistą międzynarodówkę wspierających się wzajemnie „elit" krajowych. Pisaliśmy o tym swego czasu, analizując działania jednego z negatywnych bohaterów raportu Hudson Institute, Marka Brzezinskiego, który pełnił w Warszawie rolę nie tyle ambasadora USA, ile wysłannika tamtejszych antytrumpistów do zwalczania „trumpizmu", wymiennie zwanego populizmem, w Polsce.

Jeśli prezydent Trump znalazł już czas na zapoznanie się z raportem, to znajdzie w nim bez trudu swoje własne doświadczenia. On też miał przeciwko sobie liberalnych sędziów i służby, którzy próbowali zniszczyć go śledztwami, oskarżeniami i lewymi wyrokami łudząco podobnymi do tych, którymi posługuje się lewicowo-liberalna sitwa w Polsce, Rumunii i innych krajach Unii Europejskiej. Na raport stwierdzający rzeczowo przejawy chronionego przez UE i amerykańską Partię Demokratyczną bezprawia w Polsce trzeba patrzeć w tym kontekście: wojny, którą w imię przywrócenia chrześcijańskiej cywilizacji Zachodu wypowiedziała Ameryka Trumpa owej międzynarodowej hydrze.

Ta wojna dopiero się rozkręca. Na razie bowiem „unijczycy" – czy to siłą bezwładności, czy nie – są pozbawieni potencjału intelektualnego, by uświadomić sobie realny układ sił i możliwości. Idą na zderzenie, plotąc butnie w duchu Merza o „usamodzielnieniu się" Europy od USA i budowie jej „równej pozycji". Raport Boysego i Dorana, choć na razie słabo odnotowany w polskich i europejskich mediach, niewątpliwie więc będzie jeszcze nieraz przywoływany.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

Czy w Polsce będą kary za banderyzm?

Paweł Zdziarski

W relacjach polsko-ukraińskich największą trudność stanowią kwestie historyczne. Na Ukrainie kultem otoczone są osoby odpowiedzialne za zbrodnie na Polakach i obywatelach II Rzeczypospolitej innych narodowości, co widać po pomnikach oraz nazwach ulic i stadionów. Polska powinna stanowczo reagować na to zjawisko, ale do uporania się z nim potrzebna jest również dobra wola władz w Kijowie. Jest jednak rozwiązanie, które można wdrożyć, nie oglądając się na stronę ukraińską. Chodzi o penalizację banderyzmu. Próbę jej wprowadzenia podjęto w polskim Sejmie

Projekt ustawy w tej sprawie złożyli posłowie PiS. Zakłada nowelizację przepisów o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu oraz konkretnych punktów Kodeksu karnego. Celem tego projektu jest umożliwienie wytoczenia procesu karnego osobom zaprzeczającym sprawstwu ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej. Ustawa ma potępiać zbrodniczą działalność ukraińskich formacji, takich jak OUN-B i UPA. Wnioskodawcy chcą, aby „kłamstwo wołyńskie" było ścigane i napiętnowane na podobieństwo „kłamstwa oświęcimskiego".

DYSKUSJA WOKÓŁ PROJEKTU

Na początku lutego w Sejmie miało miejsce pierwsze czytanie projektu, któremu towarzyszyła burzliwa debata. – Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby dalej nas oszukiwano co do tego, co się działo w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu – stwierdził wówczas poseł PiS Przemysław Czarnek. Z kolei inny polityk tego ugrupowania, Zbigniew Bogucki, dodał, że „lekarstwem na tę ranę, tak żeby ona wreszcie, po 80 latach, się zabliźniła, jest prawda". Obaj są sprawozdawcami projektu.

Podczas dyskusji założenia ustawy poparli posłowie Konfederacji i PSL. – Ukraińscy naziści wymordowali ponad 600 tys. obywateli polskich. To 10 proc. polskich strat osobowych w drugiej wojnie światowej – podkreślił prof. Andrzej Zapałowski. Z kolei Tadeusz Samborski oznajmił, że „klub parlamentarny Polskiego Stronnictwa Ludowego widzi w tym projekcie rozwiązania, które w dużym stopniu uporządkują swoisty chaos pojęciowy w delikatnej materii kresowego ludobójstwa oraz wyeliminują z przestrzeni publicznej pospolite kłamstwa". Obaj politycy biorą aktywny udział w pracach Parlamentarnego Zespołu do spraw Kresów RP.

W sejmowych kuluarach mówiono, że projekt ma dużą szansę, aby przejść od razu do drugiego czytania, Niestety, stało się inaczej. Po głosowaniu, które odbyło się na kolejnym posiedzeniu, propozycja została skierowana do Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka. Tam z kolei może utknąć na długi czas, a następnie zupełnie przepaść. W przeszłości było mnóstwo takich sytuacji, gdzie z jednej strony nie było woli politycznej, aby wprowadzić konkretne zmiany, a z drugiej strony nie wypadało wprost ich odrzucić.

POLITYCY UCZĄ SIĘ NA BŁĘDACH

Przypomnijmy, że to nie pierwsza próba wprowadzenia przepisów, w których jest mowa o karaniu za promocję banderyzmu. Było blisko w 2018 r., kiedy Sejm uchwalił nowelizację wraz z propozycją posłów Kukiz'15 dotyczącą ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Negowanie prawdy o tej tragedii miało być zagrożone karą grzywny bądź pozbawienia wolności do lat trzech. Prezydent Andrzej Duda skierował jednak ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, a ten orzekł, że jest ona niezgodna z konstytucją. Uznano bowiem za nieprecyzyjne sformułowania „ukraińscy nacjonaliści" i „Małopolska Wschodnia".

Dlatego tym razem, nie chcąc popełnić tego samego błędu, w projekcie użyto innych sformułowań. Jako sprawców ludobójstwa wskazano członków i współpracowników Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów frakcji Bandery (OUN-B) i Ukraińskiej Armii Powstańczej (UPA) oraz innych ukraińskich formacji kolaborujących z III Rzeszą. Z kolei

eprasa.pl 1d5b8d9732

jeżeli chodzi o obszar dokonywanych zbrodni, wymieniono tereny województw wołyńskiego, poleskiego, lwowskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego i lubelskiego II Rzeczypospolitej.

Zarówno politycy Konfederacji oraz PSL, jak i przedstawiciele środowisk kresowych zgłosili potrzebę kilku kolejnych poprawek, które powinny trafić do ustawy. Po pierwsze, nie tylko frakcja Bandery w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów była odpowiedzialna za zbrodnie na obywatelach II RP. Licznych morderstw, zwłaszcza na ludności żydowskiej, dokonywali również melnykowcy, czyli członkowie i zwolennicy frakcji Andrija Melnyka. Po rozpadzie OUN na zjeździe w Krakowie w 1940 r. rywalizowała ona ze stronnictwem Bandery pod względem politycznym i militarnym. Melnykowcy są postrzegani przez historyków jako mniejsi ekstremiści, warto jednak pamiętać, że to oni byli współinicjatorami 14. Dywizji Waffen SS-Galizien, a zatem bezpośrednimi kolaborantami III Rzeszy. Nawiasem mówiąc, podczas niedawnej wizyty we Lwowie premier Donald Tusk przechadzał się ulicą imienia Melnyka, gdzie oglądał zniszczone przez rosyjskie bomby kamienice, do których odbudowy zobowiązał polskie państwo. W tym miejscu warto również przypomnieć, że zbrodni na Polakach dokonywała również czerń – ukraińscy chłopi niezwiązani z żadną z frakcji OUN, najczęściej sąsiedzi i krewni swoich ofiar.

Kolejna sprawa to zakres czasowy ludobójstwa. Wnioskodawcy określili go na lata 1943–1945. Tymczasem pierwsze masowe zbrodnie dokonane przez ukraińskich nacjonalistów miały miejsce tuż po niemieckiej i sowieckiej agresji na Polskę. Szczególnie znana jest zbrodnia w Sławentynie w dawnym powiecie podhajeckim województwa tarnopolskiego, dokonana przez bojówki OUN w nocy z 17 na 18 września 1939 r. Ofiarą zbrodni padło, według różnych źródeł, od 50 do 85 Polaków, spalono także część zabudowań. Obecnie znajdują się tam kopiec i tablica ku czci OUN-UPA i „bohaterów ze Sławentyna", a ślady po polskich mieszkańcach zostały zatarte. Z kolei jako data końcowa najczęściej podawany jest rok 1947, kiedy w wyniku operacji „Wisła" rozbito bandy UPA dokonujące zbrodni na mieszkańcach południowo-wschodniej pojałtańskiej Polski. Symbolem oporu przeciwko banderowcom z tego czasu jest trzykrotnie broniona miejscowość Bircza, której nazwa zniknęła z tablicy na Grobie Nieznanego Żołnierza w listopadzie 2017 r. Według informacji przekazanych przez ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego stało się to pod presją władz ukraińskich i Kancelarii Prezydenta RP.

Na gruncie polskiego Kodeksu karnego nie wolno negować Holokaustu Żydów. Podobne rozwiązanie potrzebne jest w odniesieniu do zbrodni popełnionych na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów

KLIMAT POLITYCZNY SPRZYJA ZMIANOM

Wspomniane wyżej poprawki są jedynie kwestią doprecyzowania, które jest możliwe bez skierowania projektu do komisji. Tym bardziej że jak nigdy wcześniej sprzyja temu klimat polityczny. Trwająca kampania prezydencka jest pełna obietnic wyborczych. Te z kolei podyktowane są nastrojami społecznymi. Po raz pierwszy w III Rzeczypospolitej szeroko pojęta sprawa kresowa może być języczkiem u wagi. Widać to choćby po badaniach opinii. Z przeprowadzonego pod koniec stycznia sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" wynika, że ponad połowa Polaków uzależnia zgodę na przystąpienie Ukrainy do NATO lub Unii Europejskiej od przeprowadzenia ekshumacji ofiar ludobójstwa. Władze w Kijowie mogą wpływać na nastroje społeczne podczas kampanii wyborczej, na co zwraca uwagę m.in. były premier Leszek Miller. Ustawa o penalizacji banderyzmu, jak to już padło, jest jednak zależna wyłącznie od polskich polityków.

Według raportu opublikowanego przez Urząd do spraw Cudzoziemców trzy lata po rosyjskiej agresji na Ukrainę z ochrony czasowej w Polsce korzysta obecnie prawie milion obywateli Ukrainy, głównie kobiet i dzieci. Łącznie ważne zezwolenia na pobyt w kraju posiada natomiast ponad półtora miliona osób. Po zakończeniu działań wojennych ta liczba zapewne ulegnie zmianie. Być może wiele osób wróci do swoich domów, natomiast niemała część kobiet i dzieci nie tylko pozostanie w Polsce, lecz także dołączą do nich mężowie i ojcowie zwolnieni z wojska. Istnieje zatem możliwość, że nasz kraj nadal będzie zamieszkiwać pokaźna grupa osób przyzwyczajonych do symboliki banderowskiej, a często wręcz utożsamiających się z nią.

Uroczystości z okazji 114. rocznicy urodzin Stepana Bandery, Lwów, 1 stycznia 2023 r.

FOT. YURIY DYACHYSHYN/AFP/EAST NEWS

Pierwsze niepokojące sytuacje miały już zresztą miejsce. W czerwcu 2023 r. ks. Isakowicz-Zaleski opublikował w mediach społecznościowych zdjęcia pochodzące z ukraińskiego sklepu w centrum Krakowa. Na witrynie obok prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego zostały umieszczone zdjęcie Stepana Bandery i napis „Sława nacji". Mimo nagłośnienia tematu w Internecie pod względem prawnym nic nie dało się zrobić – właśnie ze względu na brak przepisów.

Penalizacja banderyzmu pomogłaby rozwiązać kontrowersje wokół pomników OUN-UPA na terytorium Rzeczypospolitej, których odbudowania i renowacji domaga się Ukraina. Przypomnijmy, że ta sprawa wciąż jest niewyjaśniona. W styczniu Stowarzyszenie Wspólnota i Pamięć oraz Stowarzyszenie Upa-

eprasa.pl 1d5b8d9732

miętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów skierowały do polskich władz list otwarty, zawierający konkretne pytania w trybie dostępu do informacji publicznej. Jedno z nich dotyczyło tego, czy polskie władze zgodziły się na obecność miejsc pamięci zbrodniczych formacji ukraińskich w zamian za zgodę Kijowa na ekshumacje ofiar ludobójstwa. Odpowiedzi przypominały przerzucanie „gorącego kartofla", ponieważ kancelaria premiera i Ministerstwo Spraw Zagranicznych wskazały jako właściwego adresata resort kultury. Stąd jednak przyszło lakoniczne pismo mówiące, że „groby wojenne bez względu na narodowość i wyznanie osób, w nich pochowanych, oraz formacje, do których osoby te należały, mają być pielęgnowane i otaczane należnym tym miejscom szacunkiem i powagą". Po szczegółowe informacje inicjatorów listu odesłano do wojewodów. Warto jednak zaznaczyć, że w Polsce nikt nie odmawia nikomu prawa do pochówku i tak powinno być również w tym przypadku. Strona ukraińska w swoich żądaniach idzie jednak dalej, domagając się „pomników chwały", a tego Polska nie może zaakceptować. W przeciwnym razie mielibyśmy na swoim terenie nie tylko upamiętnienia sprawców ludobójstwa na Polakach, lecz także Holokaustu Żydów. Właśnie takich czynów dopuścili się choćby pochowani na wzgórzu Monastyr upowcy, działający wcześniej w ukraińskiej policji pomocniczej w służbie III Rzeszy.

KŁAMSTWO „KONFLIKTU POLSKO-UKRAIŃSKIEGO"

Równie istotnym zagrożeniem jest zaprzeczanie faktowi ludobójstwa i wprowadzanie do publicznej debaty symetryzmu w ocenie tego, co wydarzyło się na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej. Szczególnie często pojawia się termin „konflikt polsko-ukraiński". Ma to sugerować, że istniały dwie równorzędne, walczące ze sobą strony. Co gorsza, ta tendencja pojawia się nie tylko po stronie ukraińskiej. Podobnie do sprawy podchodzą, zapewne w myśl skrajnej poprawności politycznej, niektórzy polscy historycy. Przykładem może być treść niedawnego „II komunikatu polsko-ukraińskiego", powstałego w wyniku cyklu spotkań „Polska – Ukraina: trudne pytania", organizowanego przez Ośrodek Karta. Został on podpisany przez 24 polskich i ukraińskich historyków i opublikowany w grudniu 2024 r. Czytamy w nim m.in.: „Szacunek wobec wszystkich ofiar konfliktu polsko-ukraińskiego z lat czterdziestych i ich godne upamiętnienie wydaje się […] nie tylko moralną powinnością, ale przede wszystkim dowodem dojrzałości nowoczesnych i demokratycznych społeczeństw europejskich". Sygnatariuszom tego listu wypadałoby zadać kilka prostych pytań. Czy okrutne ludobójstwo na bezbronnej ludności cywilnej to dla nich konflikt? Czy sugerują oni, że wina leży pośrodku? Wreszcie czy ośmieliliby się nazwać Holokaust konfliktem niemiecko-żydowskim?

O tym, jak ważni dla części ukraińskich elit są liderzy OUN-UPA, przekonał się niedawno Sławomir Mentzen. W trzecią rocznicę wybuchu wojny na Ukrainie kandydat Konfederacji na urząd Prezydenta RP był we Lwowie, gdzie wraz z europoseł Anną Bryłką opublikował nagrania m.in. sprzed pomnika Stepana Bandery oraz odbudowującego się po zniszczeniu przez rosyjski dron Muzeum Romana Szuchewycza. Polityk przypomniał, że obaj są odpowiedzialni za masowe zbrodnie na Polakach, a dzisiaj na Ukrainie otacza się ich kultem. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Mer Lwowa Andrij Sadowy nazwał Mentzena „prorosyjskim politykiem z polskim paszportem". Zastanawiał się też, czy poseł Konfederacji w ogóle może wjechać na Ukrainę. Jeszcze dalej poszedł Wachtang Kipiani, ukraiński dziennikarz i historyk gruzińskiego pochodzenia. W 2010 r. został odznaczony Orderem im. Stepana Bandery przez radę obwodu iwanofrankiwskiego, a niedawno dostał też Medal Wdzięczności Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku. W mediach społecznościowych groził on Mentzenowi, że ten podzieli los Bolesława Pierackiego, ministra spraw wewnętrznych w czasach II Rzeczypospolitej, zamordowanego na warszawskim Foksalu z rozkazu Bandery. Opinię publiczną szczególnie wzburzyły doniesienia portalu Kresy.pl, że prowadzony przez Kipianiego portal Historyczna Prawda, konsekwentnie relatywizujący ludobójstwo na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, a także gloryfikujący OUN-UPA jako organizacje wyzwoleńcze, w latach 2011–2013 otrzymywał dotacje z polskiego MSZ poprzez Ambasadę RP w Kijowie.

„Nie o zemstę, lecz o prawdę i pamięć wołają ofiary ludobójstwa" – to hasło Rodzin Kresowych może być wyrzutem sumienia dla wielu decydentów w Polsce. Dobre relacje między poszczególnymi krajami muszą być oparte właśnie na tych podstawach. Widząc kult Bandery czy Szuchewycza na Ukrainie, a także ciągłe próby fałszowania historii, należy zareagować stanowczo, na miarę naszych możliwości. Z pewnością w tych ramach mieści się nowelizacja ustawy o IPN. Z jednej strony chroniłaby pamięć ofiar ukraińskiego ludobójstwa, a z drugiej nie pozwoliłaby na bezkarne zakłamywanie prawdy o tej narodowej tragedii.

Oczywiście mogą w tym miejscu powstać pytania o krępowanie wolności słowa i debaty publicznej, dlatego poszczególne przepisy muszą być napisane bardzo precyzyjnie. W polskim Kodeksie karnym istnieje jednak penalizacja „kłamstwa oświęcimskiego", a zatem karze podlega negowanie Holokaustu Żydów. Polacy nie mają natomiast podobnych narzędzi pomimo wymienionych wyżej zagrożeń. Ta sytuacja powinna się zmienić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

FOT. ADOBE STOCK

Seksedukacja TAK! Spowiedź dzieci NIE?

Krystian Kratiuk

Przejawy antykatolickiego szaleństwa zataczają w naszym kraju coraz szersze kręgi. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia jeden z przykładów tego wzmożenia trafił do Sejmu. Żyrowany przez 12 tys. osób

Mowa o petycji o „zakazie spowiedzi osób poniżej 18. roku życia", przygotowanej przez ogarniętego nienawiścią do Kościoła katolickiego Rafała Betlejewskiego. Autorzy petycji uważają, że „żadna obca osoba dorosła nie powinna przesłuchiwać dziecka samodzielnie, bez obecności opiekunów i psychologów", i zauważają, że – o zgrozo! – „spowiednicy dzieci to mężczyźni żyjący w celibacie, którzy nie posiadają odpowiedniego przygotowania psychologicznego".

Zwracanie się z sugestiami do posłów poprzez petycje jest dopuszczone przez regulamin Sejmu. Petycje takie nie są jednak w żaden sposób obligatoryjne dla parlamentu – nie musi się on nimi zająć, w przeciwieństwie do projektu ustawy. Petycja pozwala raczej na zwrócenie uwagi na problem grupie obywateli, która nie zdoła złożyć obywatelskiego projektu ustawy. Aby złożyć taki projekt, konieczne jest bowiem zebranie co najmniej 100 tys. podpisów osób mających czynne prawo wyborcze. Proces ten wymaga powołania komitetu inicjatywy ustawodawczej, przygotowania projektu zgodnego z wymogami prawnymi oraz uzyskania akceptacji marszałka Sejmu. A petycja to po prostu… petycja. Może być podpisana przez 12 tys. osób albo po prostu przez… 12 osób. Każdy czytelnik tego tekstu z kilkoma kolegami z pracy mógłby złożyć w Sejmie petycję postulującą np. zakaz funkcjonowania Rafała Betlejewskiego w polskiej przestrzeni publicznej. Czy mogliby państwo jednak liczyć na podobny rozgłos co jego petycja?

Zwracam uwagę na ten aspekt, przypominając, że w ostatnich latach do Sejmu trafiło wiele poważnych projektów ustaw przygotowanych przez środowiska katolickie – i podpisane były przez nieporównywalnie większą liczbę osób. I tak np. projekt „Stop LGBT" z 2020 r. uzyskał ponad 100 tys. podpisów, złożony kilka dni przed końcem 2024 r. projekt „Stop narkotykowi pornografii" podpisało 212 tys. Polaków, a projekt „Zatrzymaj Aborcję" z 2017 r. podpisało… 830 tys. osób.

Mimo tego z ciepłym przyjęciem największych mediów promujących ideę społeczeństwa obywatelskiego te pomysły wcale się nie spotkały. Ale już pomysł Betlejewskiego i marginalnej grupki zaciekłych antyklerykałów – jak najbardziej. Przez tydzień poprzedzający Boże Narodzenie dziennikarze ateistycznych mediów nagłaśniali kuriozalną propozycję, z lubością cytując fragmenty petycji sugerujące, że „spowiedź to doświadczenie upokorzenia i strachu, zdarzenie traumatyczne, paskudne, którego dzieci nie chcą, a przed którym nie potrafią się obronić".

PRZYZWOLENIE NA PROWOKACJĘ

Kim jest działacz antykatolicki, który pod koniec adwentu mógł liczyć na darmową, szeroką reklamę w największych

eprasa.pl 1d5b8d9732

mediach, również tych, w których już w trakcie świąt transmitowano koncerty kolęd?

Otóż Betlejewski zdobył rozgłos swoją działalnością „dziennikarską", m.in. poprzez nagrywanie ukrytą kamerą bezrobotnych podczas zainscenizowanych scenek w ramach fikcyjnych procesów rekrutacyjnych. Podczas takich rozmów kwalifikacyjnych podstawieni aktorzy oferowali uczestnikom atrakcyjnie płatną pracę, jednak stawiali warunki, które wymagały od nich działań sprzecznych z prawem lub wykonywania zadań, mówiąc delikatnie, znacznie wykraczających poza standardowe obowiązki zawodowe.

W 2014 r. na swoim kanale YouTube zamieścił niespełna dwuminutowe nagranie, na którym się masturbuje i osiąga orgazm na klatce schodowej, gdzie zamordowano Annę Politkowską. Oczywiście w celu zwrócenia uwagi na działalność reżimu Władimira Putina.

W ostatnich latach Betlejewski uznał, że lepiej niż akcje w rodzaju „Tęsknię za Tobą, Żydzie" (takie też bowiem organizował), lepiej niż poniżanie zdesperowanych bezrobotnych, a nawet lepiej niż masturbacja na klatce schodowej sprzedawać się będzie antyklerykalizm. Napisał więc kilka książek namawiających ludzi do apostazji, a teraz postanowił rozreklamować je osobliwą petycją.

Co z radością przyjęły media skore do wywoływania antychrześcijańskiego skowytu, szczególnie przed świętami. Zgodnie ze staropolską mądrością, wedle której idą święta, diabeł wyje.

STALIN BYŁBY DUMNY

Pomysł Betlejewskiego był wszak szeroko komentowany. Chętnie wypowiadali się dyżurni telewizyjni czy radiowi psycholodzy, opowiadając o traumach i nieszczęściach, a także inni ludzie od lat niemający nic wspólnego z Kościołem. Psychologów niemających nic przeciwko spowiadaniu się dzieci – a takich przedstawicieli tego zawodu też jest przecież niemało – jakoś do tych programów nie udało się zaprosić.

Podczas dyskusji podnoszono nawet argumenty z historii chrześcijaństwa, przekonując, że skoro kiedyś spowiedź była rzadsza i rozpoczynało się ją w starszym wieku, to dziś, na żądanie ateistów, Kościół powinien powrócić do dawnych praktyk i powinno zmusić go do tego państwo.

Cóż, jeśli chcemy rzeczywiście cofać się w historii do sprawdzonych wzorców, to warto przypomnieć, że również idea zawarta w petycji nie jest nowa. Przecież już sowieckie prawo zakazywało dzieciom i młodzieży do lat 18 wstępu do cerkwi czy kościoła – a więc i spowiedzi i udziału w innych sakramentach.

KORZYŚCI ZE SPOWIEDZI

Efektem tej medialnej nawałnicy miało być – i zapewne było – zasianie ziarna niepewności wśród letnich katolików wychowujących małoletnich. Który z rodziców nie chciałby bowiem chronić swoich dzieci przed traumami, ciężkimi przeżyciami, a nawet „przemocą psychiczną"?!

Szkopuł jedynie w tym, że spowiedź z takimi sprawami nie ma nic wspólnego. Oczywiście konieczność wyznania grzechów, szczególnie tych najcięższych, może być stresująca. Ale stresujące mogą być dla dziecka także wyjazd na kolonię, trudny sprawdzian w szkole, tłumaczenie się z przewin przed szkolnym wychowawcą i dziesiątki innych aspektów codzienności.

A spowiedź – również spowiedź dzieci – oprócz oczywistych dla katolików korzyści duchowych i moralnych, na których nie będę się tu skupiał, niesie za sobą również ogromną liczbę korzyści psychologicznych.

Otóż badania („Journal of Experimental Child Psychology", styczeń 2017 r.) wskazują, że dzieci już w wieku siedmiu–dziewięciu lat częściej niż młodsze odczuwają poczucie winy po kłamstwie oraz pozytywne emocje po wyznaniu przewinienia. Sugeruje to, że praktyka spowiedzi może wspierać rozwój moralny, ucząc dzieci odróżniania dobra od zła oraz odpowiedzialności za swoje czyny.

Badania z University of Michigan (2017) pokazują, że dzieci są bardziej skłonne przyznać się do przewinień, jeśli przewidują pozytywną reakcję na ich wyznanie. A dla dziecka wychowywanego w religijnej rodzinie nie istnieje bardziej pozytywna reakcja niż przebaczenie od samego Chrystusa, które każdorazowo dziecko uzyskuje przecież w konfesjonale.

Również profesor z University of Massachusetts, Susan Krauss Whitbourne, na łamach „Psychology Today" z 2022 r. przekonywała, że praktyka wyznawania win może pomóc dzieciom w rozwijaniu empatii, ucząc je rozważania, jak ich działania wpływają na innych. Dzięki temu dzieci mogą lepiej zrozumieć konsekwencje swoich czynów i dążyć do poprawy. Takich badań przeprowadzono jeszcze wiele.

ALE SEKSEDUKACJA JEST OK

Antykatolicka szajba (proszę wybaczyć, ale nie znam lepszego słowa) i wynikające z niej wyrażenia typu: „Czemu dziecko ma się spowiadać przed facetem w sukience?", „Dlaczego obcy chłop ma PRZESŁUCHIWAĆ dziecko?" albo sugestie, co zrobi dziecku „facet żyjący w celibacie zamknięty z nim w maleńkim pomieszczeniu", znów pozwoliły wylać falę antyklerykalnego hejtu.

Jednocześnie jednak pozwoliły nam przypomnieć sobie, czego w rzeczywistości boją się walczący ze spowiedzią dzieci ateiści. To, że pieklą się na jakiekolwiek wspomnienie o grzechu, już nikogo nie dziwi. Otumanieni jednak tzw. światopoglądem naukowym nie dostrzegają korzyści ze spowiedzi – a wśród nich wymienić można konfrontację dzieci z własnymi błędami, redukcję poczucia winy i stresu, wzmacnianie sumienia, samokontroli i siły woli czy nawet poprawę relacji interpersonalnych.

Warto zwrócić uwagę jeszcze na jeden aspekt. Te same media, które usilnie promowały kolejną prowokację Betlejewskiego, gorąco popierają pomysł wprowadzenia w polskich szkołach wulgarnej edukacji seksualnej. Nauczyciele mieliby OBOWIĄZKOWO uczyć dzieci o masturbacji, stosunkach seksualnych, antykoncepcji, „tożsamościach płciowych", zmianie płci itp. I to jest według tych mediów nie tylko w porządku – to jest wręcz pożądane! A ksiądz w miejscu publicznym spowiadający dziecko przecież za aprobatą rodziców decydujących się wychować je po katolicku – już nie.

Tymczasem jest przecież dokładnie odwrotnie – i to także z prawnego punktu widzenia! Polska konstytucja gwarantuje rodzicom prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnym światopoglądem. A do katolickiego światopoglądu należy możliwość rozmawiania z dziećmi o seksualności po swojemu, ugruntowywania w nich – wraz z duszpasterzami – moralności chrześcijańskiej, a także, a może przede wszystkim, zachęcanie dzieci do uczęszczania do spowiedzi świętej. I tego się trzymajmy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 1d5b8d9732

Pogrzeb ks. Lecha Lachowicza, proboszcza parafii św. Brata Alberta w Szczytnie, skatowanego na plebanii przez 27-letniego Szymona K. FOT. TOMASZ NOWOCIŃSKI/SE/EAST NEWS

Księża na celowniku

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Fizyczne ataki na księży i profanacje obiektów kultu religijnego zdarzają się w Polsce coraz częściej. Nienawiść do katolicyzmu przybiera skrajne formy

Zmiażdżono mu głowę. Wybito mu oczy. Nos rozcięto na dwoje. Język przycięty i zęby wybite. By przestał myśleć. By nic już nie wiedział. By nie oskarżał i nie upominał – takie słowa usłyszeli wierni podczas mszy pogrzebowej 72-letniego ks. Lecha Lachowicza. Proboszcz parafii św. Brata Alberta w Szczytnie został pobity na śmierć w listopadzie. Zatrzymany w sprawie 27-letni Szymon K. przyznał się do usiłowania zabójstwa – zaatakował proboszcza na plebanii tasakiem, aby następnie dokonać rabunku. Sprawcę spłoszyła gosposia. – Jeden z policjantów stwierdził, że przez całą swoją służbę nigdy nie spotkał się z takim bestialstwem. Ciało ks. Lecha było nieruszone, natomiast głowa była zmasakrowana. Ten człowiek uderzał w nią tasakiem. Przeciął ją prawie na pół. Czoło i nos rozcięte na dwie połowy, warga, zęby wybite, kości czaszki były w mózgu. Jedno oko wypłynęło albo się zapadło. Na policzku też była rana cięta, taka 20-centymetrowa od tego tasaka – relacjonował proboszcz parafii Matki Bożej Częstochowskiej w Szymanach ks. Jacek Bacewicz w rozmowie z „Naszym Dziennikiem". Proboszcz parafii św. Brata Alberta w Szczytnie zmarł po kilku dniach w szpitalu.

Zamordowanego kapłana żegnały tłumy wiernych, parafianie nie zmieścili się w świątyni. – Ksiądz Lech poświęcił całe swoje życie głoszeniu Chrystusowego zwycięstwa nad złem, grzechem i śmiercią. Zło brutalnie odreagowało na nim jego posługę swym zbrodniczym piętnem, ale na pewno go nie zwyciężyło. On bowiem całym swoim życiem stanął po stronie zwycięzcy śmierci, piekła i szatana – mówił abp Józef Górzyński.

Sąsiedzi sprawcy nie mogą uwierzyć w to, co się stało. – Dla mnie to był grzeczny dzieciak, nic złego nie mogę o nim powiedzieć – mówił jeden z mieszkańców kamienicy. – Zawsze grzeczny. Jak raz zwróciłam mu uwagę, że pali na klatce, to przeprosił i od razu zgasił papierosa – opowiada ktoś inny.

Biegli psychiatrzy i psychologowie ocenili, że Szymon K. w chwili dokonania czynu był niepoczytalny. Teraz sąd zde-

eprasa.pl 1d5b8d9732

cyduje, czy weźmie tę opinię pod uwagę. Mężczyźnie grozi dożywocie.

NIENAWIŚĆ I PRZEBACZENIE

Tragedia ze Szczytna to niejedyny w ostatnim czasie brutalny atak na duchownego katolickiego, skutkujący jego śmiercią. 13 lutego wieczorem oficer dyżurny kłobuckiej komendy otrzymał zgłoszenie, że w budynku plebanii parafii Najświętszej Maryi Panny Fatimskiej w Kłobucku słychać odgłosy awantury. Gdy funkcjonariusze zjawili się na miejscu, znaleźli zwłoki 58-letniego proboszcza, ks. Grzegorza Dymka. Po krótkim pościgu zatrzymano sprawcę. To mieszkaniec Kłobucka, były policjant w roku 2001 dyscyplinarnie zwolniony ze służby.

Według wstępnych ustaleń duchowny został uduszony, a sprawca działał sam. Lokalne media opisywały, że proboszcz został zaatakowany prawdopodobnie chwilę po tym, jak wjechał samochodem do garażu plebanii. Szczegóły zbrodni są wstrząsające. Ksiądz miał zostać obezwładniony, a następnie skrępowany i zamordowany w piwnicy. „Ksiądz Grzegorz był z parafianami od 28 lat, razem z nimi budował kościół pw. NMP Fatimskiej. Zginął 13 lutego br., w dniu objawień fatimskich. Kłobuck pogrążony jest od 13 lutego w żałobie i we łzach. Dla wiernych parafii pw. NMP Fatimskiej to wyjątkowy dzień, ponieważ 13. dnia każdego miesiąca w kościele odbywa się msza święta. Kapłan zdążył odprawić tego dnia nabożeństwo o godz. 17, a dwie godziny później został brutalnie zamordowany przez Tomasza J." – opisywał „Fakt".

We wspomnieniu zamordowanego księdza, opublikowanym na portalu gość.pl, Szymon Babuchowski pisał o nim w ciepłych słowach: „»Ksiądz Grzesiu« albo po prostu »Grzesiu«, bo tak go nazywali. W Kłobucku powiedzenie, że idzie się na Mszę »do Fatimskiej« albo »do Grzesia« było synonimem – tak bardzo utożsamiano go z tą parafią, w której tworzeniu uczestniczył od samego początku, czyli od 1998 r.". „Nie wiem, jakie mogły być motywy zabójcy – nie potrafię sobie tego ułożyć w głowie. Media wskazują na możliwy motyw rabunkowy, bo ks. Grzegorz, chcąc uczciwie rozliczyć się z parafianami, powiedział niedawno z ambony o wysokości kwoty zebranej podczas kolędy. To jednak tylko spekulacje. Głęboko symboliczny wydaje mi się – nie tylko mnie zresztą, jak o tym świadczą komentarze internautów, fakt, że zginął w dzień fatimski, równo w 20. rocznicę śmierci siostry Łucji" – czytamy.

Ksiądz Dymek ogłosił z ambony, że w trakcie kolędy zebrano ok. 80 tys. zł. Tomasz J. przebywa w areszcie tymczasowym. Przyznał się do zabójstwa, jednak nie ujawnił motywów. Wiadomo, że z plebanii nic nie zniknęło. Pogrzeb proboszcza zgromadził tłumy. – Kochaliśmy Cię całym sercem. Nie umiemy się z tym pogodzić – mówili zrozpaczeni parafianie. – Odszedł nagle, niespodziewanie. Dla wielu z nas ta męczeńska śmierć jest niezrozumiała i bezsensowna, chcemy zrozumieć w tym sens – to słowa mieszkańców Kłobucka.

Podczas mszy pogrzebowej odczytano list od abp. Tadeusza Wojdy, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. „Brutalny napad i morderstwo powinny spotkać się z reakcją potępienia" – wskazał. Przypomniał, że to kolejny atak na księdza katolickiego w ostatnich miesiącach. „Nie ma miejsca w cywilizowanym chrześcijańskim społeczeństwie na akty przemocy i brutalności. Śmierć ks. Grzegorza nie może budzić w nas nienawiści, ale powinno płynąć chrześcijańskie przebaczenie" – zaapelował przewodniczący KEP.

BRAK REFLEKSJI

Jednak fala fizycznej nienawiści wobec księży, poza chwilowym wzmożeniem w mediach, zdaje się nie wywoływać głębszej refleksji ani też oburzenia polityków. W styczniu, podczas kolędy, doszło do ataku na jednego z kapłanów z parafii Najświętszego Serca Jezusowego w Sieradzu. „Przykro nam Was poinformować o incydencie, który miał miejsce na wczorajszej popołudniowej kolędzie, gdzie jeden z księży naszej parafii został potraktowany w brutalny sposób, naruszający jego fizyczność, psychikę i strój osoby duchownej. Podczas tego zajścia przy księdzu był obecny młody ministrant" – przekazano w ogłoszeniach duszpasterskich.

Proboszcz Mirosław Miłek wyjaśnił w rozmowie z portalem Sieradz Nasze Miasto, że zaatakowany został młody ksiądz, który w parafii pełni posługę od lipca ubiegłego roku. – Był w białej komży, czyli tak, jak się chodzi podczas kolędy. Przed jednym z bloków został znieważony, ale szczegółów nie będę zdradzał, bo to bolesna dla nas sprawa. Zresztą coś takiego stało się nie po raz pierwszy – przekazał proboszcz, nie chcąc ujawniać dalszych szczegółów. Ksiądz Miłek zwrócił się do wiernych z apelem o „zwracanie większej uwagi odnośnie do tego, kto jest obecny na klatce schodowej lub przed klatką, aby kapłan z ministrantem mógł bezpiecznie odbyć wizytę duszpasterską w domach". „Zechciejmy to spotkanie potraktować jako okazję do spotkania braci wierzących w Jezusa Chrystusa" – dodał.

Do ataku na kapłana doszło niedawno w polskim kościele Ducha Świętego w kanadyjskim mieście Winnipeg. Podczas sprawowania Mszy św. ksiądz został zaatakowany nożem przez jednego z mężczyzn. Agresor wbił nóż w ołtarz i usiadł przed nim. Dwóch wiernych ruszyło na pomoc – obezwładnili atakującego i wezwali policję. Okazało się, że to 50-letni Polak. Usłyszał zarzuty napaści z bronią w ręku, posiadania broni i zakłócenia zgromadzenia. Policjanci na razie nie ujawnili jego motywów, ale powiedzieli, że znają go z wcześniejszych incydentów. – To bardzo rzadki incydent i myślę, że wszyscy, którzy brali w nim udział, są dość wstrząśnięci – przekazał mediom konstabl Stephen Spencer, rzecznik prasowy policji z Winnipeg.

ATAK NA KRZYŻ

Media donoszą też o kolejnych aktach wandalizmu i profanacji obiektów kultu religijnego. Niedawno policjanci w Jastkowie zostali powiadomieni o sprofanowaniu przydrożnego krzyża. Sprawca złamał go, a następnie próbował wrzucić pod nadjeżdżający pojazd. Miał także poprzewracać i tłuc stojące przy krzyżu znicze. Zatrzymany, 48-letni mieszkaniec powiatu lubelskiego, usłyszał zarzuty obrazy uczuć religijnych i zniszczenia przydrożnego krzyża. Stwierdził, że kierowało nim silne zdenerwowanie.

W 2023 r. Instytut Ordo Iuris przygotował raport dotyczący przestępstw z nienawiści wobec chrześcijan. Odnotowano wtedy 118 takich zdarzeń na terenie Polski. W raporcie za rok 2022 było ich 77.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

Podczas akcji policji i Straży Granicznej z połowy lutego zatrzymano m.in. 204 obcokrajowców FOT. KSP WARSZAWA

Przestępczość z importu

Radosław Wojtas

Na polskie ulice wraca przestępczość rodem z lat 90. Mafie złożone z obcokrajowców, głównie z Gruzinów, są coraz bardziej zuchwałe

W połowie lutego polska policja przeprowadziła dwudniową akcję wymierzoną w osoby poszukiwane na podstawie listów gończych i nakazów doprowadzenia do aresztów śledczych lub zakładów karnych, wydanych przez polskie sądy i prokuratury. Uczestniczyło w niej 26 tys. funkcjonariuszy, którzy sprawdzili ponad 32 tys. adresów i miejsc, w których mogli przebywać poszukiwani. Zatrzymano 1474 osoby podejrzane lub już skazane. Akcję przeprowadzono we współpracy ze Strażą Graniczną, gdyż sprawdzano także legalność pobytu cudzoziemców. Zatrzymano 204 obcokrajowców. W 166 przypadkach policja wnioskowała do Straży Granicznej o wydalenie z Polski osób przebywających tu nielegalnie. „Ta akcja to początek cyklicznych działań służb, których nadrzędnym celem jest dbałość o bezpieczeństwo w naszym kraju. Żaden przestępca nie może czuć się w Polsce bezkarny i nieuchwytny – zapowiedziała Komenda Główna Policji. – To także sygnał dla tych, którzy chcieliby przyjechać do Polski, by prowadzić w naszym kraju działalność przestępczą – będą pod czujnym okiem polskich służb".

Polska policja lubi zorganizowane akcje („Prędkość", „Trzeźwość", „Znicz" etc.), po których chwali się mającymi robić wrażenie statystykami. Tym razem dwudniowe łowy przeprowadzono dwa tygodnie po deklaracjach premiera Donalda Tuska oraz ministra spraw wewnętrznych i administracji, koordynatora służb specjalnych Tomasza Siemoniaka, dotyczących coraz powszechniejszej w Polsce przestępczości zorganizowanej w wykonaniu obcokrajowców. – Zwróciłem się do ministra spraw wewnętrznych i administracji oraz ministra sprawiedliwości, aby przedstawili taki szybki plan natychmiastowej reakcji na przestępczość zorganizowaną i taką agresywną w wykonaniu obcokrajowców – mówił Donald Tusk podczas konferencji prasowej na początku lutego. – Chcemy zdusić w zarodku mafie, które składają się z obcokrajowców i próbują na polski teren przenosić najbardziej brutalne reguły i zwyczaje – powiedział kilka dni później w TVN24 Tomasz Siemoniak. – Nie pozwolimy, żeby to [przestępczość zorganizowana z lat 90. w Polsce] wróciło.

Problem w tym, że nie da się zdusić w zarodku zjawiska, które raczej weszło już w wiek dojrzewania, na co przed politykami zwróciły uwagę media. Wojna wypowiedziana – oby na serio – mafiom składającym się z obcokrajowców (głównie z Gruzji) nie jest akcją państwa podjętą w obliczu zagrożenia, jest raczej reakcją na medialne publikacje.

ZUCHWALI I BRUTALNI

Do Polski wraca brutalna przestępczość rodem z lat 90. ubiegłego wieku: napady, rozboje, kradzieże, wymuszenia, pobicia, porachunki – akty brutalne, dokonywane w poczuciu bezkarności, w biały dzień, w centrach miast. Eksperci do spraw bezpieczeństwa biją na alarm, że mamy coraz poważniejszy problem z przestępczością zorganizowaną importowaną ze Wschodu. Spośród wszystkich obcokrajowców najwięcej zatargów z prawem mają obywatele Ukrainy, co nie dziwi, skoro przebywa ich na terenie Polski ok. 1,5 mln. Jeśli jednak odnieść liczbę i ciężar gatunkowy przestępstw do liczności diaspory, to widać od razu, że największy problem mamy nad Wisłą z Gruzinami. Jak zdradził Tomasz Siemoniak, aż 10 proc. z 27 tys. przebywających w Polsce Gruzinów miało problemy z prawem. A to nie wszystko, bo – jak wskazał szef MSWiA – „do tych statystyk trzeba dodać, że kilka tysięcy obywateli Gruzji zostało wydalonych, a stu kilkudziesięciu siedzi w aresztach". Według danych przygotowanych przez policję dla „Rzeczpospolitej" liczba Gruzinów podejrzanych o dokonanie rozbojów i kradzieży wzrosła trzykrotnie w miesiącach styczeń–październik 2024 r. do analogicznego czasu w roku 2023.

Przestępcy są bardzo brutalni. „Na początku podchodzili do swoich ofiar, jeden z napastników wykręcał im ręce i trzymał, a drugi bił. Na koniec kradli pokrzywdzonym rzeczy" – podawała policja w grudniu 2024 r. po zatrzymaniu Gruzinów podejrzewanych o dokonywanie rozbojów w centrum Warszawy. Jednego z nich powiązano z wcześniejszym napadem na młodego mężczyznę. Sprawca i ofiara ruszyli razem windą z parteru, Gruzin wcisnął guzik najwyższego piętra, by mieć więcej czasu, i zaatakował. „W pewnym

eprasa.pl 1d5b8d9732

momencie drzwi się otworzyły, a pokrzywdzony pod wpływem uderzenia wypadł z niej [windy], upadając na podłogę. Sprawca wciągnął 23-latka z powrotem do środka i dalej bił" – podawała policja. Ofiara odniosła poważne obrażenia, w tym głowy (złamany oczodół), straciła pieniądze, dokumenty i telefon komórkowy. Inny obywatel Gruzji parający się rozbojami napadał na starsze kobiety i rabował pieniądze. Ofiary dodatkowo spychał ze schodów.

Przestępcy są cierpliwi, obserwują swoje ofiary, śledzą, poznają zwyczaje. Doskonale wiedzą, kiedy zaatakować, by łup był jak największy. W kwietniu ubiegłego roku w biały dzień napadnięto na mężczyznę, który wyszedł z kamienicy przy ul. Koszykowej w Warszawie. Napastnicy powalili go silnym uderzeniem w głowę i zabrali torbę z pieniędzmi, w której ów dżentelmen przenosił… 1 mln 727 tys zł. Ta sama grupa (złożona z trzech Gruzinów i jednego Ukraińca) ma na sumieniu znacznie więcej, m.in. napad na właściciela kantoru w Żarach. Sceny rodem z gangsterskich filmów: przestępcy spowodowali stłuczkę i kilofami wybijali szyby w aucie ofiary. Zrabowali 657 tys. zł. Wpadli podczas napadu na konwojentów pod kantorem przy ul. Puławskiej w Warszawie. Zrabowali wówczas 162 tys. zł i 7 tys. dol., jednego z konwojentów brutalnie dusili. Patrol policji, który akurat był w pobliżu, podjął pościg.

Do aresztu trafili też trzej Gruzini w wieku od 24 do 40 lat, którzy w lipcu 2024 r. zrabowali w Warszawie diamenty o wartości 110 tys. euro (a także m.in. 10 tys. euro w gotówce, lupę i wagę jubilerską). Tutaj pomogła nonszalancja konwojenta, który zatrzymał się na chwilę przy ul. Mokotowskiej, by wypłacić pieniądze. Gruzini wykorzystali moment i przebili oponę w jego samochodzie. Gdy mężczyzna zajął się wymianą koła, bandyci zrabowali ze środka cenny łup. Oczywiście nie była to ich pierwsza kradzież, poszukiwała ich wałbrzyska policja za napad na właściciela kantoru i rabunek 500 tys. zł.

Majętni ludzie bywają napadani także we własnych domach. W grudniu zamaskowani bandyci wdarli się do domu przedsiębiorcy spod Łańcuta. Jego właściciela torturowali – bili, polewali wrzątkiem, przystawiali nóż do szyi – by zdradził kod do sejfu. Podobne męki przechodziła inna rodzina z Sanoka. Napastnicy najprawdopodobniej ci sami. Mówili ze wschodnim akcentem.

POWOJENNE DOZBROJENIE

Gruzińskie mafie mają międzynarodowe struktury. Sprawcy, którzy wczoraj dokonali napadu w Warszawie, jutro mogą już działać w innym kraju. Do strefy Schengen wjeżdżają swobodnie – bez wizy, na podstawie paszportu. Legalnie mogą w niej przebywać do 90 dni w przeciągu pół roku. – Specyfika tych grup jest taka, że dzisiaj są w Warszawie, jutro w Berlinie, a pojutrze w Paryżu. Mają swoich tubylców, którzy typują im jakieś obiekty i wskazują cele działania, oni dokonują przestępstwa, a następnego dnia pakują łupy i zawijają się w inny rejon. No i wtedy miejscowa policja szuka wiatru w polu, bo nie ma wiedzy na ich temat w środowisku przestępczym na danym terenie – powiedział w rozmowie z Onetem gen. Adam Rapacki, twórca Centralnego Biura Śledczego i były wiceszef MSWiA.

Gruzińskie grupy przestępcze są hermetyczne. To inna narodowość, inny język, inna kultura. – Mają charakter homogeniczny, tzn. rekrutują się spośród Gruzinów dodatkowo połączonych więzami krwi, to klany rodzinne. Infiltracja takich grup przez policyjnych informatorów/agentów jest praktycznie niemożliwa [...]. Aby zwalczać to zagrożenie, musimy ściśle współpracować z partnerami w ramach Europolu – wskazał w rozmowie z Interią dr hab. prof. AWSB Tomasz Safjański, zastępca dyrektora Centrum Badań nad Bezpieczeństwem Transgranicznym Akademii WSB i były oficer Centralnego Biura Śledczego KGP.

Na to wszystko nakłada się kryzys w polskiej policji. – Daje o sobie znać sytuacja, w której znalazła się polska policja w ostatnim czasie. Mam tu na myśli potężne braki kadrowe, które teraz trzeba szybko uzupełnić, dokształcić i przygotować zawodowo, aby wypełnić tę lukę – dopowiada gen. Adam Rapacki. Minister Siemoniak ocenia tę lukę na kilkanaście tysięcy wakatów, „bliżej 10 tys. niż 15". Ale to nie koniec słabości polskiego państwa. „Plus Minus" z 1–2 lutego 2025 r.: „Pewien były wysokiej rangi oficer policji przekonuje, że »walka ze zorganizowaną przestępczością – gruzińską, ukraińską – została odpuszczona«. – Policjanci widzą, co robi sejmowa komisja do spraw Pegasusa, i boją się stosować zwykłą kontrolę operacyjną – twierdzi. Jak mówi, w planach było utworzenie specjalnej podstruktury w Centralnym Biurze Śledczym Policji (CBŚP) zajmującej się zwalczaniem gruzińskich gangsterów, powstał także zespół zadaniowy w Europolu, »bo oni w całej Europie zaczynają się bardzo rozrastać«. – Wszystko utknęło – ocenia nasz rozmówca".

Eksperci biją na alarm – trzeba działać już, bo za chwilę sytuacja może być jeszcze bardziej dramatyczna. Wraz z zakończeniem wojny na Ukrainie na czarnym rynku pojawi się dużo nielegalnej broni. Koniec wojny to także innego rodzaju zagrożenie, na co w rozmowie z „Financial Times" wskazywał Andrzej Duda (i za co został skrytykowany przez ukraiński MSZ). Prezydent zwrócił uwagę, że tysiące mężczyzn powracających z frontu będą się mierzyć z problemami psychicznymi: stresem pourazowym, stratą kolegów lub rodziny, powojenną rzeczywistością w zrujnowanym kraju. Przypomniał, że w latach 90. XX w. weterani sowieckiej interwencji w Afganistanie tworzyli grupy przestępcze, oraz wspomniał o wzroście przestępczości na Zachodzie po upadku ZSRS.

OD MANIFESTÓW DO CZYNÓW

Po politycznym wzmożeniu z początku lutego i dwa dni przed policyjną akcją opisaną na początku tekstu minister Siemoniak wystąpił na wspólnej konferencji prasowej z kandydatem na prezydenta PO Rafałem Trzaskowskim. Padły polityczne zapowiedzi, ale bez konkretów. A przecież – jak ocenił w rozmowie z „Rzeczpospolitą" gen. Rapacki – „potrzeba działań stałych, systemowych, codziennego, bezwzględnego wyłapywania tych, którzy mają trafić do zakładu karnego. Akcje może i wyglądają spektakularnie, ale przestępców nie przestraszą".

„Gazeta Wyborcza" ustami „jednego z warszawskich policjantów", który przyznaje, że „powoli wracają lata 90., kiedy szczególnie w Warszawie i dużych miastach panoszyły się gangi, policja nie mogła nad nimi zapanować", martwi się o coś jeszcze: „Prawica może wykorzystywać działania policji do podsycania nastrojów antyimigranckich".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

Oscary subiektywnie

Piotr Gociek

Niewiele dobrych filmów, obrażające inteligencję widza nominacje do nagród Akademii, ideologiczne szaleństwa Hollywood – taki był to rok

Noc oscarowa za nami – czytacie te słowa w chwili, gdy werdykt amerykańskiej Akademii Filmowej został ogłoszony i wszystko jest jasne. Jasne są też od lat zasady zabawy, do której zapraszam: trzymając się reguły „wybieraj tylko spośród nominowanych", przedstawiam własną ocenę tego, co w kinie wydarzyło się w poprzednim roku. Nie są to przewidywania – tym niech się zajmują hazardziści i bukmacherzy – lecz mój odrębny głos. I okazja do zastanowienia się nad trendami. Bo zawsze oscarowe nominacje wiele nam mówią o tym, w jakim miejscu znajduje się Hollywood.

Dobór tegorocznych tytułów i liczba nominacji dla poszczególnych filmów pokazują, że w zeszłym roku w amerykańskim kinie nie wydarzyło się wiele dobrego. Jak wytykałem kilka tygodni temu na łamach „Do Rzeczy": „Trzy najbardziej docenione filmy – »Emilia Pérez«, »Brutalista« oraz »Wicked« – są dowodem na to, że Hollywood upadło nisko i celebruje samobójstwo amerykańskiej kultury". Film „Emilia Pérez" zdobył 13 nominacji, „Brutalista" i „Wicked" po 10. Ale po kolei.

NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY

Już tu zderzamy się z najbardziej kontrowersyjnym obrazem ostatniego roku, bo oczywiście jest nominacja dla musicalu trans o meksykańskim narkobaronie, który wymyka się prawu, dokonując zmiany płci. „Emilia Pérez" to film francuski, w reżyserii Jacques'a Audiarda. Łukasz Adamski celnie określił tę produkcję mianem „transsocrealizmu" – to film nakręcony efektownie, ale po prostu głupi i zły. No ale słuszny. Omijam więc tę rafę i mam do wybory irańskie „Nasienie świętej figi" (reż. Mohammad Rasoulof), polsko-duńską „Dziewczynę z igłą" (reż. Magnus von Horn), brazylijski „I'm Still Here" (reż. Walter Salles) oraz łotewską animację „Flow" (reż. Gints Zilbalodis). „Flow" pomijam, bo chcę ten film wyróżnić w kategorii „najlepszy film animowany".

Co do pozostałych tytułów: Rasoulof i sędziwy mistrz kina brazylijskiego Salles nakręcili takie filmy, jakich można było się po nich spodziewać. To znaczy „Nasienie świętej figi" jest ważne, antyreżimowe i niegłupie (film kręcony w tajemnicy, reżyser prześladowany przez rząd Iranu). „I'm Still Here" jeszcze nie widziałem, więc nie będę się mądrzył. Ale ludzie, których opiniom i smakowi ufam, mówią, że to kino staromodnie powolne, ale w tym tkwi jego siła. Tak czy inaczej: klasyczny Salles. Uważam, że jeśli spojrzeć na wszystkich kandydatów z punktu widzenia: „Który film jest największym osiągnięciem sztuki filmowej?", to odpowiedź jest prosta: „Dziewczyna z igłą". Film ponury, film bolesny, film, z którym wielu się nie zgadza (ja też), ale to po prostu duża rzecz.

NAJLEPSZY FILM ANIMOWANY

Tu jestem rozdarty między wspomnianym „Flow", a najnowszą produkcją Aardman Animation, czyli filmem „Wallace

i Gromit: Zemsta pingwina". Pozostałe trzy filmy omijam: „W głowie się nie mieści 2" jest słabszy od jedynki, „Dziki robot" to jeden z bardziej przereklamowanych filmów sezonu, choć ładnie animowany, a „Pamiętnik ślimaka" to danie raczej dla smakoszy. Nagradzam „Flow", bo panowie z Aardman Animation mieli już swoje Oscary i nominacje, a Gints Zilbalodis – nie. W dodatku, przychodząc z zewnątrz, rozwalił system za niewielkie pieniądze i używając oprogramowania open source. Strzeż się, Hollywood!

NAJLEPSZE ZDJĘCIA

Mocno obsadzona kategoria i wiele rozterek, bo przyznajmy: nawet film niemądry czy tendencyjny może zachwycić robotą utalentowanego autora zdjęć.

eprasa.pl 1d5b8d9732

„Emilia Pérez" i „Nosferatu" (reż. Robert Eggers) to filmy nieudane, ale ten drugi wygląda piękniej. Poza tym mamy tu zdjęcia do filmu „Maria" Pabla Larraina, eleganckie i chłodne, oraz kandydata oczywistego, czyli drugą część „Diuny".

Myślę jednak, że ponad to grono naprawdę ciekawych dokonań (z wyłączeniem „Emilii Pérez") wybija się „Brutalista". Można się z przesłaniem filmu Brady'ego Corbeta głęboko nie zgadzać (ja się nie zgadzam), ale prawdziwą sztukę trzeba docenić. Zdjęcia Lauriego „Lola" Crawleya do „Brutalisty" to coś niezwykłego. Film Corbeta jest arcydziełem ułomnym, ale zdjęcia są po prostu arcydziełem. A tak przy okazji – w tej kategorii brakuje nominacji dla doskonałej roboty, którą w filmie „Nickel Boys" wykonał Jomo Fray.

NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

Tu słabo. Ariana Grande w „Wicked" – ot, aktorska konfekcja plus śpiewanki. W filmie, który jest konfekcją, niepotrzebnym prequelem dekonstruującym oryginał („Czarnoksiężnika z Oz"). Isabella Rossellini w „Konklawe" (reż. Edward

Berger) – najwyżej poprawna. Zostają trzy: Zoe Saldaña (pani adwokat w „Emilii Pérez"), Monica Barbaro (jako Joan Baez w „Kompletnie nieznany", reż. James Mangold) i Felicity Jones w „Brutaliście". Barbaro idealnie naśladuje Baez. Ale czy to dokonanie warte Oscara? Saldaña jest niezła, ale to nie jest wybitna aktorka, po prostu pewnego poziomu nie przeskoczy. Myślę, że ponad konkurencję wybija się Felicity Jones rolą w „Brutaliście".

NAJLEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

Po kolei. Po raz pierwszy w naszym omówieniu pojawia się nominacja dla filmu „Anora" – cóż, wszelkie laury i nominacje dla tego filmu uważam za mocno przesadzone. „Anora", love story o prostytutce i synu rosyjskiego oligarchy, to prze-

rost formy nad treścią, najsłabszy film bardzo utalentowanego Seana Bakera. Zatem na pewno nie Yura Borisov. Jeremy Strong w „Wybrańcu" (reż. Ali Abbasi) wciela się w bezlitosnego prawnika, który uczył życia młodego Donalda Trumpa. Robota solidna, owszem, ale nie wybitna. Guy Pearce w „Brutaliście" – rola dobra, ale blednie w starciu z duetem Felicity Jones i Adrien Brody.

Zostają nam Kieran Culkin za rolę w filmie „Prawdziwy ból" (reż. Jesse Eisenberg), nominowany nieco na wyrost, oraz Edward Norton jako folkowy pieśniarz Pete Seeger w „Kompletnie nieznanym". I to on właśnie wygrywa mój subiektywny ranking w tej kategorii. Wcześniej trzy razy był nominowany – teraz zasługuje, by wygrać.

NAJLEPSZA AKTORKA

Zacznijmy od usunięcia z tej kategorii pana/pani Karla Sofíę Gascón nominowanego/nominowanej za tytułową rolę w filmie „Emilia Pérez". Pomijając wszelkie kontrowersje (czy biologiczny mężczyzna może być nominowany za najlepszą rolę kobiecą?), wyróżnienie ma być za dokonanie aktorskie, a nie za operację zmiany płci. Biorąc zaś pod uwagę to, jak słabym filmem jest „Emilia Pérez", to pana/pani Gascón nie powinno tu być w ogóle.

Cynthia Erivo w „Wicked" – ten sam kłopot co z Arianą Grande nominowaną za rolę drugoplanową: aktorska konfekcja w filmie błahym, lecz ładnie zaśpiewanym. Mikey Madison za rolę tytułową w filmie „Anora" – zdecydowanie przeceniona. Zostają nam Fernanda Torres za rolę w „I'm Still Here" oraz Demi Moore za rolę w filmie „Substancja" (reż. Coralie

Fargeat). Jak wcześniej wspomniałem, nie widziałem jeszcze „I'm Still Here", więc wstrzymam się od głosu, ale z pozostałej czwórki na godną Oscara uważam w tym roku kreację Demi Moore. Wiem, wiem, body horror „Substancja" nie jest propozycją dla każdego, wielu ten obraz odrzuci (spodoba się za to fanom Cronenberga), ale Moore zagrała w nim rolę życia.

NAJLEPSZY AKTOR

Zanim przejdę do wymieniania, od razu wskażę zwycięzcę. Adrien Brody. To, co pokazał w „Brutaliście", jest fenomenalne. Takimi rolami aktor wspina się gdzieś na wyżyny zarezerwowane dla Ala Pacino

czy Marlona Brando. To jest największe aktorskie osiągnięcie Brody'ego, aktora, który w ostatniej dekadzie przeżywał upadki i wzloty, przy czym do upadków zaliczam choćby flirt z kinem chińskim i udział w tamtejszych propagandowych superprodukcjach historycznych.

Reszta stawki? Świetny Timothée Chalamet jako Bob Dylan w „Kompletnie nieznanym". Zaskakująco dobry Colman Domingo w filmie „Sing Sing" (reż. Greg Kwedar), który jeszcze do Polski nie dotarł i wpadnie pewnie niedługo do streamingu. „Sing Sing" to kino więzienne o aktorskiej trupie w zakładzie o specjalnym rygorze – niby pomysł wtórny, bo były już takie filmy, ale wykonanie bardzo dobre. Pozostałych panów w ogóle nie powinno tutaj być, a są to Ralph Fiennes z rolą w idiotycznym „Konklawe" i Sebastian Stan jako młody Donald Trump w „Wybrańcu". Obie nominacje uważam za czysto polityczne – ot, okazja, by dołożyć nielubianemu Kościołowi katolickiemu oraz jeszcze bardziej nielubianemu prezydentowi.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ADAPTOWANY

„Kompletnie nieznany", „Konklawe", „Emilia Pérez", „Nickel Boys", „Sing Sing" – serce wyrywa się ku opowieści

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1d5b8d9732

o Dylanie, która jest moim ulubionym filmem roku, ale, po prawdzie, najtrudniejsze zadanie mieli RaMell Ross i Joslyn Barnes, przenosząc na ekran powieść Colina Whiteheada „Miedziaki" („Nickel

Boys"). Byłem przekonany, że jest to pomysł z gatunku niemożliwych, okazało się jednak, że można. I można z dobrym skutkiem. Zatem wyróżniam ten właśnie scenariusz adaptowany.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ORYGINALNY

W tej kategorii pójdę znów drogą eliminacji: „Anora" – za błaha. „Substancja" – film efektowny, ale scenariusz to jednak powtórka z rozrywki po rozmaitych horrorach literackich (choć sam film efektowny, a ktoś powie, że odrażający). „Prawdziwy ból" – poprawny, bez nachalnego antypolonizmu, choć oczywiście wypada westchnąć i zapytać: Czy o Polsce już zawsze świat będzie opowiadał jedynie przez pryzmat relacji polsko-żydowskich

i powracając do traum Holokaustu? Zostaje „Brutalista", w którym robota aktorska, zdjęcia i reżyseria są lepsze od tendencyjnego, marksistowsko-syjonistycznego przesłania.

I co nam zostaje? „September 5", dramat rozgrywający się podczas igrzysk olimpijskich w Monachium. Scenariusz autorstwa duetu Moritz Binder i Tim Fehlbaum opowiada o rozterkach ekipy telewizji ABC, która zrządzeniem losu mogła na żywo relacjonować atak terrorystyczny palestyńskiej organizacji Czarny Wrzesień (zginęło 11 izraelskich sportowców i niemiecki policjant). Powiem szczerze – ze wszystkich moich werdyktów ten uważam za najsłabiej uzasadniony, ale od razu powiem, dlaczego właściwie jest mi obojętne, kogo tu nagradzam. Otóż najlepszy scenariusz roku, czyli ten do filmu „Przysięgły numer dwa" Clinta Eastwooda, w ogóle nie został nominowany. Wyrazy współczucia dla skrzywdzonego Jonathana Abramsa.

NAJLEPSZY REŻYSER

Zdążyłem już ponarzekać na tytuły, które zostały wyraźnie przecenione, co oznacza, że w tej kategorii wybór nie będzie trudny. Sean Baker za „Anorę"? Nie. Coralie Fargeat za „Substancję"? Nie. Jacques Audiard za „Emilię Pérez"? O nie, po trzykroć nie! Zostają James Mangold i jego „Kompletnie nieznany" oraz Brady

Corbet i „Brutalista". Co oznacza, że choć głęboko się z przesłaniem „Brutalisty" nie zgadzam, to wskażę właśnie Brady'ego Corbeta jako najlepszego reżysera. Nakręcił film kontrowersyjny, nakręcił film depresyjny, nakręcił film mocno nacechowany ideologicznie – a jednocześnie pokazał maestrię reżyserską rzadko dziś spotykaną.

NAJLEPSZY FILM

Czy nagroda dla najlepszego reżysera oznacza automatycznie nagrodę za najlepszy film? Oczywiście, że nie. W poprzedniej kategorii oceniałem artystyczne rzemiosło. W tej podpowiem, który film broni się moim zdaniem jako całość. Aż 10 tytułów otrzymało nominacje. O pięć za dużo: nie zasłużyły na to ani „Wicked", ani „Substancja", ani „Anora", ani „Emilia Pérez", ani „Konklawe". „I'm Still Here"

pomijam, bo seans dopiero przede mną, więc zostają cztery: druga cześć „Diuny", „Brutalista", „Kompletnie nieznany", „Nickel Boys" i „Kompletnie nieznany". Nowa „Diuna" jest dobra, ale jednak słabsza od pierwszej. „Nickel Boys" to pięknie sfotografowana, ale ambitna porażka, za bardzo pretensjonalna tyrada. „Brutalista" zaś jest filmem wielkim i ułomnym zarazem.

Filmem kompletnym jest dla mnie „Kompletnie nieznany", w dodatku wyróżniam w ten sposób jednego z najlepszych żyjących amerykańskich reżyserów. James Mangold nigdy nie doczekał się uznania, na które zasługuje. A jest mistrzem w starym stylu komercyjnego Hollywood, ze szkoły Johna Forda czy Franka Capry. W odróżnieniu od ponurego „Brutalisty" film „Kompletnie nieznany" daje nadzieję i krzepi. Zamiast powtarzać „kapitalizm niszczy sztukę, Ameryka to kraj bogatych faszystów", Mangold mówi nam: kapitalizm wyzwala. Uwodzony ideologicznie przez socjalistę stalinistę Seegera młody Bob Dylan ostatecznie odrzuca obowiązki pieśniarza w służbie postępu i idzie własną drogą. Artysta wybija się na wolność nie poprzez odrzucenie kapitalizmu, lecz jego wykorzystanie na własną chwałę.

ZAGINIENI W AKCJI

Jak zwykle na koniec parę uwag o tytułach niesłusznie przegapionych przez Akademię. Wśród nominowanych najlepszych aktorów powinien znaleźć się Jude Law za rolę w „The Order: Ciche

bractwo". Wśród dokumentów powinien znaleźć się „Dahomey". Ale największym przegranym jest w tym roku Clint Eastwood, który nakręcił jeden ze swoich najlepszych filmów – „Przysięgły numer dwa". Zignorowanie tego moralitetu przez Akademię Filmową mówi nam równie wiele o stanie ducha Hollywood jak grad nominacji dla nieszczęsnej „Emilii Pérez".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1d5b8d9732

Czechow
bojkotowany poprzez wystawianie

FOT. MARIANNA KULESZA

Grzegorz Kondrasiuk

Salomonowa mądrość postdramatyzmu, można grać Czechowa, a jednocześnie go bojkotować, na afiszu użyć nazwiska przyciągającego publikę, a powiedzieć swoje

Warszawski Teatr Powszechny wystawił „Wiśniowy sad" (w reżyserii ustępującego dyrektora tej sceny, Pawła Łysaka) jako spektakl gest. Używamy arcyrosyjskiego klasyka – powiada Teatr – aby za jego pomocą demonstracyjnie odrzucić „rosyjskość" (Rosjanie i rosyjska kultura z pewnością będą tym odważnym gestem ostatecznie pognębieni). „Radykalny Czechow" służy też do opowieści o aktualnych nastrojach, a nastroje są apokaliptyczne – takie właśnie akty strzeliste czytamy w materiałach do spektaklu. Salomonowa mądrość postdramatyzmu, można grać Czechowa, a jednocześnie go bojkotować, na afiszu użyć nazwiska przyciągającego publikę, a powiedzieć swoje… Są to stare i opatrzone przyzwyczajenia ekipy z Powszechnego, niezmiennie parającej się publicystyką teatralną. Reżyser wraz z dramaturgami (Paweł Sztarbowski, Łukasz Chotkowski) dokonali po prostu przepisania dramatu z aluzjami do najbardziej aktualnych postaci i zdarzeń. A zwycięstwo Trumpa i jego powyborcze deklaracje wzniosły tę aktualność na jeszcze bardziej aktualny poziom.

Najmocniejszym, wręcz ostentacyjnym zabiegiem było powierzenie roli Firsa ukraińskiemu aktorowi o wojskowej posturze Artemowi Manuilowi. Pamiętamy oryginał: Firs to schorowany lokaj staruszek, pierwszoplanowa postać drugoplanowa, zapomniany przez wszystkich w sprzedanej posiadłości, do którego należy ostatnia kwestia sztuki. To właśnie z niej, po koniecznych skrótach, najwyraźniej wyprowadzony jest koncept tego spektaklu: „O mnie zapomnieli…" pada, już bez żadnych reżyserskich zabiegów, w ostatnich sekundach, i jest całkowicie jasne, że bynajmniej nie chodzi tu o Firsa, a o Ukrainę. We wcześniejszych scenach Manuilow co i rusz opatruje akcję mocnymi, rozbijającymi dyskomfort komentarzami („Jak tak dalej pójdzie, to sami będziecie w okopach siedzieć", „Wroga trzeba po prostu zabić"). Staje zatem w kontrze do towarzystwa „ziemian" zebranych wokół Raniewskiej – tutaj przedstawicieli sytych, zachodnich społeczeństw. Wątek ten uwiarygadnia jeszcze przestrzeń wykreowana przez Roberta Rumasa. Oglądane z różnych perspektyw dzięki obrotowej scenie miejsce akcji wyznaczają surowe ściany z pustymi, wielkimi otworami, jakby po oknach i drzwiach. Obok zwalone na stos, zdekompletowane meble i materac niedbale rzucony na podłogę. To jest właśnie ten cudowny, sielankowy dwór w otoczeniu wiśniowego sadu. Został zdewastowany, może ostrzelany i ograbiony, zanim jeszcze zaczęła się akcja sztuki. Błąkają się też tu zresztą psychopaci z bronią, tacy jak Szymon (Grzegorz Falkowski w przepisanej postaci Jepichodowa), gotowi zabić z zimną krwią każdego, właściwie nie wiadomo dlaczego.

Ale twórcy przedstawienia, mnożąc te wojenne, ukraińskie jednoznaczności, zarazem próbują się od nich uwolnić. W tym celu wzywają na pomoc Becketta: akcja zaczyna się od kwestii z „Końcówki", wypowiadanych przez Raniewską (Ewa Skibińska) i jej guwernantkę, Charlottę (Aleksandra Konieczna): „To odpowiednia pora, aby zażyć środek uśmierzający". W tym świecie bez nadziei może być nim jedynie śmierć. A ponieważ artystom z kręgu Teatru Powszechnego bardzo trudno jest uwolnić się od ciągle tych samych obsesji i tematów, proponują drobną korektę beckettowskiego egzystencjalizmu, gdzie za przeczucie końca odpowiada – jakże by mogło być inaczej? – globalne ocieplenie. Ponieważ jednak, gdzieś pod spodem, spoza tego Wielkiego Wyjaśnienia, co i rusz odzywa się polifoniczny, uciekający od jakichkolwiek wyjaśnień Czechow, plany interpretacji mnożą się i wymykają spod kontroli. Wybrzmiewa np. jeszcze jeden, oczywisty i czytelny w warszawskim kontekście wątek: spór aktywistów z „libkami", narysowany za pomocą obecnego w tekście portretu kapitalisty Łopachina. Mateusz Łasowski jako Jeremi (bo tak przemianowano tu dorobkiewicza) to postać witalna, zwierzęca wręcz, a swoją kreację dedykuje Rafałowi Brzosce, współwłaścicielowi InPostu. Wchodzi on w spór z młodym idealistą Piotrem, bo „wieczny student" Trofimow został na potrzeby spektaklu odmłodzony (Jan Sałasiński). Za jego przyczyną pojawia się w spektaklu nutka optymizmu…

Występuje tu zatem dziwne materii pomieszanie. Widzowie ceniący Czechowa i jego niuanse psychologiczne mogą odczuwać przyjemności raczej z gatunków tych masochistycznych. Tortury rekompensować mają przebłyski świetnej gry, osobiste zaangażowanie artystów w sprawy świata tego oraz wielka, katastroficzna metafora. Ale trudno uwolnić się od pytania: Czy tego wszystkiego nie można by opowiedzieć bez Czechowa? ©℗

„WIŚNIOWY SAD" NA PODSTAWIE SZTUKI ANTONA CZECHOWA, TEATR POWSZECHNY W WARSZAWIE
REŻYSERIA: PAWEŁ ŁYSAK
TEKST I DRAMATURGIA: ŁUKASZ CHOTKOWSKI, PAWEŁ SZTARBOWSKI
PREMIERA: 8 LUTEGO 2025 R.

eprasa.pl 1d5b8d9732

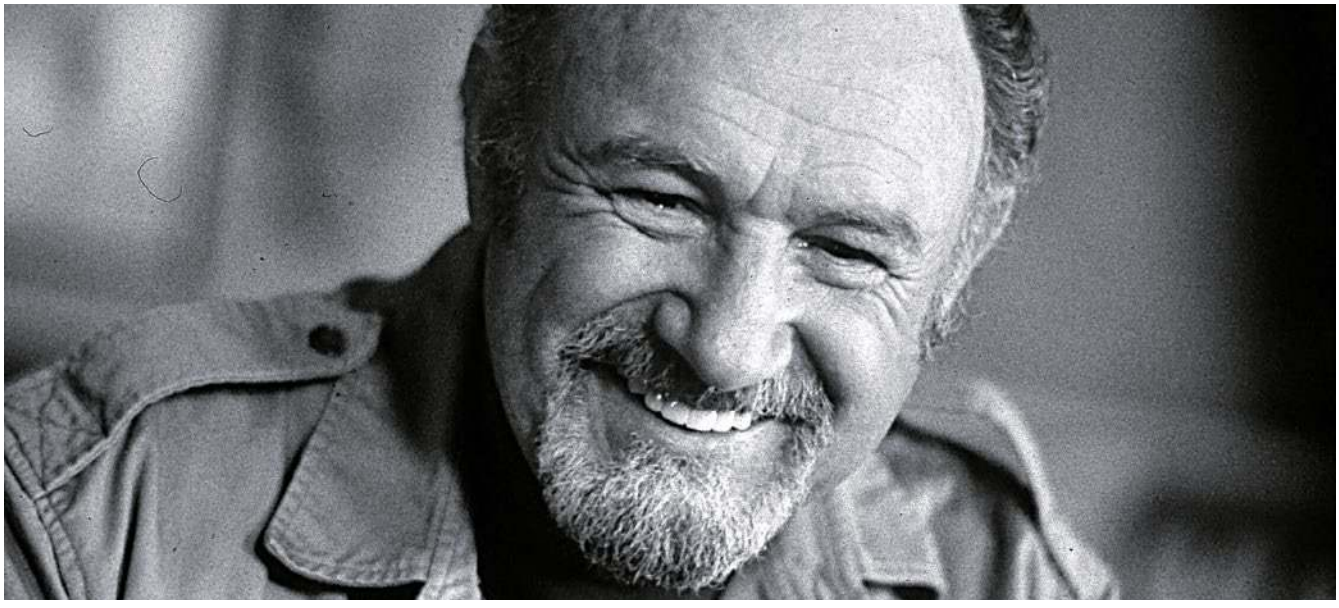

FOT. MARY EVANS PICTURE LIBRARY/EAST NEWS

PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Koniec rozmowy

Na szczegółowe informacje o przyczynach śmierci jeszcze chwilę poczekamy, pożegnać wypada się już teraz: zmarł Gene Hackman, jeden z największych aktorów XX w. – bo obdarzony niezwykłym darem.

Pięciokrotnie nominowany, ostatecznie zdobył dwa Oscary. Gdy porównamy role, za które go wyróżniono, odkryjemy tajemnicę jego sukcesu. Rok 1971: policjant we „Francuskim łączniku" Williama Friedkina. Rok 1993: łotr w „Bez przebaczenia" Clinta Eastwooda. Otóż zarówno bohaterowie pozytywni, jak i negatywni w rękach Hackmana zamieniali się zawsze w bohaterów wieloznacznych. Nie oznaczało to odwrócenia znaczeń, lecz nadanie im wiarygodności. Z kolei tam, gdzie trafiała mu się rola człowieka bez właściwości (nazywano go idealnym w Hollywood odtwórcą ról everymanów), potrafił ją wymyślić, stworzyć samemu i obdarzyć zadziwiającą głębią. Tak się stało w przypadku Caula, bohatera filmu Coppoli „Rozmowa" (1974). W moim przekonaniu to najwybitniejsze osiągnięcie Hackmana.

Kiedy po latach w gładkim komercyjnym „Wrogu publicznym" (1998) widzimy Hackmana obok Willa Smitha, dostrzegamy, że stoją obok siebie prawdziwy aktor oraz chłopiec, który jedynie udaje aktora. To kolejna supermoc Hackmana – nawet drobną i stereotypową rólkę potrafił zamienić w pamiętny epizod. Od 2004 r. już nie występował – z pożytkiem dla spokoju ducha oraz zdrowia i ku smutkowi Hollywood. Inna sprawa, że nie wiem, czy ktoś mógł w ostatnich latach dać mu rolę godną talentu.

Pod ręką mądrego reżysera rozkwitał: tak było w „Genialnym klanie" Wesa Andersona (2001). W superprodukcji potrafił zrobić coś z niczego – wspomnijmy rolę Lexa Luthora w „Supermanie" Richarda Donnera (1978). Za młodu był żołnierzem, potem studiował dziennikarstwo. Jakże dobrze się stało, że nie został generałem ani reporterem. Inna sprawa, że Polacy powinni go mieć w szczególnie miłej pamięci właśnie dzięki roli generała: przecież to Hackman był Stanisławem Sosabowskim w filmie „O jeden most za daleko" (1977).

Od dawna nie pasował do nowych czasów. „Szkolono mnie na aktora, a nie na gwiazdę" – powiedział w jednym z wywiadów. „Uczono mnie grać, a nie radzić sobie ze sławą, agentami, prawnikami i prasą". Dziś takich jak Hackman już nie ma. ©℗

GRA TYGODNIA: „SID MEIER'S CIVILIZATION 7"

★★★★☆☆

W najnowszej odsłonie „Cywilizacji" osobno dokonujemy wyboru dowódcy, osobno startowej cywilizacji. I tak możemy w skórze Napoleona rządzić starożytnym Rzymem czy Benjamina Franklina postawić na czele Majów. Z kolei nacje zmieniamy w trakcie rozgrywki, wraz z wchodzeniem w kolejne ery (są trzy: antyku, odkryć, nowożytna), więc możemy tworzyć ciekawe połączenia, choć to rozwiązanie nie wszystkim przypadnie do gustu. Podobnie jak uproszczenie niektórych mechanik. Całość jest nieco chaotyczna i – póki co – mniej wciągająca od poprzedniczek. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *strategia, turowe*
- ***Platforma:*** *PS5, PS4, XSX, XONE, NS, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Firaxis; 2K Games (PL: Cenega)*

eprasa.pl 1d5b8d9732

Demokrata walczący

tv

Jaki termin przydatności do spożycia mają filmy nagrodzone najważniejszym Oscarem? Sądząc po „Dżentelmeńskiej umowie", niezbyt odległy. W zestawieniach produkcji, które nie zasłużyły na statuetki, dzieło Kazana pojawia się rzadko. Królują trącące myszką musicale, nudne sagi rodzinne i przegadane melodramaty. Znęcać się nad „Dżentelmeńską umową" nie wypada, gdyż to Film Zwracający Uwagę Na Ważki Problem Społeczny. W kraju, który wzbogacił skarbnicę ludzkich mądrości o powiedzenie, że szlachetnymi intencjami wybrukowane jest piekło, możemy sobie jednak pozwolić na szczerość. Pal diabli, że dialogi są koturnowe, realizacja zaś – teatralna. Takie było ówczesne kino. Trudniej znieść plakatowość fabuły. Główny bohater jest wcieleniem obywatelskich cnót, fanatykiem prawdy i uczciwości gotowym podpalić świat, skoro ten nie dorasta do jego wymagań. Kaznodziejski ton filmu świadczy, że już wtedy w branży rozrywkowej istniała tendencja, by zamiast bawić widzów, zacząć ich wychowywać.

★★★☆☆☆

REŻ. ELIA KAZAN
„DŻENTELMEŃSKA UMOWA" („GENTLEMAN'S AGREEMENT")
USA 1947

wyst. Gregory Peck, Dorothy McGuire, Celeste Holm

W Hollywood antysemityzm nie miał racji bytu, jednak dopiero po klęsce Hitlera producenci łaskawszym okiem spojrzeli na scenariusze otwarcie piętnujące rasizm. Film Kazana bazuje na dobrym pomyśle. Nowojorski reporter przez osiem tygodni udaje Żyda, by zbadać, jak silne są uprzedzenia chrześcijan wobec hebrajczyków. Dla dziennikarza „Dżentelmeńska umowa" to sentymentalna podróż w czasie. Ach, te redakcje – twierdze demokracji wypełnione kłębami papierosowego dymu, opiekuńczy redaktorzy, życzliwi koledzy… Nowo zatrudniony pismak dostaje gabinet z sekretarką, temat zwalniający go z bieżących obowiązków i (jak mniemam) królewską pensję. To były czasy!

Z trzech Oscarów jeden wydaje się zasłużony. Celeste Holm zjadła na śniadanie Dorothy McGuire, pozbawioną wsparcia scenarzystów i ekranowego partnera. Atmosfera na planie była ponoć fatalna. Kazan i Peck unikali się przez resztę życia. Filmowa krucjata przeciw gnębieniu mniejszości nabrała jednak rozpędu, gdyż cynicy jako pierwsi orientują się, w którą stronę wiatr zmian wieje, a nawet największy głupiec wie, że z duchem czasu lepiej żyć w zgodzie. ©℗

Wiesław Chełminiak

BYĆ KOBIETĄ

KINO

Narkotykowy baron, żonaty i dzieciaty, ma dwa marzenia: chce zmienić płeć i zacząć żyć uczciwie. Proszę się nie śmiać, sprawa jest śmiertelnie poważna. Zachodzę w głowę, skąd wzięło się 13 nominacji do Oscarów. „Emilia Pérez" oburza przecież wszystkich. Amerykańską konserwę, meksykańskich patriotów, feministki, a nawet entuzjastów tranzycji. Technicznie rzecz biorąc, film jest hybrydą. Pomysł, by ożenić telenowelę z musicalem, pasuje do reżysera, który ma na koncie takie dziwolągi jak antywestern „Bracia Sisters", sentymentalno-krwawych „Imigrantów" tudzież apologię seksualnego multi-kulti („Paryż, 13 dzielnica"). Doprawdy, źle się dzieje w Hollywood, jeśli nawet w wywoływaniu skandali muszą go wyręczać zblazowani cudzoziemcy. Doceniam choreografię i aktorstwo, jednak nie wierzę, by zmiana ciała zmieniała duszę. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. JACQUES AUDIARD
„EMILIA PÉREZ"
FRANCJA/USA/MEKSYK 2024

wyst. Karla Sofia Gascón, Zoe Saldana, Selena Gomez

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Chełmoński superstar

Powiedzieć, że pierwsza od lat wielka wystawa obrazów Józefa Chełmońskiego, którą do niedawna można było podziwiać w Muzeum Narodowym w Warszawie jest sukcesem, to nic nie powiedzieć. Obejrzało ją ponad 200 tys. osób, co jest absolutnym rekordem, który dotychczas należał do wystawy „Picasso", którą zobaczyło ok. 143 tys. osób.

Po Warszawie czas na Poznań. Choć wernisaż dopiero przed nami (wystawa będzie czynna od 7 marca), to bilety są już w sprzedaży od 11 lutego. W Warszawie ustawiały się długie kolejki, pewnie podobnie będzie w Poznaniu.

FOT. LIGIER PIOTR/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Wystawa „Józef Chełmoński 1849–1914" jest zwieńczeniem projektu badawczego realizowanego w latach 2022–2025 przez trzy Muzea Narodowe w Warszawie, Poznaniu i Krakowie. Składa się na nią prawie 120 obrazów, w tym: „Babie lato", „Wieczór letni – wspomnienie Ukrainy", „Noc księżycowa", „Orka", „Bociany" czy „Burza". ©℗

GDZIE?
Muzeum Narodowe w Poznaniu
KIEDY?
7 marca–29 czerwca

eprasa.pl 1d5b8d9732

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sprawy fundamentalne

Najnowsza książka Rafała Wojasińskiego przypomniała mi jego wcześniejszą „Olandę" (2018), której bohatera prawie wszystko nudziło poza mówieniem i rosołem. Narratorkę „Zapamiętanego" nie nudzi „stanie, gapienie się na drzewa, niebo, zaoraną ziemię. Nie nudzi mnie łażenie. Czekanie na śmierć. Ale nudzi mnie sedno. Istota rzeczy. Sens. Prawda".

Przed wielu laty Jan Kaczmarek w swojej piosence („Kurna chata") opowiadał o tym, że:

Gdzieś tam prezydent zbiegł w szlafroku,
Gdzieś tam przyjęli jako wskaźnik stopę zysku.
Pięć wizyt, sześć wyroków,
Ktoś przez pomyłkę rekord świata pobił w dysku.

FOT. TOMASZ PALCIOS/FOTONOWA

To był utwór kabaretowy, a przynajmniej za taki uchodził. W nowej książce Rafała Wojasińskiego wesołości ni śladu. Bohatera „Olandy" jeszcze bawiły psikusy, tutaj radości już nie ma. A co jest? Wegetacja, ta – jak twierdził nauczyciel z sąsiedniej wioski – największa głębia życia.

„Ja nie zostałam wymyślona – powiada o sobie narratorka »Zapomnianego«. – Zostałam urodzona. Nie ma zasługi. Są narodziny i śmierć. Limit na odkrywców, geniuszy, wybitne myśli, odkrycia, rzeczy wymyślone zupełnie mi się wyczerpał. Chcę w ciszy trwać, słuchać, czekać".

Trwa odliczanie: „Poniedziałek, wtorek, środa… Jestem jak woda pod lodem, która płynie, ale nie znajduje ujścia w brzegach na bocznych kanałach. Jestem pod powierzchnią, niosąc życie. Przeciskanie się wąską ścieżką. Jestem początkiem i końcem swojego jałowego umysłu".

Nowy tom prozy Wojasińskiego zawiera drugi jeszcze utwór: „Drewniany tulipan", opowieść o świecie widzianym z perspektywy łóżka, z której niezwykłym wydarzeniem staje się to, że „pan Gienek przestał wychodzić na balkon z papierosem. Tak wygląda brak życia". Tego życia już wkrótce nie będzie, bo leżąca jest skazaną na to, co nieuniknione, a przecież ma te same pragnienia, co wszyscy inni. Odczuwa pożądanie, głód, pragnienie i miłość do matki, jedynej osoby, z którą ma kontakt. Uległa wypadkowi, zdiagnozowano jej niedotlenienie mózgu. Ile jeszcze czasu zostało? Ile?

I czy naprawdę to wszystko jest powierzchowne, bo „tylko jedzenie, picie, zasypianie i wstawanie mają głębię", a „jedynym, wielkim hołdem oddanym istnieniu i życiu jest trwanie jałowego umysłu. Bycie"? „Nigdy nie będziesz należała – przyznaje bohaterka »Zapamiętanego« – do wysokich budowli gotyckich, do rozległych placów w stolicach Europy, nie będziesz nawet należała do miękkich foteli w kinach czy teatrze. Idź do starej, opuszczonej, poluterańskiej wsi, tam są domy, których już nikt nie chce… Idź do zapomnianej krainy".

Bo przecież to ona sama „chciała, żeby tak było, chciała mieszkać w miejscu, gdzie nie mieszka nikt inny, gdzie ona i on […] mogli być jak najbardziej sami, w miejscu opuszczonym przez wszystkich innych, w miejscu, gdzie wiosna jest wiosną, jesień jesienią, zima zimą, a lato latem, właśnie w takim miejscu chciała mieszkać, myśli, ale teraz, kiedy widać jedynie ciemność, dlaczego on tam stoi i patrzy w tę ciemność? Dlaczego to robi? Dlaczego stoi tak często, kiedy nic nie widać?". A nie, to akurat nie Wojasiński, lecz Jon Fosse mówiący tymi słowy w noweli „To jest Ales". Przeczytałem ją niemal w tym samym czasie co „Zapomniane". Uderzające są ta sama pulsacja słów, ten sam rytm prozy, jakiej próżno szukać u innych wyrobników literatury mieniących się pisarzami. Takie książki jak te nie olśniewają, a skąd! One hipnotyzują, tak że niepodobna się od nich oderwać, chociaż lektura to bolesna.

W 2023 r. Jon Fosse otrzymał Literacką Nagrodę Nobla za „nowatorskie sztuki i prozę, które – jak to zostało sformułowane – dają wyraz niewysłowionemu". I właśnie to wszystko, co niewysłowione, odnajdujemy też w pisarstwie Rafała Wojasińskiego. Tak się składa, że nie ma nic ważniejszego ponad to. ©℗

★★★★★★
RAFAŁ WOJASIŃSKI „ZAPOMNIANE" PIW, WARSZAWA 2025

eprasa.pl 1d5b8d9732

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Powrót taty

Wbrew spontanicznej, oddolnej segregacji płciowej lektur dziecięcych i młodzieżowych zawsze lubiłem czytać „Małe kobietki". Książka Louisy May Alcott była dla mnie bowiem chłopięcą książką przygodową, ale z dziewczynami, no i odrobiną Jane Austen (to późniejsze spostrzeżenie).

Australijska pisarka Geraldine Brooks dopisuje do książki Alcott drugą połowę, koncentruje się bowiem na losach nieobecnego w „Małych kobietkach" ojca, który na ochotnika wyruszył, by walczyć w wojnie secesyjnej. Zaczyna od listu, który pamiętamy z oryginalnej książki, ale potem maluje już obraz zupełnie inny niż w korespondencji pana Marcha. Wychodzi bowiem z założenia, że dla pokrzepienia dziewczęcych serc celowo podkolorowywał swą korespondencję. Powieść Brooks pokazuje nam natomiast, jak okrucieństwa wojny wyglądają naprawdę i co przydarzyć się może idealiście, człowiekowi głęboko wierzącemu (kapelanowi), gdy zderzy się z orgią przemocy i rozlewu krwi.

Wyszła z tego dobrze napisana powieść historyczna, którą w roku 2006 uznano nawet za godną Nagrody Pulitzera. Dziś nie byłoby to już możliwe, co wnioskuję z lektury amerykańskich recenzji najnowszej książki Brooks – powieści „Koń" (2022). Autorka rugana jest bowiem za to, że choć biała, to pisze o czarnoskórych bohaterach i że jest za mało demonstracyjnie antyrasistowska. Takie są zgubne skutki podporządkowywania literatury ideologii, cieszmy się więc „Marchem" i nie zwracajmy uwagi na tych, którzy mają pretensje, że to o białych kobietach i mężczyznach oraz tylko jednej Afroamerykance.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego zarówno „Małe kobietki", jak i dopisek do klasyki, czyli powieść „March", brzmią dziś wręcz kontrrewolucyjnie. Otóż ojciec, patriarcha (samiec?), okazuje się figurą niezbędną, by rodzina znów mogła stać się całością. A powieść Alcott (i Brooks też), owszem, jest wezwaniem do feminizmu, lecz takiego prawdziwego, tzn. staromodnego: żeby nie umniejszać kobiecie, gdy nie jest zamężna, żeby obie płcie szanowały się nawzajem i zmieniały świat, ale w symbiozie, każda wedle własnych konceptów.

Redaktorka i pisarka Teresa Nielsen Hayden kpiła sobie z książki Brooks, twierdząc, że to właściwie fan fiction. Nie miała racji. To prawdziwa powieść, choć raczej postawię ją wśród zręcznie napisanych, a nie wśród wybitnych. ©℗

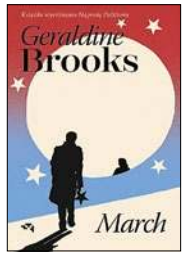

★★★★☆☆
GERALDINE BROOKS „MARCH" WYDAWNICTWO RELACJA 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Polska strategia na czas wojny światowej". USA demontują globalizację, idzie nowa zimna wojna – z Chinami. Co jest w interesie Polski? Czy wszystko załatwią wydatki na armię? Czy nasze elity cokolwiek rozumieją?

JACEK BARTOSIAK „OCZY SZEROKO OTWARTE" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Kiedyś Rzymianie ruszali na wroga bronić „wolności, ojczyzny i rodziców" (w tej właśnie kolejności, prawi rzymski historyk). Odmieniła to żądza pieniądza i łatwej kariery. Czytajmy klasyka, by szukać klucza do teraźniejszości.

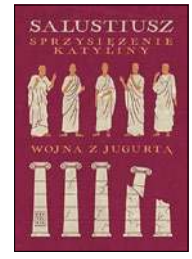

SALUSTIUSZ „SPRZYSIĘŻENIE KATYLINY. WOJNA Z JUGURTĄ" CZYTELNIK

Niczym w thrillerach z czasów zimnej wojny – jeśli spisek, to rosyjski, jeśli cel, to serce USA. Wiedzą już o tym widzowie serialu Netflixa z Gabrielem Basso według powieści Quirka, teraz przeczytać możemy literacki pierwowzór.

MATTHEW QUIRK „NOCNY AGENT" ZYSK I S-KA

Ona odchodzi, on rwie włosy z głowy i próbuje zrozumieć, co poszło nie tak, przecież było tak dobrze. Ona (w finale) przedstawi swój punkt widzenia. Zabawna komedia romantyczna, coś dla serc złamanych w walentynki. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

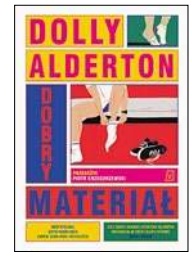

DOLLY ALDERTON „DOBRY MATERIAŁ" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

KOMIKS TYGODNIA:
PO KOŃCU ŚWIATA

Nieco humorystyczne post-apo, ale z poważnymi pytaniami: Współpraca czy przemoc? Powrót do starych technologii czy nowe otwarcie? Nieodległa przyszłość, bohaterowie pływają łodzią po ulicach Paryża, na przedmieściach stoją wraki czołgów, powszechny lęk budzą strefy napromieniowania, brzegami rzek przechadzają się aligatory. Autorski komiks twórcy znanego z cyklu „Złoto i Krew".

Piotr Gociek

MERWAN „MECHANIKA NIEBA" WYDAWNICTWO KURC 2024

eprasa.pl 1d5b8d9732

Polska frajerem narodów

Łukasz Warzecha

Podczas gdy na świecie zaczęło się już dzielenie łupów, które wynikną z zakończenia walk na Ukrainie, polskie elity wciąż dyskutują o tym, co „powinno" być albo czego „nie wolno"

FOT. ADOBE STOCK

Aż 140 mld zł – taką sumą według najnowszego, przedstawionego w lutym pakietu danych, opracowanego przez Kiloński Instytut Gospodarki Światowej (Kiel Institut für Weltwirtschaft), Polska od początku wojny wsparła Ukrainę. Jest to łącznie pomoc bezpośrednia, w tym militarna oraz ta obejmująca uchodźców. To suma ogromna – na każdego pracującego Polaka przypada ponad 9,3 tys. zł. Pod względem sum bezwzględnych jesteśmy na trzecim miejscu, za bez porównania bogatszymi Stanami Zjednoczonymi (114 mld euro) i Niemcami (52 mld euro). W przypadku USA dominuje oczywiście pomoc wojskowa (64 mld euro).

Jeśli natomiast spojrzeć na odsetek PKB (z 2021 r.), to Polska nie ma sobie równych. Wydaliśmy na pomoc dla Ukrainy i Ukraińców 5,46 proc. naszego produktu krajowego brutto. Następna, sporo z tyłu, jest Estonia – 4,33 proc., a na trzecim miejscu Łotwa – 4,18 proc. Niemcy są dopiero na 13. miejscu – 1,33 proc. (wyprzedzają je w tej klasyfikacji m.in. Węgry), a USA zajmują 28. miejsce – 0,53 proc.

Podsumowując trzy lata wojny, trzeba też spojrzeć na sumę, którą ogólnie przekazali Ukrainie wszyscy jej donorzy, wliczając w to pomoc dla uchodźców. A jest to suma gigantyczna: 366 mld euro, czyli ponad 1,5 bln zł. Nie sposób nie postawić przy tym pytania, jaka część pomocy kierowanej bezpośrednio na Ukrainę ostatecznie dotarła do celu, jaka zaś trafiła do przepastnych kieszeni ukraińskich oligarchów czy skorumpowanych urzędników. Jedno natomiast jest oczywiste: po trzech latach wojny Ukraina nie jest państwem samodzielnym. Jest głęboko uzależniona od płynącego z zagranicy dofinansowania. Z tego punktu widzenia trzeba nawet podziwiać jej zdolność do podejmowania negocjacji, jak to się stało w przypadku umowy ze Stanami Zjednoczonymi dotyczącej eksploatacji ukraińskich złóż surowców naturalnych, z której Kijowowi udało się jednak usunąć najdalej idące korzystne dla Waszyngtonu rozwiązania. Co nie zmienia postaci rzeczy, że mający powstać fundusz będzie oczywiście promował przedsiębiorstwa amerykańskie i że mamy tu do czynienia z pewną formą kolonizacji.

SKUTKI SANKCJI

Analizując wyniki trzech lat wojny, trzeba pamiętać również o tym, co kosztuje konkretne pieniądze, a czego nie udało się policzyć. To skutki sankcji, których 16. pakiet został dopiero co zatwierdzony przez UE. Problem w tym, że w ciągu tych trzech lat nie doczekaliśmy się rzetelnego podsumowania wpływu sankcji na Rosję w zestawieniu z ich wpływem na Unię Europejską. Sankcje w pierwszym okresie wojny były prezentowane jako sposób na radykalne utrudnienie Moskwie jej działań zbrojnych i wykolejenie rosyjskiej gospodarki. Miało to nastąpić w ciągu kilkunastu miesięcy.

Zgodnie z prognozami OECD rosyjski wzrost ma faktycznie zwolnić w tym i kolejnym roku – ma wynieść 1,1 proc. w 2025 r. oraz 0,9 proc. w 2026 r. – nie jest to jednak ani stagnacja, ani tym bardziej recesja. Rosja zużywa swoje rezerwy, ale nie ma to przełożenia na jej zdolność do prowadzenia działań zbrojnych. Również dlatego, że – na co wskazywałem od samego początku – jest krajem autorytarnym, a więc ewentualne wzburzenie społeczne z powodu trudnych warunków ma tam znaczenie bez porównania mniejsze niż na Zachodzie, a także dlatego, że jej obywatele są przyzwyczajeni do bardzo trudnych warunków życia. Wrażliwa na ich pogorszenie może być najwyżej absolutnie szczątkowa rosyjska klasa średnia, obecna jedynie w kilku dużych miastach, która nie ma większego znaczenia. Najbogatsi, uzależnieni od symbiozy z władzą, i tak sobie radzą. Rosja ma też ogromną głębię strategiczną oraz wielkie zasoby surowców naturalnych.

Tymczasem wiele spośród wprowadzonych sankcji oznaczało istotny koszt dla Unii Europejskiej i jej obywateli. A pamiętać trzeba, że pieniądze wydawane czy to przez Europejczyków na droższą energię, czy przez europejskie rządy na dopłaty do niej nie trafią do budżetu ministerstw obrony i nie kupi się za nie nowych samolotów, czołgów czy rakiet.

Gdyby zatem ten instrument traktować racjonalnie, a nie w kategoriach symbolicznej zemsty, należałoby dokładnie podsumować skutki sankcji i dostroić ich system w taki sposób, aby zrezygnować z tych, które bardziej obciążają sankcjonujących niż sankcjonowanych. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Co ciekawe, po trzech latach wojny o praktycznych skutkach sankcji europejscy politycy właściwie już

eprasa.pl 1d5b8d9732

nie mówią, za to są one uznawane za sposób wymierzenia jakiejś kary czy narzędzie międzynarodowej sprawiedliwości.

DZIEŃ ŚWISTAKA

Z przykrością trzeba też stwierdzić, że trzecia rocznica rozpoczęcia wojny w Polsce sprawiała wrażenie, jakbyśmy mieli Dzień Świstaka. W Internecie zaroiło się od komentarzy jako żywo przypominających te z pierwszych miesięcy wojny, tak jakby tych trzech lat w ogóle nie było. Masy trolli – w dużej mierze zapewne botów, być może rosyjskich, a być może ukraińskich – powielały dawno zużytą narrację o „ruskich onucach", obrzucając tym wyzwiskiem każdego, kto wskazywał na jałowość toczenia dalszej walki oraz na twarde fakty każące opowiadać się za pokojem (czy może raczej: przerwaniem walk). Te twarde fakty to nie tylko gigantyczne pieniądze wpakowane w Ukrainę, lecz także porażająca liczba ofiar. Trudno tutaj o w pełni miarodajne szacunki, ale jeśli wierzyć ustaleniom dziennikarzy „The Wall Street Journal" sprzed kilku miesięcy, to po stronie ukraińskiej mówimy o ok. 100 tys. zabitych i ok. 400 tys. rannych.

Po stronie rosyjskiej liczba zabitych może być podobna – tak by wynikało z ustaleń organizacji pozarządowych – aczkolwiek niektóre media, choćby BBC, oceniają ją na ok. 50 tys. ofiar więcej. Z kolei brytyjski „The Economist" szacował latem ubiegłego roku na podstawie dokumentów Departamentu Stanu, że liczba zabitych i rannych po stronie rosyjskiej może wynosić od blisko 500 do ponad 700 tys. Miałoby to stanowić ok. 2 proc. wszystkich rosyjskich mężczyzn pomiędzy 20. a 50. rokiem życia. Problem w tym, że w całej Federacji Rosyjskiej zasoby ludzkie, z których może korzystać autorytarny reżim, są gigantyczne. Wszystkich mężczyzn w tym kraju jest ok. 66 mln. Na Ukrainie natomiast – trochę ponad 17 mln. Z tego część uciekła za granicę przed poborem.

Trzecia rocznica to również nabrzmiewający w Polsce spór o to, jak nasz kraj powinien się odnajdywać w błyskawicznie zmieniającej się sytuacji strategicznej. Na razie wszyscy politycy głównego nurtu wpatrzeni są w sondaże jednoznacznie pokazujące najwyżej kilkunastoprocentowe poparcie dla wysłania na Ukrainę polskich żołnierzy. Ogromna większość – zwykle wyraźnie powyżej 70 proc. – jest takiemu rozwiązaniu przeciwna. Zarazem znaczna część wzmożonego komentariatu przybiera ton podobny jak w pierwszym roku wojny, otwarcie zagrzewając polskie władze do podjęcia decyzji wbrew opinii społecznej.

Największy problem tutaj mają ci, którzy niewolniczo podążają za przekazem dnia PiS. Politycy i stronnicy tego ugrupowania potraktowali Donalda Trumpa jak mesjasza. Problem w tym, że Donald Trump robi teraz wszystko to, co przez lata wojny było potępiane w czambuł przez polityków ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego, a na dodatek oczekuje, że to Europejczycy – w tym Polacy – wyjmą mu z ognia gorące kasztany i dopilnują zawieszenia broni. Trump wie, co robi – jego spotkanie z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem pokazuje, że jawi się tutaj wspólny amerykańsko-francuski interes. Macron ma niezaspokojone ambicje przewodzenia Europie i popychania naprzód europejskiej integracji, a tak się akurat składa, że Niemcy po wyborach pogrążone będą w kluczowym okresie w politycznym bezwładzie. W tę próżnię chętnie wejdzie Paryż, przekonując, że trzeba przeć ku wspólnej europejskie armii, a to musi automatycznie oznaczać rezygnację z weta w sprawach zagranicznych i obrony. Francja to również znaczący producent uzbrojenia, który zarabia na potęgowaniu poczucia zagrożenia. Trump oferuje zatem francuskiemu prezydentowi możliwość realizacji własnych ambicji, popychania UE ku ściślejszej integracji, a przy okazji – niezłego zarobku. W zamian ma nadzieję, że będzie mógł trzymać amerykańskich żołnierzy względnie daleko od strefy zgniotu.

9,3 tys. zł

TYLE POLACY WYDALI NA POMOC DLA UKRAINY W PRZELICZENIU NA KAŻDEGO PRACUJĄCEGO

Niestety, jest to gra całkowicie wbrew polskiemu interesowi, którym jest pozostanie poza wszelkim zaangażowaniem. Można się natomiast obawiać, że ton wypowiedzi obecnej władzy – a bardzo możliwe, że również ewentualnego zwycięzcy wyborów prezydenckich, gdyby został nim kandydat PiS – zmieni się po 1 czerwca, kiedy nie trzeba już będzie udawać. Co do pana Trzaskowskiego, jest to w zasadzie pewne; co do pana Nawrockiego – bardzo prawdopodobne, wziąwszy pod uwagę, że nagły zwrot PiS w kierunku ukrainosceptycyzmu razi brakiem wiarygodności i koniunkturalizmem. Aczkolwiek przyznać trzeba, że są w PiS politycy, którzy nigdy nie podzielali skrajnie proukraińskiej linii tego ugrupowania. To przede wszystkim członkowie dawnej Suwerennej Polski, a także choćby Przemysław Czarnek.

DZIELENIE ŁUPÓW

Bezradność polskich elit wobec sytuacji, która powstała na trzylecie wojny, bierze się z ich intelektualnego bezwładu i niezdolności do przekroczenia infantylnych schematów myślowych. Na przykład stosunek do administracji Trumpa jest funkcją przekazu serwowanego twardemu elektoratowi w Polsce. Stąd strona rządowa – a szczególnie bliscy jej komentatorzy – z ulgą przyjęła twardo realistyczny kurs Waszyngtonu, bo wreszcie może wrócić na dobrze sobie znane tory potępiania Realpolitik i bezkarnie wskazywać na amerykańskiego prezydenta jako „zdrajcę" Europy i Ukrainy.

Z kolei PiS jest w kropce, bo jeśli Trump jest „dobry", to nie można go potępić za działania wobec Ukrainy, choćby trzeba było połykać własny język. Nie można też przyznać, że jego strategia niekoniecznie musi być korzystna dla Polski. Spośród trzech ugrupowań notujących największe poparcie w swym stosunku do tej sytuacji wiarygodna jest tylko Konfederacja, która kursu nie musi zmieniać.

Nad tym wszystkim unosi się fatalny dla Polski nawyk uprawiania polityki deklaratywnej i na dodatek moralistycznej. Podczas gdy zaczęło się już dzielenie łupów, które wynikną z zakończenia walk na Ukrainie, polskie elity wciąż dyskutują o tym, co „powinno" być albo czego „nie wolno".

Polsko! Lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą;
A teraz jesteś służebnicą cudzą

– oskarżycielsko grzmiał w „Grobie Agamemnona" Juliusz Słowacki. Może pora dopisać kilka wersów o byciu frajerem narodów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

Czy Bóg nie ma płci?

FOT. ADOBE STOCK

Agnieszka Marianowicz-Szczygieł

Żyjemy w dojmującym kryzysie i kobiecości, i męskości. Jednocześnie toczy się intensywna walka kulturowa. Niepokojąco zostały rozmyte granice każdej z płci. To rodzi poczucie zagubienia

Rodzinny poranek. Wszyscy śpieszą się do swoich obowiązków. Przed łazienką ustawiła się już kolejka. Najmłodsza latorośl miała „tylko wziąć prysznic", ale już od blisko godziny okupuje to tak nieodzowne o poranku domowe pomieszczenie. Ojciec rozważa już, czy nie umyć zębów w kuchni, od czego powstrzymuje go żona. Brat przestępuje z nogi na nogę. Wreszcie drzwi się otwierają. Matka już podnosi ton głosu, żeby wylać swoją frustrację, a ojciec i brat dziewczyny chcą ochoczo dołączyć do tego chóru, ale obydwoje rodzice spoglądają znacząco po sobie. Obydwoje spóźnią się także dziś do pracy. Syn ma na szczęście do szkoły na godz. 9.50.

Oto do łazienki weszła Zuzia, a wyłoniła się Zuzanna, która dziś po raz pierwszy zrobiła swój makijaż. Roznosi się za nią woń perfum. Ma starannie ułożone włosy, które jakoś niespotykanie błyszczą. Jak zareaguje dziś o poranku ta rodzina na ten wyraźny przejaw kobiecości? Jak zareagują mama, tata i starszy brat? Jak w ogóle rodzą się męskość i kobiecość, zwłaszcza w dzisiejszych rodzinach, i jak są definiowane w sporach kulturowych?

*

Większości osób dorosłych wydaje się, że mężczyzną lub kobietą stali się samoczynnie. Nie pamiętamy, jak do tego doszło. Pewne kwestie traktujemy jako oczywiste. O ile mężczyzną lub kobietą się rodzimy, o tyle męskość i kobiecość trzeba jednak w dużej mierze ukształtować. Bezwiednie przekazujemy tu pewne międzypokoleniowe wzorce. To proces zazwyczaj nieświadomy i składający się z wielu drobnych sytuacji, komunikatów, czasem niewerbalnych, ale zachodził u każdego z nas. Na ten proces składają się nasze ciało, wpływ naszej rodziny i najbliższego otoczenia, rówieśników, a współcześnie także popkultury.

O takim biopsychospołecznym modelu rozwoju tożsamości płciowej traktuje większość teorii psychologicznych. Być może jeszcze ważniejszy jest tzw. proces modelowania. Mimowolnie identyfikujemy się jako dzieci z osobą z najbliższego otoczenia, która jest wzorcem naszej płci – chłopcy naśladują więc ojca, a dziewczynki matkę. „Wzorują się" na niej. Dzięki niej wiedzą, jak wyglądają, reagują

eprasa.pl 1d5b8d9732

i zachowują się kobiety, i odwrotnie. Chłopcom jest nieco trudniej, bo muszą przełączyć się z „z modelu kobiecego" na „męski". Więź z matką jest bowiem więzią pierwotną, z racji na bliskość fizyczną, ciążę, karmienie piersią itd. Być może m.in. dlatego zaburzenia płci i seksualności nieproporcjonalnie częściej zdarzają się wśród mężczyzn (z wyjątkiem zespołu ROGD, o którym później). Ryzyko zaczyna się, gdy wokół nie ma np. wzoru męskości…

POSTRZYŻYNY I INNE ZWYCZAJE

Wiele kultur ok. siódmego roku życia symbolicznie przekazywało syna spod opieki matki pod opiekę ojca. Na tym polegały m.in. słowiańskie postrzyżyny. Równie mądre i doniosłe w skutki są wszelkie zwyczaje męskich inicjacji, w trakcie których nastolatek sprawdza się i jest oficjalnie, w sposób publiczny, przyjmowany do grona mężczyzn. Można tu wymienić udział w pierwszym polowaniu i pierwszą zdobycz, pasowanie na rycerza czy w starożytnym Rzymie uroczyste zgolenie pierwszej brody i nałożenie togi (która wówczas pełniła rolę garnituru klas wyższych).

Zawsze namawiam liderów młodzieżowych czy instruktorów harcerskich, aby organizowali współcześnie jakiś rodzaj zdobywania sprawności i publicznego nadania symbolicznego certyfikatu męskości. Ma to ogromne znaczenie! Kobiecość jest w nieco większym stopniu „nadawana" przez fizjologię. Bardzo podoba mi się tu anglosaski zwyczaj jakiejś małej, kameralnej babskiej uroczystości z okazji pierwszej miesiączki córki. To także publiczne uznanie kobiecości i usunięcie bariery wstydu. To także świetna okazja do porozmawiania o oczekiwaniach i obawach. Podobnie jak baby shower – obsypanie prezentami przyszłej mamy w trudnym dla niej czasie blisko porodu.

Współcześnie jednak żyjemy w dojmującym kryzysie i kobiecości, i męskości. Ponadto toczy się intensywna walka kulturowa. Następuje pomieszanie ról. Niektóre zmiany cywilizacyjne są z pewnością korzystne, jak większe zaangażowanie się mężczyzn w opiekę nad dziećmi czy w prowadzenie domu lub samodzielność finansowa kobiet. Jednocześnie zostały jednak niepokojąco rozmyte granice każdej z płci. To rodzi poczucie zagubienia. Usuwamy kolejne granice i nie dajemy nic w zamian. Pod sztandarami walki ze stereotypami płci odmawia się dziś prawa do tradycyjnych ról, walczy z rodziną i „wypatrosza" męskość i kobiecość. Zwłaszcza w dobie wymierania Polski trzeba przypominać, że dzieci rodzą się i najlepsze warunki do wychowania mają w rodzinach, nawet jeśli czasem bywa inaczej.

Męskie polowania czy kobiece pogaduchy przy studni pozostały gdzieś za nami, w kulturach pierwotnych. A potrzebujemy czasem takich oddzielnych płciowo przestrzeni. Co oferujemy zamiast nich? Organizowane tzw. kręgi kobiece mają często dużo wspólnego z pogaństwem czy szamaństwem. Wspólny mecz przy piwie – czy tylko to zostało dziś mężczyznom? Jakby tego było mało – feminizujemy chłopców w procesie edukacji, a dziewczynki pozbawiamy kobiecości. „Przepraszam, ale to chłopiec" – przypomina autor książki „The Boy Crisis" i uwrażliwia nas na naturalne okazje do wychowania płciowego.

NAWET KARPIA JUŻ NIE ZABIJE

Co gorsza, kultura wypacza zdrową męskość i kobiecość. Zwłaszcza mężczyźni, którzy „przestają nosić spodnie" i nie mają tu przestrzeni pozostawionej przez kobiety, popadają w pułapkę braku sprawczości i np. grzęzną w pornografii. Krzyczące feministki odstraszają. Wbrew założeniom kobiecość jest w feminizmie portretowana przez słabość i w kontekście podatności na przemoc. Mizoginia jest zastępowana przez mizandrię (awersję do mężczyzn). Zamiast „szklanego sufitu" pojawia się dyktat „złotych spódniczek" i irracjonalne, odgórne narzucanie „parytetów płci" lub pozbawione realizmu wyliczanie tzw. gender gap (luki płacowej). Ponadto przemysł modowy i kosmetyczny nakłada na kobiety niewiarygodną wręcz presję w dziedzinie wyglądu i sylwetki. Zwłaszcza dla nastolatek ta presja w połączeniu z okrutną krytyką rówieśników w mediach społecznościowych jest nie do uniesienia. Dochodzi także do tego, że mężczyzna, który otwiera kobiecie drzwi lub całuje w rękę albo oferuje pomoc w drobnej naprawie samochodu, jest nawet posądzany o mikroagresję! On często nie ma jak się sprawdzić jako mężczyzna, nie ma swojego poletka. Nawet karpia już nie zabije, bo kupujemy karpie wypatroszone…

Dlatego takiego znaczenia nabiera dziś wspieranie w zdrowym poczuciu męskości i kobiecości. Dziecko musi usłyszeć, jakiej jest płci (żadnego wychowania neutralnego płciowo!) i że atrakcyjnie jest być chłopcem lub dziewczynką (przemocowy ojciec lub toksyczna matka, która co krok oskarża ojca, że jest fajtłapą, tego nie ułatwiają). Wreszcie musi paść komunikat: jesteś męski lub kobieca. Do męskości i kobiecości wychowujemy, ale nie ma tu zupełnej dowolności.

Przypomina się tu eksperyment na braciach Davidzie i Brianie Reimerach, zakończony samobójstwem ich obydwu. Pierwszy z nich w wyniku nieudanej operacji w wieku niemowlęcym stracił prącie i był „wychowany na dziewczynkę", ale mimo to pozostał chłopcem. Eksperyment na braciach Reimerach miał wykazać, że o tym, jakiej płci jest dany człowiek, decyduje jego wychowanie. Dowiódł jednak czego innego – że queerowe były tylko zamiary jego inicjatora – szalonego dr. Johna Moneya.

Co należy podkreślić, można i trzeba zapobiegać i homoseksualizmowi, i transseksualizmowi, które mają wspólne źródło w deficytach, traumach lub brakach wzorców związanych z płcią. Na przykład molestowanie seksualne, odrzucenie na pierwszej randce, naśmiewanie się powodują symboliczne odrzucenie danej płci. Powodem mogą być także wyidealizowane wzorce kulturowe, żeby nie powiedzieć stereotypy, ale nie takie, jakie przedstawia lewica. Dla lewicy samo mówienie o kobiecości i męskości jest czymś, co należy odrzucić. Tymczasem chodzi raczej o to, żeby uznać, że nie muszę być Arnoldem Schwarzeneggerem, aby być mężczyzną, a jako kobieta nie muszę być Miss World, i że pewna elastyczność płci jest konieczna. Cechy męskie lub kobiece stanowią statystyczne kontinuum, lecz sama płeć nie jest spektrum i nie można jej wybrać.

Identyfikacja płciowa, zwana czasem płcią psychiczną, to nic innego jak autopercepcja, która może być złudna, ale nie bierze się znikąd. Często rodzi się powoli w tysiącach zdarzeń. Wyjątek stanowi ROGD (Rapid-onset gender

eprasa.pl 1d5b8d9732

dysphoria) – zespół nagłej dysforii płciowej, na który zapadają najczęściej nastoletnie dziewczęta. Jest on skutkiem tego, że próbują one niwelować znaczące kłopoty psychiczne, relacyjne albo różne traumy, także kulturowe, bądź po prostu ulegają tzw. zarażeniu rówieśniczemu. Czasem też padają ofiarą algorytmów mediów społecznościowych żerujących na niewinnej ciekawości i podpowiadających treści protranzycyjne.

Złożone przyczyny tego zjawiska oraz odwrót od tranzycji dzieci i młodzieży omawia profesjonalne narzędzie, którym są „Standardy i wytyczne Stowarzyszenia Psychologów Chrześcijańskich w zakresie diagnozy oraz terapii dzieci i młodzieży z problemami identyfikacji płciowej" (https://www.spch.pl/zespol-spch--ds-plci-i-seksualnosci). Powstały one w międzynarodowym, interdyscyplinarnym, psychologiczno-medycznym gronie. Oprócz przywołania danych naukowych dokument uzasadnia, dlaczego tranzycja, w tym zmiana imion w szkołach, jest dysfunkcjonalna. Musimy także pamiętać, że istnieją pod kątem płci dwa okresy krytyczne: pierwsze trzy, cztery lata życia i okres nastoletni. Podejście „Psychoterapia najpierw", gdy coś pójdzie nie tak, zabezpiecza z kolei przed tym, aby nie stosować hormonów np. jako antydepresantów.

„Płeć człowieka nie jest »stanem umysłu«, ale binarną rzeczywistością biologiczną, ukierunkowaną funkcjonalnie na proces rozmnażania płciowego" – czytamy we wstępie „Standardów i wytycznych SPCh". Dalej dowiadujemy się, że płci zmienić się nie da, ponieważ: „Nie ulegają zmianie chromosomy płciowe w komórkach organizmu, nie ma możliwości przekształcenia gonad męskich (jąder) w żeńskie (jajniki) i odwrotnie". Z definicją płci mamy dziś bowiem także na gruncie nauki duży problem. Projekt edukacji zdrowotnej zamiast wzmacniać poczucie tożsamości płciowej, sprzyja jego neutralizacji. Naturalne przejście przez okres dojrzewania jest konieczne, zwłaszcza że większość takich młodych osób identyfikujących się jako trans w końcu identyfikuje się z płcią przeciwną (nawet ponad 80–90 proc.), ale to nie oznacza, że w sytuacji problemów z identyfikacją płciową rodzice mają być bierni. Znam tu polskie historie z happy endem. „Jeśli nie będziesz przytulał swojego syna, to zrobi to inny mężczyzna" – ostrzegał z kolei pionier w dziedzinie psychoterapii homoseksualizmu dr Joseph Nicolosi.

BÓG NIE JEST GENDERYSTĄ

Pokazujmy, jak ważne są odrębność i piękno każdej z płci z osobna. Pięknie i słusznie napisał o tym w książkach „Urzekająca" i „Dzikie serce" John Eldredge: mężczyzna sprawdza się w walce i rywalizacji (także o nią), a ona potrzebuje od niego usłyszeć, że jest „piękna" (i rozszerzmy tu kategorię piękna także na piękno duchowe). On chce być bohaterem i wojownikiem, potrzebuje być traktowany zwłaszcza z szacunkiem, ona z miłością – jak naucza Biblia. Publiczne krytykowanie mężczyzny przez jego małżonkę kastruje go. Kobieta z kolei jak tlenu potrzebuje wyrazów czułości. A taka wzajemna troska o siebie jest miarą miłości. Tylko obie płcie jednocześnie są w raju obrazem Boga (Rdz 1, 27: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę"). Choć Jezus nazywał na Ziemi Boga Ojcem, to Bóg na początku Księgi Rodzaju wydaje się nie mieć płci, ale nie jest też genderystą. Chrześcijaństwo od swego początku optowało też za równością płci: „Nie ma już mężczyzny ani kobiety" – przypominał w tym kontekście św. Paweł (Ga 3, 28). Być może dopiero w niebie płeć nie będzie mieć aż takiego znaczenia, skoro „nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić" (Mt 22, 30). Nie będzie też więc seksu, ale za to będzie coś znacznie lepszego! Będziemy „jak aniołowie" (Mt 22, 30).

David Reimer w wyniku nieudanej operacji w wieku niemowlęcym stracił prącie i był „wychowany na dziewczynkę", ale mimo to pozostał chłopcem

Niemieckie przerabianie Biblii na „Bible in Gerechter Sprache" (Biblii w „sprawiedliwym" języku z żeńskimi końcówkami, wolną od dyskryminacji) czy wyrzucanie „Ojcze Nasz" z „Modlitwy Pańskiej", wprowadzanie wszelkich „herstories" nie jest ani teologicznie poprawne, ani mądre. Zamiast walczyć ze sobą, stawiajmy na współpracę i komplementarność płci. Nawet jeśli – do czego mamy prawo – kobieta nie maluje paznokci, nosi spodnie i woli rajdy samochodowe od pieczenia ciasta, a facet nie lubi piłki nożnej, piecze ciasta i płacze na filmach. Zawsze znajdą dla siebie swoje babskie i męskie ścieżki.

Drogie panie, feminizm jest raczej dowodem słabości kobiet i ugrzęźnięciem w kompleksach. Drodzy panowie, prawdziwie pewny siebie i silny mężczyzna chroni swoją rodzinę i kocha wiernie swoją żonę. Nie potrzebuje udowadniać, że jest macho… Dowodem siły jest współpraca, a nie wykrwawiająca nas walka płci. Uczmy i wychowujmy dzieci do pięknej kobiecości i męskości! Mam nadzieję, że trochę w tym pomogłam.

*

– No co się tak gapicie! – zabiera głos Zuzia, zdziwiona domowym zgromadzeniem przed drzwiami łazienki. Ton głosu ma niby pewny siebie, ale czuje się zawstydzona i wyraźnie zmieszana. Błądzi wzrokiem gdzieś po podłodze.

– Ale siora wyglądasz! – odpowie w końcu starszy brat z wymodelowaną jakimś sposobem grzywką.

– Czyli jak? – pyta odważnie Zuzia.

– No… ekstra!

– Mamy piękną kobietkę w rodzinie! – dopowie mama, zakładając jej ręce na szyję i uśmiechając się pod nosem.

– Ślicznie wyglądasz! – przytula ją i całuje tata. – Jako rodzina mamy jednak zbiorową petycję – modelować włosy możesz w swoim pokoju i zaplanuj więcej czasu na… no wiesz… I nie maluj się jednak do szkoły, to nie jest dobre miejsce – dopowiada mama.

– Mamo! Przecież to tylko podkład i kreski!

– Jednak trochę więcej, no przecież widzę!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Agnieszka Marianowicz-Szczygieł jest psychologiem, współautorką „Standardów i wytycznych Stowarzyszenia Psychologów Chrześcijańskich w zakresie diagnozy oraz terapii dzieci i młodzieży z problemami identyfikacji płciowej", prezesem Instytutu „Ona i On".

eprasa.pl 1d5b8d9732

Zamilczanie dyskusji

Anna Mandrela

Autorzy Deklaracji Szesnaściorga przejęci walką z antysemityzmem zdają się nie zauważać działań antypolskich i antykatolickich

W odpowiedzi na polemikę Marka Jurka „Co może katolik?" („Do Rzeczy" nr 8/2025) – będącą reakcją na mój artykuł „Chanuka albo Boże Narodzenie" („Do Rzeczy" nr 6/2025) – czuję się zobowiązana sprostować pewne nieścisłości. Przede wszystkim autor tekstu twierdzi, że spór wokół Deklaracji Szesnaściorga sprowadza się do kwestii incydentu z gaśnicą. Tymczasem treść Deklaracji odnosi się przede wszystkim do zagadnień teologicznych. Główna dyskusja, która wywiązała się na ten temat – zwłaszcza w polemice z Pawłem Lisickim – dotyczyła m.in. pytania, czy Pan Jezus obchodził Chanukę, oraz konsekwentnie tego, jakie znaczenie ma to święto w Tradycji katolickiej.

Nikt nie zabrania Żydom obchodzenia Chanuki w synagogach czy prywatnych domach

Deklaracja Szesnaściorga stwierdza: „My, katolicy, nie obchodzimy tego święta". Jednak jej sygnatariusze pomijają to, że katolicy są dziś w różnych miejscach zachęcani do świętowania Chanuki. Przykłady? Obchody tego święta na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, uroczystości organizowane w domu parafialnym w Katowicach czy też publiczne celebrowanie Chanuki w polskim Sejmie organizowane przez Chabad Lubawicz – organizację, która interpretuje to święto zupełnie inaczej niż Żydzi starotestamentowi. W książce pt. „Chanuka czy krzyż?" cytuję fragment książki pt. „Victory of light" napisanej przez ostatniego przywódcę Chabadu, Menachema M. Schneersona, który wprost stwierdza, że celem obchodów Chanuki jest sprawienie, aby narody świata zaczęły służyć Izraelowi. W swoich odpowiedziach na polemikę Marek Jurek konsekwentnie unika tematu Chabad Lubawicz.

Wydaje się więc, że Marek Jurek nie tyle odnosi się do moich argumentów, ile raczej konstruuje tezę o „dezinformacji", aby odwrócić uwagę od realnej dyskusji teologicznej i społecznej, która toczy się wokół kwestii namawiania katolików do świętowania Chanuki. Nikt przecież nie zabrania Żydom obchodzenia tego święta w centrach Chabad Lubawicz, w synagogach, w prywatnych domach. Zamiast poważnej debaty mamy do czynienia z próbą marginalizacji argumentów poprzez sprowadzenie ich do rzekomej „irytacji" czy „wymyślonych tez". Czy zignorowanie tej kwestii nie oznacza otwarcia drzwi dla kolejnych zmian w świadomości religijnej katolików?

Autorzy Deklaracji Szesnaściorga przejęci walką z antysemityzmem zdają się nie zauważać działań antypolskich i antykatolickich. Pod wpływem nacisków strony żydowskiej byli polscy więźniowie KL Auschwitz nie mogą zorganizować Mszy św. pod blokiem 11 w muzeum Auschwitz. Elie Wiesel z Chabad Lubawicz walczył z krzyżem na żwirowisku przy muzeum Auschwitz, a siostry karmelitanki po fali agresji musiały opuścić swój dom zakonny przy byłym obozie. Ostatnio żydowski reżyser David Mamet stwierdził, że Donald Trump powinien negocjować z Polską przekazanie Muzeum Auschwitz Izraelowi. Dlaczego Marek Jurek nie wspomina o tych aspektach „dialogu międzyreligijnego"? ©℗

REKLAMA

MOŻESZ POKONAĆ ŁUSZCZYCĘ SKÓRY GŁOWY

ZASTOSUJ LEK Z UZDROWISKA BUSKO-ZDRÓJ!

- Łuszczyca skóry głowy
- Łojotokowe zapalenie skóry głowy
- Nasilony łojotok owłosionej skóry głowy
- Do mycia włosów przetłuszczających się

LEK BEZ RECEPTY DOSTĘPNY W APTEKACH

Skład: w 100 g produktu leczniczego znajduje się Substancja czynna: 58,8 g 2,1% wody chlorkowo-sodowej (solanki) siarczkowej, jodkowej z Szybu Soleckiego Uzdrowiska Solec-Zdrój Sp. J. Postać farmaceutyczna szampon - koncentrat. Pozwolenie Ministra Zdrowia nr 4961

Podmiot odpowiedzialny:
Przedsiębiorstwo Farmaceutyczne Sulphur Zdrój Exim Sp. z o.o., 28-100 Busko-Zdrój, ul. Boh. Warszawy 116a
www.sulphur.com.pl, tel. 41-378-78-93

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

ZDRÓJ SZAMPON LECZNICZY
PRZECIWŁUSZCZYCOWY, PRZECIWŁOJOTOKOWY

eprasa.pl 1d5b8d9732

Między ochroną a cenzurą

Olivier Bault

W tym tygodniu posłowie zdecydują o przyszłości obywatelskiego projektu ustawy o ochronie dzieci przed pornografią. Chociaż pojawiła się nadzieja, że politycy są w stanie zjednoczyć się w tej sprawie, to nie brakuje również obaw

Na 6 marca zaplanowano pierwsze czytanie w Sejmie obywatelskiego projektu Ustawy o ochronie małoletnich przed treściami pornograficznymi w Internecie oraz o zmianie ustawy Prawo telekomunikacyjne. Pozornie rzecz prosta: zarówno opozycja, od Prawa i Sprawiedliwości do Konfederacji, jak i koalicja rządząca są w teorii za tym, aby wprowadzić i egzekwować obowiązek realnej, skutecznej weryfikacji wieku w serwisach internetowych zawierających treści pornograficzne. Nowe technologie umożliwiają przeprowadzenie takiej weryfikacji, przy jednoczesnym zachowaniu prywatności użytkownika. Przykładowa procedura może polegać na wykorzystaniu sztucznej inteligencji do ustalania wieku na podstawie obrazu twarzy wysyłanego przez kamerę użytkownika, a w przypadku, gdy to nie daje pewności, można żądać od użytkownika pokazania dowodu osobistego do kamery.

Przeciwnicy takiego rozwiązania powiedzą, że i tak tego typu ograniczenia można łatwo obejść, korzystając z połączenia VPN do serwera w kraju, gdzie ograniczeń nie ma. To prawda. Jednakże główną bolączką naszych czasów jest to, że dzieci i młodzież wyposażone w smartfony, komputery i tablety podłączone do Internetu mają zupełnie nieskrępowany dostęp do ogromnych zasobów najbardziej wulgarnej i wypaczonej pornografii, która dominuje dziś w światowej sieci. A nawet jeśli ja jako rodzic zainstalowałem kontrolę rodzicielską na urządzeniach moich dzieci, to nie wiem, jak rzecz się ma na urządzeniach ich kolegów i koleżanek. Przytoczę tu wyniki głośnego badania opublikowanego w 2022 r. przez NASK we współpracy z Ogólnopolską Siecią Edukacyjną (OSE): prawie trzy czwarte dzieci i nastolatków jest zdania, że w Internecie łatwo jest znaleźć treści o charakterze pornograficznym. Jako przyczynę pierwszego zetknięcia się z treściami pornograficznymi w sieci jedna trzecia małoletnich respondentów wskazała przypadkowy mechanizm powiązania stron, a średnia wieku, w którym dzieci pierwszy raz widziały treści pornograficzne, wynosi niespełna 11 lat. Skutkuje to tym, że do codziennego oglądania filmów czy zdjęć pornograficznych przyznaje się niemal co czwarty nastolatek i ponad co piąty młodszy badany.

212 TYS. PREZENTÓW

Warto tu podkreślić, że ta niechlubna statystyka w przypadku małoletniej populacji Polski nie odbiega znacząco od statystyki krajów zachodnich, gdzie dostęp do pornografii on-line również jest możliwy po kliknięciu odpowiedzi typu: „Tak, mam ukończone 18 lat". Zaczęło się to zmieniać dopiero od 2023 r., najpierw w niektórych stanach USA (dziś kilkanaście z nich wprowadziło już obowiązek skutecznej weryfikacji wieku), a ostatnio także w Europie. Wprowadzenie takich mechanizmów w tym roku zapowiedziały trzy duże kraje europejskie: Wielka Brytania, Francja i Włochy. Dzięki inicjatywie obywatelskiej zapoczątkowanej w ubiegłym roku przez Instytut Ordo Iuris oraz Centrum Życia i Rodziny z poparciem kilkudziesięciu organizacji społecznych i części Episkopatu Polska ma szansę stać się też takim krajem, który chroni dzieci przed pornografią w Internecie. Dzięki szerokiemu społecznemu poparciu udało się zebrać w ciągu trzech miesięcy ponad 200 tys. podpisów obywateli, które przedstawiciele komitetu inicjatywy obywatelskiej złożyli tuż przed świętami do Sejmu w postaci kart z podpisami włożonych do kartonów zapakowanych jak prezenty.

– Składamy na te święta polskim dzieciom i młodzieży 212 tys. prezentów, a tymi prezentami są podpisy pod projektem ustawy o ochronie dzieci przed dostępem do pornografii. Jest to moment przełomowy. Ta inicjatywa jest w stanie zjednoczyć setki tysięcy Polaków – wskazał wówczas na konferencji prasowej przed Sejmem Marcin Perłowski, dyrektor Centrum Życia i Rodziny i zarazem pełnomocnik komitetu inicjatywy obywatelskiej „Stop narkotykowi pornografii!".

NADZIEJA I OBAWY

I, owszem, pojawiła się nadzieja, że chociaż w sprawie ochrony dzieci przed treściami pornograficznymi w Internecie politycy są w stanie się zjednoczyć. Gdy zaprosiłem znanego polityka PSL do udziału we wspólnej konferencji prasowej dotyczącej inicjatywy, która odbyła się na warszawskiej „Patelni", usłyszałem: „Nie chcę się z Wami afiszować, ale będę tę inicjatywę wspierać". Również od niektórych posłów Lewicy i Polski 2050 otrzymaliśmy e-maile i telefony wskazujące na zainteresowanie tą sprawą i na dużą przychylność. Sam wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka (Polska 2050), który wcześniej zapowiadał powstanie rządowego projektu ustawy mającego ochronić nieletnich przed pornografią on-line, napisał w przededniu złożenia podpi-

eprasa.pl 1d5b8d9732

FOT. ADOBE STOCK

sów obywateli w Sejmie na portalu X do prezesa Instytutu Ordo Iuris, mec. Jerzego Kwaśniewskiego: „Panie Mecenasie, w poniedziałek w @KPRM_CIR będziemy procedować wniosek o wpis do Wykazu Prac Legislacyjnych Rządu ustawy o ochronie małoletnich przed pornografią autorstwa @CYFRA_GOV_PL – jestem otwarty na Wasze propozycje w procesie konsultacji tego prawa. Już dziś zapraszam".

Jednak gdy zwróciliśmy się o spotkanie w tej sprawie, otrzymaliśmy w styczniu z ministerstwa ogólną odpowiedź, że zostaniemy zaproszeni do udziału w konsultacjach społecznych w sprawie rządowego projektu. Rodzi to pewne obawy, że 6 marca w Sejmie, wbrew wcześniejszym oczekiwaniom, posłowie koalicji rządzącej mogą chcieć odrzucić obywatelski projekt ustawy w pierwszym czytaniu lub odesłać go do tzw. zamrażarki sejmowej. Nie byłby to wielki problem, gdyby podobny projekt rządowy został rychło przyjęty, gdyż cel jest jeden: wprowadzić na terenie Rzeczypospolitej taki sam obowiązek weryfikacji wieku użytkowników stron pornograficznych, jaki wejdzie w tym roku w życie w Wielkiej Brytanii, we Francji i Włoszech. Jednakże tak, jak odpisał wówczas mec. Kwaśniewski ministrowi Gramatyce, choć „z wielką sympatią patrzymy na projekt rządowy", to „pewne obawy rodzi możliwe poszerzenie zagadnień na inne obszary niż pornografia. Nie chcemy przecież, by ochrona dzieci przerodziła się w ukrytą cenzurę innych treści".

Rządowy projekt ustawy, którego założenia zostały zaprezentowane na stronach Ministerstwa Cyfryzacji dopiero 13 grudnia, tj. ponad cztery miesiące po zaprezentowaniu projektu obywatelskiego, a którego przyjęcie przez Radę Ministrów zaplanowano dopiero na II kwartał 2025 r., nosi nazwę „Projekt ustawy o ochronie małoletnich przed dostępem do treści szkodliwych w Internecie". Według założeń projektu będzie rozróżnienie między serwisami zawierającymi treści pornograficzne, co do których ich właściciele będą mieli zawsze obowiązek wprowadzenia skutecznych mechanizmów weryfikacji wieku, a innymi stronami, w przypadku których „dostawcy usług świadczonych drogą elektroniczną będą mieli obowiązek przeprowadzenia analizy ryzyka w zakresie prawdopodobieństwa dostępności treści szkodliwych dla małoletnich w ich usługach". W obu projektach natomiast to Urząd Komunikacji Elektronicznej będzie miał za zadanie stwierdzać, czy dany portal z treściami pornograficznymi ma wbudowany odpowiedni mechanizm weryfikacji wieku.

Drugie podobieństwo między projektem rządowym a projektem obywatelskim to stworzenie rejestru stron pornograficznych bez skutecznej weryfikacji wieku oraz zobowiązanie polskich dostawców Internetu do blokowania dostępu do tych stron. Projekt obywatelski przewiduje ponadto, że serwisy wpisane do tego rejestru będą miały zablokowany dostęp do usług płatniczych na terenie Polski. Jest to o tyle ważne, że będzie oznaczało dla nich utratę dochodów od większości polskich płatnych użytkowników, tj. od wszystkich tych, którzy nie będą w stanie ominąć tej blokady, korzystając z droższych zagranicznych serwisów płatniczych, lub nie będą chcieli sobie zadawać tego trudu i będą woleli korzystać z serwisów z weryfikacją wieku. W obywatelskim projekcie ustawy o ochronie małoletnich przed pornografią chodzi o to, żeby serwisom pornograficznym nie opłacało się uchylać od obowiązku weryfikacji wieku użytkowników przed wyświetlaniem jakichkolwiek treści o charakterze pornograficznym.

Jak już wspomniano, niewątpliwym zagrożeniem związanym z rządowym projektem, powstającym pod kierownictwem wiceministra Michała Gramatyki, jest ryzyko próby wprowadzenia cenzury. Czym bowiem są „treści szkodliwe"? Czy rządowi promotorzy nowej edukacji seksualnej pod przykrywką edukacji zdrowotnej nie mogliby np. uznać za szkodliwe dla dzieci strony internetowe, na których promowane są tradycyjna wizja małżeństwa i rodziny oraz wstrzemięźliwość seksualna przed ślubem i gdzie krytykuje się postulaty lobby LGBT czy ideologię gender? Nie mówiąc o utrudnianiu działalności dostawców „usług świadczonych drogą elektroniczną", którym nałoży się „obowiązek przeprowadzenia analizy ryzyka w zakresie prawdopodobieństwa dostępności treści szkodliwych dla małoletnich w ich usługach". Użycie tak mglistego i szerokiego określenia może spowodować, że obowiązek ten będzie niewykonalny.

Mówimy na razie o założeniach do projektu ustawy, który ma dopiero powstać, podczas gdy zapowiadany został przez wiceministra Gramatykę już w pierwszej połowie sierpnia, w momencie kiedy Instytut Ordo Iuris i Centrum Życia i Rodziny zaprezentowały gotowy obywatelski projekt napisany przez prawników Ordo Iuris.

NARKOTYK XXI W.

Miejmy zatem nadzieję, że 6 marca obywatelski projekt ustawy o ochronie małoletnich przed pornografią znajdzie poparcie również wśród posłów koalicji rządzącej i że będzie dalej procedowany. Nawet jeśli miałyby być procedowane równolegle oba projekty, to będzie to mocny znak, że rząd Donald Tuska jest faktycznie zainteresowany ochroną dzieci przed narkotykiem XXI w., którym jest pornografia. W przeciwnym razie, ze względu na opisane powyżej wady w założeniach rządowego projektu i ślimaczy tok jego procedowania, możemy zakładać, że ten Sejm, po długich i burzliwych kłótniach, podczas których kwestia dostępu małoletnich do pornografii zejdzie na drugi plan, podobnie jak poprzednie Sejmy zostawi polskie dzieci i nastolatków bez żadnej ochrony przed pornografią w sieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem komunikacji Instytutu Ordo Iuris i ojcem dwojga dzieci.

eprasa.pl 1d5b8d9732

Propozycja Watykanu

FOT. ADOBE STOCK

Paweł Chmielewski

Papież Franciszek chce przekształcić papiestwo tak, by stało się do przyjęcia dla protestantów i prawosławnych. Prace nad zmianami już trwają, a rok 2025 ma być dla nich przełomem

Styczeń jest trudnym miesiącem dla Kościoła katolickiego. Odbywa się wówczas Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan, a w Polsce dodatkowo celebruje się jeszcze dni judaizmu i islamu. Zwolennicy ekumenizmu powołują się zwykle na długą tradycję, wskazując na przedsoborowego papieża Leona XIII, który polecił modlić się o jedność. Problem w tym, że jego intencją był powrót niekatolickich chrześcijan do Kościoła rzymskiego. Dziś o tym się już w ogóle nie mówi, a Tydzień stał się festiwalem relatywizmu. Franciszek nazywa aktywne zabieganie o powrót do Kościoła „prozelityzmem" i twierdzi, że to coś niewłaściwego. W ramach Tygodnia urządza się spotkania katolików, luteranów, kalwinów, baptystów, metodystów, mariawitów, prawosławnych etc., na których wszyscy wzdychają do mitycznej przyszłej „jedności", a potem rozchodzą się, uznając, że dobrze jest, jak jest, bo piękno leży w różnorodności.

PRZEŁOMOWY DOKUMENT

W roku 2025 ekumenizm ma szczególne znaczenie. Późną wiosną chrześcijanie będą wspominać pierwszy sobór powszechny, który z inicjatywy cesarza Konstantyna zwołano w roku 325 do Nicei, dziś miasta znanego jako İznik w Turcji. Wielu czołowych ekumenistów uważa, że może to być czas przełomu. Franciszek ma nadzieję, że uda się ustalić jednolitą datę świętowania Wielkanocy z prawosławnymi, choć wysiłki w tym zakresie znacząco utrudnia konflikt dzielący nominalnie najważniejszy dla prawosławia patriarchat konstantynopolitański z patriarchatem moskiewskim. Tak czy inaczej, wspólna data Wielkanocy byłaby wyłącznie symbolem, niezmieniającym niczego w sprawach, które faktycznie stoją na drodze jedności katolicyzmu i prawosławia. W tym obszarze dalece poważniejsze są działania, które Franciszek podjął odnośnie do samej władzy papieskiej. Chodzi o jej synodalną transformację.

W czerwcu 2024 r. Stolica Apostolska opublikowała przełomowy dokument. Przygotowała go Dykasteria do spraw Popierania Jedności Chrześcijan. Tekst nosi tytuł „Biskup Rzymu. Prymat i synodalność w dialogu ekumenicznym i odpowiedziach na encyklikę »Ut unum sint«". Encyklika „Ut unum sint" to tekst ogłoszony przez św. Jana Pawła II w 1995 r. na temat jedności chrześcijan (jego tytuł po polsku brzmi: „Aby byli jedno"). Papież Wojtyła zasugerował w nim, że w przyszłości możliwe byłoby znalezienie nowej formy sprawowania prymatu papieskiego, która – zachowując to, co istotne – byłaby bardziej akceptowalna dla niekatolików.

Dokument „Biskup Rzymu" z 2024 r. stanowi obszerne i wielostronne rozwinięcie tego tematu. Świadomie opublikowano go rok wcześniej, niż wynikałoby to ze zwykłego porządku, czyli tuż przed 30-leciem „Ut unum sint". Chodziło o to, aby prawosławni i protestanci mogli

eprasa.pl 1d5b8d9732

gruntownie przestudiować watykański tekst jeszcze przed jubileuszem 1700. rocznicy Soboru Nicejskiego.

Propozycja Watykanu jest w gruncie rzeczy bardzo prosta. Papież miałby zrezygnować z rzekomo typowego dla XX w. „autorytarnego" stylu rządzenia, podejmując odtąd bardziej konsensualne decyzje. Ponadto miałby zostawić o wiele większą swobodę poszczególnym wspólnotom chrześcijan, nie chcąc za bardzo wtrącać się w ich sprawy. Według autorów tekstu trzeba na nowo odczytać nauczanie pierwszego Soboru Watykańskiego na temat nieomylności papieskiej. „Reinterpretacja" w duchu synodalnym mogłaby doprowadzić do tego, by przewodnictwo biskupa Rzymu nad chrześcijaństwem stało się „lżejsze", co w efekcie pozwoliłoby przyjąć przynajmniej jakiejś części niekatolików tak rozumiany prymat. W przypadku niektórych grup protestantów to się zresztą już dzieje. Przykładowo były przywódca anglikanów, Justin Welby, wybrał się w 2023 r. do Sudanu razem z Franciszkiem i szefem szkockich prezbiterianów. Mówił niedawno, że dla wszystkich było wtedy jasne, że najważniejszą rolę odgrywał katolicki papież. Według Welby'ego dzisiaj większość anglikańskich biskupów uznaje papieski prymat. Nie ma w tym nic dziwnego. Liberalnej części anglikanów Franciszek na pewno nie przeszkadza: akceptuje homoseksualistów, potępia prawicowych polityków, zajmuje się ekologizmem i nie próbuje nikogo nawracać, woląc przekonywać, że różne religie prowadzą do Boga. Czego chcieć więcej? Oczywiście od deklaracji Welby'ego do formalnych kroków wciąż daleko, dlatego potrzebne są konkretne zmiany w samorozumieniu papiestwa.

KAŻDY ROBI, CO MU SIĘ PODOBA

Dyskusja nad dokumentem Stolicy Apostolskiej zatacza szerokie kręgi. Pod koniec grudnia na temat jego znaczenia dla przyszłości ekumenizmu wypowiedzieli się trzej eksperci z Austrii, reprezentujący prawosławie europejskie, prawosławie wschodnie oraz niemiecki protestantyzm. Wszyscy manifestowali duże zadowolenie. Według prawosławnych przyjęcie „ograniczonego" prymatu biskupa Rzymu byłoby jak najbardziej do pomyślenia. Protestant zajął podobne stanowisko, jakkolwiek dodając pewne warunki (np. kapłaństwo kobiet). Te trzy głosy to wprawdzie za mało, by formułować kategoryczny wniosek o nieuchronności realnego „pojednania" na podstawie zredefiniowanego prymatu, jednak watykański tekst „Biskup Rzymu" powstał w ścisłej współpracy z niekatolickimi środowiskami ekumenicznymi, a jego autorzy naprawdę dołożyli starań, by uwzględnić ich zastrzeżenia i refleksje. Jest bardzo prawdopodobne, że przyniesie to jakieś skutki. Franciszkowi nie chodzi o zwykłą kościelną poprawność polityczną, ale o rzeczywistą przebudowę papiestwa.

Problem w tym, że nauczanie Soboru Watykańskiego I na temat nieomylności papieskiej ma formę dogmatu. Co więcej, ten sam sobór przyjął też zapisy dotyczące powszechnej i nieograniczonej władzy biskupa Rzymu. Zgodnie z tradycyjną katolicką nauką dogmatów zmieniać nie wolno. Wyrażają prawdę, która jest ponadczasowa, bo dogmat nie opisuje ludzkich tradycji czy obyczajów, ale wyraża obiektywną rzeczywistość daną Kościołowi i całej ludzkości przez Boga. Stąd jest po prostu nienaruszalny. Trudno wyobrazić sobie naprawdę głęboką „reinterpretację" tego nauczania Soboru Watykańskiego I o papiestwie, która mogłaby z jednej strony zachować wierność wobec myśli oryginalnej, a z drugiej faktycznie dać niekatolikom większą przestrzeń. Wydaje się, że możliwa jest wyłącznie droga zerwania, to znaczy takie odczytanie soboru, które stanowiłoby jego zaprzeczenie. W XIX w. w kręgach protestanckich pojawiła się idea tzw. ewolucjonizmu dogmatycznego, później przejęta przez progresywną część teologów katolickich i potępiona przez kilku kolejnych papieży jako herezja. Według tego błędu dogmaty nie są stałe: ewoluują, to znaczy zmieniają się wraz z biegiem dziejów. Prawdy dogmatyczne wyrażane przez Kościół miałyby wedle tej potępionej teorii odpowiadać nie tyle naturze rzeczy, ile raczej aktualnemu stanowi świadomości członków Kościoła; a jako że na skutek rozwoju nauk czy postępu społecznego ta świadomość się zmienia, winny zmieniać się również dogmaty. Co ważne, dla zwolenników ewolucjonizmu dogmatycznego fakt określenia jej przez dawnych papieży jako herezji jest nieistotny, bo papieskie potępienia również są jakoby tylko wyrazem ducha epoki.

Ta kwestia stała się w minionych miesiącach przedmiotem żywego sporu pomiędzy dwoma szwajcarskimi duchownymi, kard. Kurtem Kochem i bp. Marianem Elegantim. Kurt Koch jest prefektem Dykasterii do spraw Popierania Jedności Chrześcijan i jako taki bezpośrednio nadzorował powstanie tekstu „Biskup Rzymu". Ma w Kurii Rzymskiej opinię konserwatysty, ale robi to, czego oczekuje papież, i nie krytykuje synodalnej rewolucji Franciszka. Marian Eleganti to z kolei emerytowany biskup pomocniczy z diecezji Chur, przez długie lata jednego z ostatnich bastionów tradycyjnej nauki Kościoła w świecie niemieckojęzycznym. Synodalność uważa za poważny błąd, czemu dawał wyraz wielokrotnie, ściągając na siebie niechęć innych szwajcarskich biskupów. Tekst dykasterii kard. Kocha o papiestwie bp Eleganti uznał za przekroczenie czerwonej linii. Opublikował w sieci artykuł, w którym de facto oskarżył kardynała o podważanie dogmatu o nieomylności papieskiej i przyjęcie błędu ewolucjonizmu dogmatycznego, ledwie skrywanego za paplaniną o synodalności. Kurt Koch odpowiedział, wskazując na „roboczy" charakter dokumentu i przekonując, że tekst ma jak najlepsze intencje. Cóż – intencje…

Komu synodalna zmiana sposobu sprawowania prymatu papieskiego wydaje się nieprawdopodobna, niech zastanowi się nad faktycznym kształtem dzisiejszego katolicyzmu. Papież pozwala, by Amerykanie dopuszczali do Komunii św. aborcjonistów, wbrew prawu kościelnemu. Nie zabrania Włochom dopuszczać do seminariów homoseksualistów, choć wcześniej sam tego zakazał. Niemcy pod jego okiem dają Eucharystię protestantom, czemu jeszcze niedawno sprzeciwiała się Kuria Rzymska. Jeden z kardynałów w Brazylii „wyświęca" nawet kobiety na diakonisy, wbrew jakimkolwiek regułom. Każdy robi, co mu się podoba. Franciszek może to teraz po prostu „zalegalizować", uznając, że on – jako papież – programowo nie wtrąca się w takie „drobnostki".

Jego następcy będą mieć naprawdę dużo pracy z odkręcaniem rewolucji, która przekształca Kościół od dziesięcioleci, a która w ostatnich kilkunastu latach tak bardzo przyspieszyła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 1d5b8d9732

Jacek Komuda

„Carowie Szujscy na sejmie warszawskim" – reprodukcja fotograficzna obrazu Tommasa Dolabelli, ok. 1640 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Anatomia upadku

W roku 1618 I Rzeczpospolita szlachecka Obojga Narodów osiągnęła szczyt swej potęgi. Do końca XVIII w. całkowicie znikęła z mapy Europy. Jak do tego doszło? Opisuję to w książce pt. „Upadek. Jak straciliśmy Pierwszą Rzeczpospolitą"

WSZYSTKIEMU WINNE LIBERUM VETO?

Z biegiem czasu sejm I Rzeczypospolitej uzyskał ogromną władzę; bez niego państwo nie było w stanie funkcjonować. To on dokonywał wyboru monarchy (sejm elekcyjny), koronował go (sejm koronacyjny), decydował o terminie i miejscu wyboru nowego władcy (sejm konwokacyjny), o wojnie i pokoju, o zebraniu pospolitego ruszenia. Sejm zatwierdzał traktaty i wysyłał poselstwa oraz przyjmował zagranicznych posłów. A przede wszystkim uchwalał ordynacje podatkowe, z których dochody przeznaczano na opłacanie wojska zaciężnego, koronnego i litewskiego. Był najwyższym źródłem prawa – uchwalone przez niego ustawy zwano konstytucjami. Obradował w Warszawie, choć od 1673 r. co trzecie jego obrady odbywały się w Grodnie. Król zobowiązany był zwoływać sejm co dwa lata, a w chwili zagrożenia bezpieczeństwa państwa wzywał szlachtę na sejm ekstraordynaryjny.

Zerwanie obrad sejmu przez zastosowanie prawa weta lub rozejście się bez uchwał oznaczało paraliż państwa. Sejm nie działał? Nie uchwalał ustaw – zachodził niebezpieczny precedens. Wojsko nie miało żołdu, podatki nie wpływały, Rzeczpospolita nie reagowała na sytuację polityczną poza granicami.

W XVII w. do uchwalenia zbioru ustaw, czyli konstytucji sejmowej, potrzebna była nie większość, ale jednomyślność wszystkich uczestników zgromadzenia. Do zerwania sejmu wystarczył zaś sprzeciw jednego posła, który – tak działo się najczęściej – nie godził się na jego przedłużenie. Jednocześnie Sejm miał zbyt wielką władzę, którą przez całe wieki zawłaszczał kosztem kolejnych królów, i zbyt kruche podstawy działania. Okazało się, że w tak trudnym momencie historii jak potopy uwidoczniły się trzy jego główne wady:

1. Jednomyślne głosowanie – wymagało ono jednomyślności wszystkich posłów; jeśli jej nie było, to starano się przekonać oponentów, dogadać z nimi, zmienić projekt, aby pasował wszystkim. Zasada, która wydaje się dzisiaj utopią, w czasach I Rzeczypospolitej miała jednak dość słuszne podstawy. Otóż jeśli sejm miał uchwalić konstytucję, która obowiązywała WSZYSTKICH, to wszyscy (to znaczy posłowie – przedstawiciele województw i ziem Rzeczypospolitej) musieli się na nią zgodzić, bo wykonawcą był sam szlachecki samorząd, niezależny nawet od króla. Jeśli uchwalono podatki, to zbierały je szlacheckie komisje skarbowe, a nie urzędnicy królewscy, jak na Zachodzie. Powszechna zgoda potrzebna była zatem po to, aby aparat ten funkcjonował sprawnie. Niestety, w pewnym momencie funkcjonować przestał. Już za czasów króla Władysława posłowie nie mogli dojść do porozumienia i sejmy rozchodziły się bez uchwał, to znaczy nie uchwaliwszy konstytucji. Doszło więc do sytuacji, że obrady sejmu zaczęły chodzić parami. Jeśli na zwykłym sejmie nie załatwiono jakiejś sprawy i rozchodził się on bez podjęcia uchwał, to król zwoływał ekstraordynaryjny, na którym posłowie

Co należało zrobić

Walka z liberum veto była niemożliwa – szlachta broniła (jeszcze) tego prawa za wszelką cenę. Jednak Jan Kazimierz powinien bezwzględnie pociągnąć Sicińskiego do odpowiedzialności przed kolejnym sejmem – ekstraordynaryjnym. Chodziło o to, aby przynajmniej zastraszyć kolejnych „zrywaczy", że, owszem, mogą korzystać z przysługującego im prawa, ale jeśli ściągną katastrofę na Rzeczpospolitą, to będą za to odpowiadać. Ponieważ kolejny sejm, mający w pamięci klęskę pod Batohem i obradujący pod grozą odnowionej wojny na Ukrainie, zebrał się sprawnie i uchwalił wydatki na wojsko, król mógł spokojnie poddać pod obrady kwestię karania posłów, którzy z powodu prywatnych spraw nadużywają prawa weta. Dziwne, że Jan Kazimierz, który zniszczył tylu przeciwników politycznych, takich jak Radziejowski i Lubomirski, nie był w stanie wytoczyć najcięższych dział prawnych przeciwko Sicińskiemu.

eprasa.pl 1d5b8d9732

– działający pod presją – musieli dojść do jakiegoś konsensusu. Do czasu…

2. Liberum veto – o tym prawie wypisano w ostatnich dwóch stuleciach morze atramentu, bo uznano je za największe zło i przyczynę upadku Rzeczypospolitej. Było to prawo każdego posła, aby zerwać obrady sejmu i unieważnić przyjęte na nim uchwały. W dawnej historiografii polskiej utarł się obraz podpitego warchoła, który jednym gestem, krzycząc: „Nie pozwalam!", zrywa sejm, nie dopuszczając do ważnych uchwał i paraliżując całą władzę w państwie. Rzecz miała się inaczej: to nie liberum veto doprowadziło do upadku Rzeczypospolitej, ale zepsucie obyczajów i klasy politycznej. Weto pomyślane było jako swoisty wentyl bezpieczeństwa – niepozwalający większości narzucić swojej bezwzględnej woli mniejszości. Przyczyny jego wprowadzenia przypominają te, dla których weto obowiązuje w Unii Europejskiej. Łatwo można sobie wyobrazić konsekwencje braku tego mechanizmu: największe państwa, Niemcy i Francja, mogłyby narzucić państwom mniejszym – a więc Polsce, Węgrom, ogólnie Europie Wschodniej – niekorzystne dla nich prawa i zasady tylko dlatego, że miałyby więcej głosów. Tak samo było w I Rzeczypospolitej: Litwa obawiała się, że Korona narzuci jej siłą prawa, których nikt w Wielkim Księstwie nie chciał, panowie bracia z Mazowsza – że posłowie z Ukrainy, zależni od wielkich magnatów, ograniczą ich wolność, średnia szlachta – że senat przerzuci na nich całe obciążenia podatkowe… Powodów było więcej. Liberum veto zaczęło być jednak stosowane przez posłów jako argument w sprawach ich ziem i magnackich interesów. Stało się patologią niszczącą sejmy, bez których Rzeczpospolita nie mogła funkcjonować.

3. Przerwy między sejmami. Już w XVII w. okazało się, że sytuacja polityczna może być tak napięta, że konieczne jest szybkie i sprawne przyjmowanie uchwał o kluczowym znaczeniu dla państwa. Tymczasem sejm miał zbierać się co dwa lata, a jeśli zaszła nagła potrzeba, to król najpierw musiał wysłać uniwersały rozgłaszane przez woźnych; zanim zebrały się sejmiki w województwach, zanim wybrały one posłów i zanim ci przybyli do Warszawy, mogło wydarzyć się siedem nieszczęść, którym nie zawsze mogli zapobiec król i jego rząd, pozbawieni kompetencji skarbowych, a często i wojska.

Już w XVII w. było całkowicie jasne, że zerwanie sejmu oznaczało paraliż państwa. Jednakże jego konstytucje były uznawane przez społeczeństwo za prawa. Kto zatem kontrolował sejm, zrywając obrady lub zmuszając go do uchwalania odpowiednich uchwał, de facto władał Rzecząpospolitą. Trudno się dziwić, że sejm stał się areną rozgrywek magnatów, którzy przez swoich posłów blokowali reformy, a nade wszystko udaremniali politykę króla i wszystkie działania mające ukrócić ich władzę. Bardzo szybko, bo już w drugiej połowie XVII w., uwidocznił się ogromny wpływ na sejm Rzeczypospolitej ambasadorów Francji, Prus, Austrii i w następnym stuleciu przede wszystkim Rosji. Manipulując posłami i przekupując ich, zaczęli oni realizować interesy własnych władców lub skutecznie – poprzez choćby wspomniane liberum veto – uniemożliwiali działania uznane przez obce dwory za godzące w ich interesy. W XVIII w. ogromny wpływ na sejm uzyskała Rosja, gdyż tylko ona miała wystarczające środki nie tylko do tego, aby sejmy zrywać, lecz także by sterroryzować i zmusić posłów do uległości.

JAK ROZERWALI NAS SĄSIEDZI

Upadek moralny elit magnackich Rzeczypospolitej, o czym pisaliśmy wcześniej, słabość państwa po trzech potopach, niestabilne rządy Jana Kazimierza – wszystko to musiało doprowadzić w końcu do sytuacji, w której sąsiedzi Rzeczypospolitej zaczęli ingerować w jej wewnętrzne sprawy, aby wymóc korzystne dla swoich dworów decyzje polityczne. Wkrótce utarło się, że próbowali realizować swoje plany przez stałych rezydentów albo ambasadorów, spośród których największą aktywność przejawiali przedstawiciele Prus, Austrii i Francji; następnie, zdumiewająco późno, doszlusowali do nich ambasadorowie Rosji.

Z pozoru w działaniach obcych przedstawicielstw nie było niczego niezgodnego z prawidłami prowadzenia polityki europejskich mocarstw. Jednym z władców, którzy doskonale wykorzystywali swoich wysłanników do realizacji swoich politycznych celów, był Król Słońce, Ludwik XIV. Jego sowicie opłacani ambasadorowie wysyłani do wszystkich państw Europy otrzymywali ogromne środki na przekupywanie obcych dygnitarzy i szlachty, tworzenie własnych stronnictw i pozyskiwanie ludzi z otoczenia władców, tak aby decyzje tych ostatnich zapadały po myśli francuskiego króla. Taka działalność nie budziłaby jeszcze niepokojów, gdyby ograniczała się do wpływu na politykę zagraniczną Rzeczypospolitej. Mówiąc krótko – dopóki ambasadorowie Cesarstwa i Francji przekupywali naszych posłów i senatorów, tocząc walkę o to, po której stronie stanie w jakimś konflikcie Rzeczpospolita, dopóty była to europejska norma. Wkrótce jednak wysłannicy ci zaczęli wtrącać się w wewnętrzne sprawy państwa, popierając jedne reformy, a niwecząc drugie; w wieku XVIII zaś dążyli do uniemożliwienia dokonania jakichkolwiek prób naprawy ustroju Korony i Litwy, przez co kraj pozostawał bez armii, w stanie chaosu i bezsiły.

Ambasadorem, który jako jeden z pierwszych zaczął aktywnie popierać reformy, a konkretnie wprowadzaną przez dwór Jana Kazimierza, sprzeczną z duchem polskiego republikanizmu, wspomnianą wcześniej elekcję vivente rege, był poseł francuski Antoine de Lumbres. W 1661 r. nie szczędził sił i środków, aby forsowane przez króla zmiany, korzystne dla Francji, weszły w życie – na następcę tronu w Polsce miał bowiem zostać wybrany kandydat z tego kraju.

Bardzo szybko jednak działalność de Lubres'a spotkała się z kontrakcją jego dwóch kolegów: ambasadora austriackiego Franza Paula von Lisoli i rezydenta brandenburskiego Johanna von Hoverbecka. Pierwszy sprzeciwiał się wprowadzeniu elekcji vivente rege, gdyż proponowano wrogiego Habsburgom kandydata francuskiego. Drugi – ponieważ połączona już wówczas z Prusami Brandenburgia sprzeciwiała się jakimkolwiek reformom w Rzeczypospolitej. Posłowie sfinansowali i powołali własne opozycyjne stronnictwo składające się z biskupa krakowskiego Andrzeja Trzebickiego, wojewody poznańskiego Jana Leszczyńskiego i marszałka nadwornego koronnego Łukasza Opalińskiego. Obóz ten przyczynił się do obalenia planów reformy wyboru następcy Jana Kazimierza na sejmie w 1661 r.

eprasa.pl 1d5b8d9732

JACEK KOMUDA „UPADEK. JAK STRACILIŚMY PIERWSZĄ RZECZPOSPOLITĄ" FABRYKA SŁÓW 2025

i kolejnych. Był pierwszym stronnictwem zmontowanym przez obcych przedstawicieli realizujących w Rzeczypospolitej interesy swoich państw.

W 1674 r. poseł brandenburski Johann von Hoverbeck usiłował storpedować bałtycką politykę króla Sobieskiego, który zamierzał po zakończeniu konfliktu z Turcją uderzyć na Prusy, aby przyłączyć je do Polski po tym, jak zostały utracone w wyniku traktatów welawsko-bydgoskich. Dyplomata poszedł utartą drogą: dzięki wpływom i pieniądzom zmontował szybko antykrólewskie stronnictwo; w jego skład weszli: kanclerz wielki koronny Jan Leszczyński, Andrzej i Feliks Potoccy, Stefan Stanisław Czarniecki, chorąży koronny Mikołaj Sieniawski i hetman wielki litewski Michał Pac, który był tak zaciekłym wrogiem Sobieskiego, że ponoć zaprzysiągł wysłannikowi, że jeśli władca będzie działał w interesie Francji, to opuści króla wraz z całym wojskiem litewskim. Od tej pory – jak pisał Zbigniew Wójcik – „opozycja magnacko-szlachecka [...] będzie stale opierała się na obcych, wrogich Polsce dyplomatach i władcach, przede wszystkim na Hohenzollernach i Habsburgach".

Jak to wyjaśnić? Głupotą? Magnacką pychą? Chciwością na pieniądze wypłacane przez ambasadorów? Zapewne wszystkim po trochu. Decydował jednak argument finansowy – w raportach Hoverbecka i innych agentów brandenburskich znajdujemy szczegółowe wyliczenie sum przekazanych opozycji. Sam Michał Kazimierz Pac żądał za zdradę króla 100 tys. złotych polskich.

Stronnictwa probrandenburskie i prohabsburskie nie były jedyne, które zwalczały bałtycką politykę Sobieskiego realizowaną po zawarciu z Francją traktatu w Jaworowie. Swoich własnych popleczników miał nuncjusz papieski Francesco Martelli. Wszyscy oni dążyli do sparaliżowania państwa polsko-litewskiego i polityki króla. Wysłannik brandenburski działał oczywiście w interesie elektora Fryderyka Wilhelma, który obawiał się utraty Prus, a w najbliższej perspektywie być może buntu swoich poddanych szukających oparcia w Rzeczypospolitej. Ambasador Austrii realizował korzystną dla Habsburgów politykę, zgodnie z którą Rzeczpospolita miała zostać uwikłana w wojnę z państwem tureckim, aby odciągać jej uwagę od Węgier i księstw naddunajskich. Dyplomacja papieska z kolei z przyczyn ideologicznych pchała Koronę i Litwę do wojny z Portą Otomańską. Przedmiotem ataków stał się rozejm zawarty w Żurawnie w 1676 r. przez króla, oddający Turcji znaczne obszary Ukrainy Prawobrzeżnej, ale kończący wojnę, która rujnowała kraj.

Rozgorzała zaciekła walka stronnictw, w tym francuskiego, popierającego króla Jana III Sobieskiego. Kraj zalała masa druków ulotnych znieważających władcę i – w odpowiedzi – paszkwili popleczników Sobieskiego będących odpowiedzią na ataki rywali. Ostatecznie sejm i sejmiki w 1677 r. zakończyły się klęską planów królewskich. Okazało się już wówczas, że opozycyjne stronnictwa wspierane hojnie przez ambasadorów są w stanie zniewolić króla, co zmuszało go do prowadzenia polityki zgodnej z wolą obcych mocarstw. Na sejmie odrzucono wniosek Franciszka Bielińskiego, postulującego, aby każdy poseł, który odważy się zerwać sejm, został uznany za wroga ojczyzny. Przepadł także projekt zwiększenia uprawnień rady senatu i senatorów rezydentów pozostających przy królu.

Co należało zrobić

Do dziś nie ma dobrej recepty na zatrzymanie zagranicznych wpływów. We współczesnej Polsce ambasadorowie niemiecki i amerykański mają mniej więcej tyle samo do powiedzenia co za czasów Sobieskiego, a może nawet Stanisława Augusta Poniatowskiego. Politycy jak dawna magnateria wdzięczą się do nich, podlizują, zabiegając o łaski, bo dzięki swym wpływom mogą załatwić awans, dobrą posadę w polsko-obcych spółkach i komisjach, zaproszenie do Brukseli – Unia Europejska spełnia dziś bowiem z powodzeniem rolę, którą w wiekach XVII i XVIII odgrywały w I Rzeczypospolitej obce dwory i ich ambasadorowie.

Wydaje się, że najlepszym posunięciem przeciwko ambasadorom obcych mocarstw i ich działalności byłaby odpowiednia konstytucja sejmowa zabraniająca przyjmowania pieniędzy od cudzoziemskich posłów, ale i samym posłom grożąca wydaleniem z kraju w razie zebrania dowodów na ich próby korupcji. Kłopot w tym, że już w czasach Sobieskiego taką konstytucję mogliby zablokować ambasadorzy rękami przekupionych przez siebie szlachciców. Zbyt wielu z nich brało pieniądze od obcych dworów, aby na sejmie uchwalić piętnującą ten proceder ustawę. A przecież głosy takie odzywały się ciągle wśród posłów. Na przykład na sejmie elekcyjnym poseł krakowski Jan Pieniążek wystąpił z żądaniem, aby w akcie konfederacji generalnej umieścić sformułowanie, że nikt nie może proponować na tron Rzeczypospolitej kandydata, przez którego został przekupiony.

Największym jednak winowajcą coraz gorszego położenia kraju był archaiczny już pod koniec stulecia system demokracji szlacheckiej. Sejm Rzeczypospolitej powinien zostać zreformowany w taki sposób, aby mógł funkcjonować jako sprawny organ zarządzający państwem. Reforma systemu jednomyślnego podejmowania uchwał, czyli ograniczenie zasady liberum veto, pozbawiłaby obcych ambasadorów i ich stronnictwa możliwości blokowania ustaw i zrywania zgromadzeń. To był cel, na którym swoje wysiłki powinien skoncentrować Jan III Sobieski. Powtarzam bowiem i tutaj wielokrotnie wspominaną tezę: Rzeczpospolita powinna stać się nowoczesną republiką z mechanizmami umożliwiającymi kontrolę nad wybieranymi i kadencyjnymi władzami. Tymczasem kolejni królowie myśleli o wprowadzeniu absolutyzmu albo silnej monarchii, której funkcjonowanie w panującym systemie politycznym i przy tak ogromnej liczbie szlachty w XVII w. nie miało żadnej szansy powodzenia. Błąd, gdyż nie sposób było wprowadzić absolutyzmu w tak demokratycznym i wolnym kraju jak Rzeczpospolita. Zamiast obrócić swe wysiłki na zreformowanie istniejącej demokracji, zderzali się z murem wściekłości szlachty, próbując narzucić ustrój absolutystyczny, którego narzucenie było z góry skazane na porażkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem książki Jacka Komudy pt. „Upadek. Jak straciliśmy Pierwszą Rzeczpospolitą".

eprasa.pl 1d5b8d9732

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Mówią dokumenty

Mija 80 lat od zakończenia drugiej wojny światowej. Mimo wyjaśnienia wielu spraw i ujawnienia licznych dokumentów (skrzętnie ukrywanych przez komunistów do 1989 r.), docierania do niebadanych wcześniej archiwów zagranicznych walka ideologiczno-polityczna trwa nadal. Siły starego reżimu nie chcą dyskutować o bardzo niechlubnej przeszłości swych przodków, intensywnie obrzucając inwektywami i błotem polskich niepodległościowców.

Celem szczególnym są dla nich Narodowe Siły Zbrojne, którym usiłuje się przypisać wszystko, co najgorsze. Dlatego warto przypominać to, co znajduje się na ich temat w dokumentach z okresu okupacji. Dziś nie ma już wątpliwości, że to formacje komunistyczne GL-AL okazjonalnie współpracowały z Niemcami. Szczególnie haniebny akt z tego zakresu miał miejsce w Warszawie, w lutym 1944 r. Było to zdobycie w kombinowanej operacji gestapo, PPR i NKWD siedziby Delegatury Rządu na Kraj przy ul. Poznańskiej w Warszawie i ukrytego tam archiwum zbrodni niemieckich i komunistycznych. A nie była to jedyna akcja tego typu (analogicznie do tej przy ul. Żurawiej). Podobnie było z mordowaniem Żydów przez komunistów na wielką skalę. Po wojnie robiono za to procesy niewinnym ludziom z AK i NSZ.

Wiedza o tym wszystkim coraz szybciej zanika. Warto pokazać, co się działo w terenie. Oto np. meldunek wywiadu AK Okręgu Kielce-Radom z 26 czerwca 1944 r.: „Stwierdzić należy, że nienawiść SS kieruje się ostatnio wyłącznie przeciwko »nacjonalistom«. Rozwiązano w gestapo specjalny referat antykomunistyczny. Przypuszczać z tego należy, że akcja skierowana będzie przeciwko organizacjom narodowym". Czy można takie informacje pomijać? Ignorować je? A jak można o czymkolwiek dyskutować bez znajomości dokumentów archiwalnych lub przy przytaczaniu ich wyłącznie selektywnie i w zdeformowanych fragmentach? Paszkwilantom przychodzi to stosunkowo łatwo.

Ciekawe są brytyjskie dokumenty SOE (Special Operations Executive – Kierownictwa Operacji Specjalnych). Szczególnie te dotyczące formacji tworzonych i kierowanych przez Obóz Narodowo-Radykalny – ONR. Dotyczy to małej części NSZ, niescalonej z AK. To głównie ona jest wprost oskarżana o kolaborację z Niemcami. „SOE nie posiada informacji z polskich źródeł o zawarciu jakiegokolwiek porozumienia pomiędzy ONR a Niemcami, wręcz przeciwnie, polski Oddział VI twierdzi, że ramię zbrojne ONR… współpracowało z ZWZ przeciwko Niemcom. SOE utrzymuje, że członkowie ONR muszą ukrywać się…".

Czy nieznajomość dokumentów może usprawiedliwiać oszczerców? Ile to jeszcze będzie trwało? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Królowa przedmieścia

Powracając do rozważań z zeszłego tygodnia, warto zauważyć, że Eugeniusz Bodo zajmował się także reżyserią. Pierwszym jego filmem, gdzie stanął tylko po drugiej stronie kamery, była „Królowa przedmieścia" oparta na powieści Michała Bałuckiego. W główne role wcielili się Helena Grossówna i Aleksander Żabczyński, a Bodo zadowolił się wyłącznie obowiązkami reżysera. Jego debiut nie wypadł jednak zbyt okazale, a na uznanie recenzentów zasłużyła tylko Grossówna. Jej obecność na planie była „jedyną zaletą filmu", bo dzięki niemu „znów można było podziwiać nieprzeciętny talent, wdzięk i urodę tej świetnej aktorki, która w bardzo szybkim tempie wysunęła się na czoło polskich »gwiazd« filmowych".

Premierę (5 marca 1938 r.) poprzedziła intensywna i krzykliwa reklama. Zapowiadano, że „Królowa przedmieścia" „pójdzie na pewno śladem swego oryginału scenicznego, koronując produkcję polską sezonu 1937/1938". Film miał „do łez wzruszyć" i „do łez rozśmieszyć", jednak wszystkie te głosy ucichły zaraz po premierze. Nawet najbardziej przychylni recenzenci koncentrowali się tylko na osobie Grossówny, żałując, że „mimo swojego wspaniałego talentu nie może pochlubić się filmem, który by przeszedł do historii kinematografii polskiej". Uznano, że obsada „daje gwarancję przyjemnego spędzenia wieczoru, ale nic ponadto". O reżyserii w ogóle nie wspominano, natomiast scenariusz oceniono jako naiwny. Zawiodła nawet ilustracja muzyczna, za którą odpowiedzialny był duet Petersburski i Wars! Najwyraźniej podczas tej produkcji nic nie poszło zgodnie z planem…

Bodo nie zraził się tym wypadkiem przy pracy. Jeszcze w trakcie realizacji „Królowej przedmieścia" zapowiedział, że bez względu na powodzenie filmu nie zrezygnuje z reżyserii. To było dla niego zupełnie nowe wyzwanie, któremu zamierzał bez reszty się poświęcić. Nakręcił jeszcze „Za winy niepopełnione", a na poważnie myślał o ekranizacji bestselerowej powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Kariera Nikodema Dyzmy". Planował, że będzie ten film reżyserował i obejmie w nim tytułową rolę. Wybuch wojny przekreślił te plany, podobnie zresztą jak realizację filmu „Uwaga, szpieg!", do którego zdjęcia rozpoczęły się latem 1939 r. Tak więc pozostaje nam tylko żałować, że nigdy nie zobaczyliśmy pana Eugeniusza w roli Nikodema Dyzmy, bo mogła się ona okazać tą kreacją, która przesłoniłaby jego wszystkie wcześniejsze dokonania filmowe. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

Z Jarosławem Molendą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Drugi z prawej: Janusz Przymanowski, którego wylansowała serialowa załoga czołgu FOT. NAC

Czołgiem do sławy

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Autor powieści „Czterej pancerni i pies" powąchał prochu już we wrześniu 1939 r.?

JAROSŁAW MOLENDA: Jak większość polskiej młodzieży chciał bronić ojczyzny. W autobiografii pisze: „Ojca ewakuowano z dyrekcją kolejową w rejon Kowla. Ja wyjechałem na rowerze, by szukać miejsca, gdzie umiejącemu strzelać junakowi Przysposobienia Wojskowego i harcerzowi orlemu dadzą karabin i naboje". Wraz z wieloma innymi warszawiakami opuścił Warszawę rankiem 7 września 1939 r. Pedałując, dotarł do Brześcia i chyba zataił swój prawdziwy wiek (miał lat 17), ponieważ trafił do organizowanego tam Batalionu Pancernego. W walkach jednak nie uczestniczył, gdyż pododdział wycofywano na przedmoście rumuńskie i został rozbrojony przez Sowietów pod Tarnopolem. Przyszły pisarz dostał się do niewoli.

Represje sowieckie odczuł zatem na własnej skórze.

Niespecjalnie. Zrazu znalazł się w obozie tymczasowym, 30 km na wschód od Podwołoczysk. Po miesiącu przeprowadzono selekcję: podoficerów, którzy pochodzili z ziem na wschód od Bugu, puszczono do domów. Natomiast wywodzących się z miejscowości leżących za zachodnim brzegiem tej rzeki zatrzymano w obozach. Kiedy ze względu na młody wiek oraz brzeski adres zamieszkania, co oczywiście odbiegało od prawdy, odzyskał wolność, nie widział sensu powrotu do stolicy, skoro okupowali ją już Niemcy. U Sowietów obowiązywał jednak nakaz pracy. Przymanowskiego skierowano do kopalni bazaltu w Janowej Dolinie nad Horyniem. W połowie roku 1941 nadciągał tam front, toteż ewakuował się do Dnieprodzierżyńska, gdzie pracował przy budowie pieców martenowskich. Potem znalazł zatrudnienie – jako traktorzysta – w stanicy Karmalinówka; w kołchozie Czapajewa i w sowchozie Kamienobrodzkim.

A jak dostał się do sowieckiego wojska?

Kiedy Niemcy przerwali obronę sowiecką pod Rostowem i rozpoczęli marsz na Kaukaz, nie zdołał już uciec. Ostatni

eprasa.pl 1d5b8d9732

akt cywilnego życia Przymanowskiego rozegrał się pod okupacją niemiecką w kołchozie Puť Iljicza w stanicy Nikołajewka, gdzie pracował do stycznia 1943 r. Zanim wspomógł Armię Czerwoną, dwukrotnie zgłaszał się tam na ochotnika, kierując się nieco naiwnym rozumowaniem: skoro jest młody, umie strzelać, a każdy dodatkowy żołnierz może skrócić czas trwania wojny choćby o chwilę, to warto taki krok podjąć. Odsyłano go jednak – prawdopodobnie ze względu na wiek albo raczej pochodzenie. Przyszło mu walczyć na bagnach nad Morzem Azowskim. Jednak już po niespełna kwartale ciężkie obrażenia zakończyły jego szlak bojowy. I tak miał szczęście – został ranny dopiero w 11. natarciu na wroga, co zawyżało opisywaną przez niego średnią „przeżywalność" żołnierza przy metodach prowadzenia wojny przez Sowietów.

Janusz Przymanowski z Marią Hulewicz FOT. NAC

Pośród berlingowców najpierw był politrukiem, a potem korespondentem wojennym?

W listopadzie 1943 r. przeszedł do I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS. Dostał przydział do baterii dowodzenia samodzielnego dyonu artylerii dalekonośnej. Miał być topografem, lecz pracę rozpoczął od… piłowania i rąbania drzewa do kuchni. Później otrzymał nominację na „polityczno-wychowawczego oficera bez stopnia" – jak to się wówczas nazywało – a oficjalnie został zastępcą dowódcy 4. baterii, następnie 2. dywizjonu 5. Brygady Artylerii Ciężkiej. W październiku 1944 r., w konsekwencji małpiego figla ośmieszającego tępego zastępcę dowódcy jednostki, odebrano mu stanowisko, przenosząc na pośledniejsze. Uznał to za dyshonor, dlatego nawiązał współpracę z gazetą 1. Armii WP „Zwyciężymy", na której łamach debiutował notatką o wizycie wśród żołnierzy delegacji Krajowej Rady Narodowej. Redakcja podążała za frontem. Swe felietony, do końca wojny opublikował ponad 20, podpisywał „rekrut Żyrafa". Drukowane na ostatniej stronie pozwoliły mu po raz pierwszy posmakować popularności.

W Polsce Ludowej wiódł żywot umundurowanego dziennikarza aktywisty partyjnego?

To trochę skomplikowana sprawa. W początkach kariery wcale nie cieszył się dużym zaufaniem. Z notatki służbowej oficera informacji, por. Chabińskiego, wynika, że „Akt Pojedynczego Rozpracowania Nr 31 założony został na mjr. Przymanowskiego jeszcze w czasie działań wojennych w sierpniu 1944 r. pod zabarwieniem »wrogi element«". Zdaniem jednego z donosicieli miał być nacjonalistą, wrogo nastawionym do PKWN, a wychwalającym rząd londyński. Zarzuty dotyczące światopoglądu nie były jedynymi. Z pisma płk. Władysława Maskalana, zastępcy dowódcy Okręgu Wojskowego Śląsk, do generała dywizji Mariana Spychalskiego, zastępcy naczelnego dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych, wynika, że kpt. Przymanowski sfałszował w 1945 r. podpis na „akcie zdawczo-odbiorczym" z racji odkomenderowania go z funkcji redaktora odpowiedzialnego gazety „Zwyciężymy" do dyspozycji Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego. To tylko wierzchołek góry lodowej. Kombinacje Przymanowskiego doprowadziły do tego, że stał się podejrzany o współpracę z zachodnim wywiadem. Uważano go za osobnika niepewnego pod względem ideologicznym i przez prawie 11 lat rozpracowywano na potrzeby I Wydziału Oddziału Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego. Aż trudno uwierzyć, że mowa o tym samym człowieku, który po latach dobitnie poprze wprowadzenie stanu wojennego w Polsce…

Pisarstwo Przymanowskiego miało wyłącznie wymiar militarno-propagandowy?

Przeważnie tak. Jego pierwsza książka – „Na młodych skrzydłach" – wydana w 1950 r., zawierająca fantastyczno-naukowe opowiadanie o szybownictwie, była „dobra w intencjach, ale bezwartościowa literacko i skażona polityczną modą owego czasu". W kolejnych dwóch latach wyszły dość drętwe i sloganowe broszury publicystyczne „Nasze wojsko" i „Koleżeństwo bojowe" – powstałe na zamówienie Głównego Zarządu Politycznego (autor pracował wówczas w Wydawnictwie MON) oraz dalsze próby beletrystyczne: „Chłopiec znad Wisły", o młodziutkim telefoniście, żołnierzu 1. Armii, i „W pierwszym szeregu" – szkice dotyczące polskich komunistów, też zresztą obciążone lukrowaną i pompatyczną dydaktyką. Ale imał się także innych form: reportażu, felietonu, nowelistyki, powieściopisarstwa, scenariuszy, tekstów piosenek, poezji, dramaturgii (mowa o „Powrocie" w reżyserii Olgi Lipińskiej). Próbował również swoich sił w literaturze dla młodzieży, czego efektem była dziewięciotomowa „Seria z Pazurem" (ale to już w latach 80.). Wcześniej popełnił książkę dla dzieci

eprasa.pl 1d5b8d9732

„Fortele Jonatana Koota", na kanwie której zrealizowano serial animowany. Na koncie miał nawet dwa musicale, nie wspominając o kilku tłumaczeniach.

Rozpoznawalność zyskał dopiero po ekranizacji flagowego dzieła?

Henryk Kluba, drugi reżyser „Czterech pancernych i psa", powiedział kiedyś, że kariera to szczególnie fortunne połączenie talentu, sprzyjających okoliczności i uczciwości. W przypadku Przymanowskiego należałoby tę myśl sparafrazować do „talentu, sprzyjających okoliczności i odpowiednich znajomości". Wszyscy wiedzieli, że to Maria Hulewicz, druga żona, ukształtowała go literacko. Ba, krążyła plotka, że to ona napisała „Czterech pancernych i psa", oficjalnie uchodziła za współautorkę scenariusza drugiej i trzeciej części serialu. Właśnie filmowa załoga czołgu imieniem „Rudy" oznaczonego numerem 102 wylansowała Przymanowskiego. Pierwsze wydanie powieści ukazało się w niskim wówczas stosunkowo nakładzie, 20 tys. egzemplarzy. Tymczasem po trzech latach od emisji serialu liczba sprzedanych książek wzrosła prawie 15-krotnie!

Willę na Mokotowie nabył również dzięki tantiemom za słowa piosenek?

Po „Czterech pancernych i psie" odkrył kolejną złotą żyłę. Zawsze łasy na pieniądze, co eksponują liczne meldunki agentów Służby Bezpieczeństwa, zagościł – w charakterze regularnego tekściarza – na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Uczestnikom nie przeszkadzał propagandowy charakter imprezy, ponieważ Złote, Srebrne i Brązowe Pierścienie stanowiły jedne z najbardziej pożądanych nagród w krajowym show-biznesie (oczywiście nie pod względem prestiżu), gdyż zapewniały całkiem poważne dochody. Swój dom, przy ul. Idzikowskiego 17, nieopodal willi Wojciecha Jaruzelskiego, sprzedał po 20 latach – już w III RP – Andrzejowi Szczypiorskiemu!

U progu lat 80. Przymanowski zbulwersował wyjątkowo nikczemnym wystąpieniem sejmowym, a pod koniec tej dekady oryginalną ofertą dla Michaiła Gorbaczowa...

Pierwszym wywołał powszechne oburzenie i skandal, drugim naraził się na śmieszność. W latach 1980–1985 posłował, aktywnie podgrzewając w kręgach partyjnych atmosferę zagrożenia rzekomą zemstą Solidarności. „Były przygotowywane listy proskrypcyjne – grzmiał z trybuny sejmowej w 1982 r. – kogo i w jakiej kolejności na latarnie, a niektóre regiony wymieniały na tych listach również dzieci. Co prawda, powyżej lat sześciu. Ale Dżyngis-chan był bardziej łaskawy, wyrzynając bowiem podbite narody, wyrzynał je powyżej osi wozu, a wozy miał na wysokich kołach". Mówiący te słowa wkrótce zagościł w ciętej fraszce Zbigniewa Herberta:

Hołuj, Żukrowski, Przymanowski, Lenart,
Czterej pancerni, mierni, ale ujdzie.
Na nowy serial byłby niezły temat,
Cóż, gdy za nimi żaden pies nie pójdzie.

Drugi „popis" miał miejsce latem 1988 r. w warszawskim Zamku Królewskim, podczas spotkania Gorbaczowa z polskimi ludźmi nauki i kultury. To wtedy Przymanowski wypalił, że załaduje na ciężarówkę 50 tys. egzemplarzy swoich książek, po czym przewiezie je do Kraju Rad w celach handlowych. Sekretarz generalny KC KPZR skwitował propozycję zdumieniem i litościwym milczeniem.

JAROSŁAW MOLENDA „CZTEREJ PANCERNI I PISARZ" LIRA 2025

Spośród trzech żon bohatera książki najsławniejsza była ta środkowa.

Pierwsze małżeństwo okazało się nieudane. Drugą małżonką została Maria Hulewicz, bohaterka okupacyjnej konspiracji, sekretarka (i nie tylko?!) przywódcy PSL, Stanisława Mikołajczyka. Nie udało jej się z nim zbiec przed „władzą ludową". Złapana na granicy wiele lat spędziła w więzieniu. Przymanowskiego poznała w drugiej połowie lat 50. Długo zwlekali z zalegalizowaniem związku. Aż do jesieni 1963 r. była inwigilowana przez SB. Potem najwyraźniej uznano, że nie zagraża już bezpieczeństwu PRL, a tym samym jej osoba nie zaszkodzi pisarzowi w karierze partyjno-wojskowej. Była starsza od pułkownika o dziewięć lat, ale literatowi na dorobku ewidentnie to nie przeszkadzało, spędzili razem dwie dekady. Po śmierci drugiej połowicy wdał się w namiętny romans z Zofią Bystrzycką, koleżanką po piórze, eksmałżonką Jerzego Putramenta. Trzecia żona autora „Pancernych...", Aleksandra Nowińska, przez lata pozostawała w cieniu. Jej personalia przewinęły się przez plotkarskie pisma dopiero po zgonie Przymanowskiego, gdy wytoczyła proces Maryli Rodowicz o bezprawne wykorzystanie kadrów z serialu w teledysku do piosenki „Marusia".

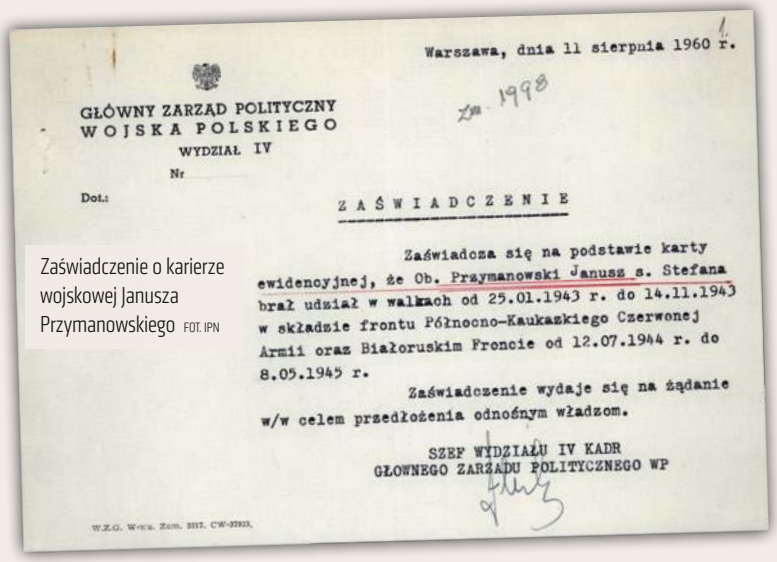

Warszawa, dnia 11 sierpnia 1960 r.

GŁÓWNY ZARZĄD POLITYCZNY
WOJSKA POLSKIEGO
WYDZIAŁ IV
Nr
Dot.:

ZAŚWIADCZENIE

Zaświadcza się na podstawie karty ewidencyjnej, że Ob. Przymanowski Janusz s. Stefana brał udział w walkach od 25.01.1943 r. do 14.11.1943 w składzie frontu Północno-Kaukazkiego Czerwonej Armii oraz Białoruskim Froncie od 12.07.1944 r. do 8.05.1945 r.

Zaświadczenie wydaje się na żądanie w/w celem przedłożenia odnośnym władzom.

SZEF WYDZIAŁU IV KADR
GŁOWNEGO ZARZĄDU POLITYCZNEGO WP

W.Z.G. W-wa. Zam. 3117. CW-37923.

Zaświadczenie o karierze wojskowej Janusza Przymanowskiego FOT. IPN

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jarosław Molenda – autor kilkudziesięciu książek, m.in.: „Alfred Szklarski. Sprzedawca marzeń", „Nienacki. Skandalista od Pana Samochodzika", „Przy stoliku w Czytelniku" oraz najnowszej „Czterej pancerni i pisarz".

eprasa.pl 1d5b8d9732

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

DEKADA CHAOSU I NADZIEI

Od transformacji do frustracji – Miliony Polaków w latach 90. walczyły o lepsze życie, „grając" na bardzo nierównym „boisku"

Polska w mackach mafii – Gangsterzy czuli się bardzo pewnie w pierwszych latach III RP. Słabe państwo kapitulowało przed mafiami

Sprawiedliwi z Nankinu – Japończycy zamordowali w tym mieście ok. 300 tys. Chińczyków. Bohaterscy obcokrajowcy uratowali tysiące osób

Jak Canuck z Jankesem – Wydawałoby się, że Kanadyjczycy i Amerykanie powinni żyć obok siebie jak świetnie dogadujący się kuzyni. Nic bardziej mylnego

Ostatni powstaniec – Stanisław Brzóska był księdzem dowódcą oddziału walczącego w powstaniu styczniowym, stawiając opór jeszcze długo po klęsce zrywu

Nazistowskie zaloty – Hitler przez kilka lat przymilał się do Polaków, starając się przeciągnąć Warszawę na swoją stronę

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 1d5b8d9732

Ukraińcy przed wyborem

Maciej Pieczyński

Na bezrybiu naddnieprzańskiej polityki Wołodymyr Zełenski wciąż jest grubą rybą. Większym poparciem od niego cieszą się jedynie wojskowi. Przyszły prezydent Ukrainy najprawdopodobniej nosi mundur

Donald Trump, oceniając, że na Zełenskiego chce głosować jedynie 4 proc. wyborców, minął się z prawdą. Niezależnie od tego, czy była to ze strony Waszyngtonu świadoma dezinformacja (podyktowana konkretną taktyką negocjacyjną) czy też (mniej prawdopodobne) to Waszyngton uległ rosyjskiej dezinformacji, trzeba powiedzieć jasno: nie istnieje żaden opublikowany sondaż, który wskazywałby na tak niskie poparcie dla urzędującej w Kijowie głowy państwa.

Opinia publiczna popada ze skrajności w skrajność. Gdy Zełenski był na fali i święcił dyplomatyczne triumfy, wielu komentatorom w Polsce i na Zachodzie się wydawało, że to rycerz bez skazy. A przecież już wtedy na Ukrainie, przy ogromnym poparciu, był krytykowany za konkretne zaniedbania w przygotowaniu do wojny czy za dyktatorskie zapędy. A gdy świat zmęczył się roszczeniowym i bezceremonialnym stylem Zełenskiego, zaczęto równie bezpodstawnie spekulować o tym, jakoby udręczeni przez „dyktatora bez wyborów" Ukraińcy marzyli, by zrzucić jego jarzmo. Tymczasem prawda o sytuacji nad Dnieprem jest bardziej złożona. Jeśli Zełenski jest „dyktatorem bez wyborów", to nie w tym sensie, że nie pozwala poddanym głosować (bo

eprasa.pl 1d5b8d9732

W trzech ostatnich sondażach pierwsze miejsce zajął Wałerij Załużny, drugie zaś Wołodymyr Zełenski FOT. HANDOUT/UPPS/AFP/EAST NEWS

sami Ukraińcy w większości nie chcą głosować podczas wojny, co pokazują zarówno wyniki badań opinii publicznej, jak i oficjalne stanowiska partii politycznych, również opozycyjnych), tylko w tym sensie, że na razie spośród polityków nie za bardzo ma z kim przegrać.

NIEPISANA UMOWA

Ukraińskie ośrodki badań po 24 lutego 2022 r. pytają respondentów głównie nie o to, na kogo chcą głosować, tylko o to, komu ufają. Taką metodologię zgodnie przyjęto po to, aby w obliczu zagrożenia zewnętrznego nie pogłębiać wewnętrznych podziałów politycznych. 19 lutego Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii opublikował sondaż, zgodnie z którym Zełenskiemu ufa 57 proc. Ukraińców, czyli o 5 proc. więcej niż w grudniu 2024 r. W szczytowym okresie – w maju 2022 r. – prezydent Ukrainy cieszył się zaufaniem na poziomie 90 proc. Potem stosunek społeczeństwa do „sługi narodu" systematycznie się pogarszał.

W ostatnim czasie niepisana umowa o niepytaniu Ukraińców o preferencje wyborcze przestaje jednak funkcjonować. Na przełomie lat 2024 i 2025 pojawiły się trzy symptomatyczne sondaże prezydenckie: jeden Centrum „Monitoring Społeczny" („Socialnyj monitorynh") oraz dwa grupy Socis. We wszystkich pierwsze miejsce zajął Wałerij Załużny, drugie zaś Zełenski. Stosunek głosów między byłym głównodowodzącym a obecnym prezydentem w kolejnych sondażach wyglądał następująco: 42 do 22 proc.; 36,1 do 24,3 proc.; 27,2 do 15,9 proc. W badaniach przeprowadzonych przez grupę Socis podium zamykał Petro Poroszenko z wynikami 9,4 oraz 5,6 proc. Ale już w sondażu „Monitoringu Społecznego" trzecie miejsce zdobył Kyryło Budanow z dorobkiem 18 proc., jedynie o 4 proc. mniejszym niż u Zełenskiego. W badaniach kilkuprocentowe wyniki otrzymują Dmytro Razumkow (były spiker Rady Najwyższej, dawniej jeden z bliższych współpracowników Zełenskiego i szef jego partii Sługa Narodu), weteranka Julia Tymoszenko, były komik, obecnie wolontariusz i polityk Serhij Prytuła, założyciel ruchu azowskiego Andrij Biłecki, obecny dowódca brygady „Azow", dowódca obrony Azowstali Denys Prokopenko, mer Kijowa Witalij Kłyczko. Maksymalnie 2 proc. sondaże dają politykom otwarcie prorosyjskim (Jurij Bojko) czy uważanym za prorosyjskich (Ołeksij Arestowycz).

KONIEC KARIERY „SŁUGI NARODU"

Oczywiście Trump i Putin niezależnie od siebie i z różnych powodów chcą się pozbyć Zełenskiego. Najprawdopodobniej więc zamrożenie – czy też zakończenie – wojny (o ile do tego dojdzie) oznaczać będzie wymuszony koniec kariery obecnego prezydenta. Jednak gdyby zależało to wyłącznie od Ukraińców, jego szanse na ewentualną reelekcję nie byłyby zerowe. Z jednej strony kampania wyborcza oznaczałaby powstrzymanie dotychczasowych hamulców w krytyce głowy państwa, więc w warunkach normalnej kampanii wyborczej notowania Zełenskiego mogłyby gwałtownie spaść.

Z drugiej strony „sługa narodu", jako ofiara bezpardonowej nagonki ze strony zarówno Moskwy, jak i Waszyngtonu, mógłby wręcz zyskać w oczach potencjalnych wyborców. Szczególnie że uderzając w Zełenskiego, Trump de facto uderza w Ukrainę. Niechcący więc amerykański prezydent mógłby oddać „dyktatorowi bez wyborów" wielką przysługę. Rzecz jasna, można próbować kwestionować wiarygodność sondaży przeprowadzanych w państwie, które toczy wojnę. Wyniki badań nie zawsze są jednak przychylne rządzącym, widać w nich różne tendencje i zmiany, więc niewiele wskazuje na to, żeby były to wyniki zmanipulowane czy wręcz sfałszowane. Ponadto wysoką popularność Zełenskiego łatwo wytłumaczyć. W warunkach wojennych to on jest twarzą państwowej propagandy. Działa efekt flagi, a opozycja (Poroszenko, Tymoszenko, Kłyczko) zużyła się już dawno, po 24 lutego 2022 r. zaś niczym szczególnym się nie wyróżniła. Tak samo można zrozumieć, dlaczego poparcie dla prezydenta spada – zmęczenie wojną i rozczarowanie sposobem jej prowadzenia sprawia, że owa twarz państwowej propagandy staje się zarazem twarzą owego zmęczenia i owego rozczarowania.

WOJSKOWI NA CZELE

Bardziej realistyczny jest wariant, w którym Zełenski traci władzę. Albo sam pod naciskiem realizuje swoją dawną obietnicę, że idzie do polityki tylko na jedną kadencję, albo startuje i przegrywa z hukiem, bo wobec zniesienia cenzury wojennej media rozpisują się na całego o tym, jak źle przygotował kraj do wojny, publikują obciążające go kompromaty, a wyborcy ostatecznie to właśnie z nim kojarzą trzy lata cierpień i upokorzenie ustępstwami terytorialnymi.

Sondaże pokazują, że Zełenski przegrałby z Załużnym. Problem w tym, że to na razie kandydat wirtualny. Zapytany niedawno, czy wystartowałby w wyborach prezydenckich, uchylił się od

eprasa.pl 1d5b8d9732

odpowiedzi, zastrzegając, że na razie najważniejsze jest zwycięstwo w wojnie. Jak wiadomo, jeszcze jako głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy popadł w konflikt z prezydentem. Zełenskiemu nie podobały się publiczne wypowiedzi, w których Załużny de facto przyznawał fiasko ukraińskiej kontrofensywy. Poza tym generał krytykował władze za wadliwe ustawodawstwo utrudniające produkcję broni, a także za złą organizację zaplecza walczącej armii.

Przede wszystkim jednak jego rosnąca popularność niepokoiła Zełenskiego. Według badań przeprowadzonych niedługo przed dymisją Załużnemu ufało 88 proc. Ukraińców, podczas gdy prezydentowi jedynie 62 proc. Dlatego Załużny został „zesłany" do Londynu na fotel ambasadora. Nad Dnieprem widoczny jest wyraźny podział: za niepowodzenia w wojnie z agresorem odpowiedzialnością obarcza się polityków, nie zaś dowódców. Pierwsi kojarzą się z nieudolnością, drudzy natomiast – z bohaterstwem. Załużny ma jeszcze tę przewagę, że stał na czele armii w pierwszym, stosunkowo jeszcze udanym z perspektywy Kijowa okresie działań zbrojnych. Podczas gdy Zełenskiemu Ukraińcy pamiętają nieskuteczne przygotowanie kraju do wojny, często przy tym ironizując, że jego jedyną zasługą jest to, iż nie uciekł, były naczelny wódz armii cieszy się w ich oczach sławą zwycięskiego obrońcy Kijowa czy wyzwoliciela Charkowszczyzny.

Nie wiadomo, czy Załużny wystartuje; nie wiadomo też, czy podobnie jak „sługa narodu" okaże się samorodnym talentem politycznym czy może zupełny brak doświadczenia w walce o władzę i głosy okaże się jego słabością. Cieszy się autorytetem jako dowódca wojskowy, ale nie jest wybitnym mówcą, brakuje mu też charyzmy obecnej głowy państwa. To jednak nie będzie miało większego znaczenia, jeśli otoczy się gronem profesjonalnych doradców albo jeśli zostanie wzięty pod skrzydła przez któregoś z ukraińskich oligarchów, który już zadba o odpowiednie opakowanie produktu. Takim właśnie projektem oligarchy Ihora Kołomojskiego był Zełenski. Tyle że on umiał ze smyczy swojego patrona się urwać. Czy podobnymi zdolnościami wykazałby się Załużny? Nie ma takiej pewności. Już teraz niektórzy spekulują, że były głównodowodzący mógłby stać się politycznym projektem oligarchy, a zarazem byłego prezydenta Petra Poroszenki. Zełenski stał się ich wspólnym wrogiem. Załużnego zdymisjonował, Poroszenkę zaś znów prześladuje drogami prawnymi. Lider Solidarności Europejskiej wspiera Załużnego finansowo, bronił go też przed krytyką ze strony prezydenta. Poroszenko został objęty sankcjami przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony za rzekomą działalność na rzecz Rosji. To kontynuacja sprawy rozpoczętej tuż przed wybuchem pełnoskalowej wojny. Wtedy Poroszenkę oskarżono o to, że wspólnie z prorosyjskim politykiem Wiktorem Medwedczukiem kupował węgiel od donbaskich separatystów. Oczywiście sam Poroszenko uważa sankcje za złamanie prawa. Niemniej polityk zapewne doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Załużny ma większe szanse na pokonanie Zełenskiego. Finansowo i politycznie byłby i tak zdany na swojego ewentualnego potężnego patrona. To jednak na razie tylko domysły, bez ostatecznego potwierdzenia w faktach.

Klasa polityczna w większości zgadza się co do tego, że w obecnej sytuacji nie należy organizować głosowania na nową głowę państwa

Skoro mundurowi już na starcie cieszą się większą sympatią niż zużyci politycy, to poza Załużnym nie można lekceważyć również Budanowa. We wspomnianym rankingu zaufania, w którym Zełenski zyskał 42-procentowy wynik, pierwsze dwa miejsca zajęli obaj najbardziej medialni ukraińscy wojskowi. Były głównodowodzący armii otrzymał 61 proc., wciąż aktualny szef wywiadu wojskowego HUR natomiast 50,3 proc. Już wcześniej w podobnych sondażach właśnie Budanow i Załużny byli jedynymi, u których wskaźnik zaufania był wyższy niż wskaźnik braku zaufania. Popularność tego pierwszego na razie nie uwiera Zełenskiego. Budanow, inaczej niż Załużny, jest jego zaufanym człowiekiem. Możliwe więc, że jeśli „sługa narodu" będzie musiał zrezygnować z kandydowania pod zewnętrznym naciskiem, to postawi na szefa wywiadu właśnie, licząc, że ten zapewni mu gwarancje osobistego bezpieczeństwa. Obaj popularni generałowie nie deklarowali dotąd żadnych ambicji politycznych. Obaj nie zdradzają też szczegółowo swoich poglądów. Wiadomo jedynie, że – co akurat dziwić nie może – nie są zwolennikami ustępstw wobec Rosji, więc żaden z nich nie byłby wygodny dla Putina. Poza tym o ile Załużnemu zdarzało się krytykować konkretne posunięcia władzy, o tyle Budanow nigdy sobie na tego typu wypowiedzi nie pozwalał. Stosunkowo często udziela wywiadów, ale komentuje jedynie to, co wpisuje się w ramy jego kompetencji jako szefa wywiadu wojskowego. Profesjonalizm działa na jego korzyść w oczach Ukraińców, którzy nawet chyba bardziej niż wojną są zmęczeni politykami.

Gdy zacznie się kampania wyborcza, do głosu dojdą również działacze prorosyjscy, którzy zapewne ze swoimi postulatami porozumienia z Moskwą trafią do „żdunów" (oczekujących na „wyzwolenie" przez Rosję), a także do niedobitków dawnego elektoratu Platformy Opozycyjnej Za Życie czy Partii Regionów. Będzie to jednak ledwie kilka procent. Wystarczy, żeby zrobić zamieszanie i pogłębić wewnętrzne podziały, nie wystarczy do osiągnięcia sukcesu w społeczeństwie szczerze Rosji nienawidzącym. Do głosu dojdą też byli wojskowi, sfrustrowani koniecznością ustępstw wobec wroga, pełni żądzy rewanżu nie tylko na Putinie, lecz także na nieudolnych politykach. Nie chodzi tutaj o Budanowa czy Załużnego, ale o radykałów z pierwszej linii frontu, wywodzących się ze środowiska azowskiego. Przede wszystkim jednak klasa polityczna w większości zgadza się co do tego, że w obecnej sytuacji nie należy organizować głosowania na nową głowę państwa. 25 lutego (dopiero, co prawda, za drugim podejściem, bo za pierwszym zabrakło głosów) Rada Najwyższa podjęła uchwałę potwierdzającą, że Zełenski jest legalnym prezydentem, a nowe wybory mogą zostać rozpisane dopiero po tym, jak zapanuje „kompleksowy, sprawiedliwy i trwały pokój".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

Przez okulary rosyjskie

Jan Bogatko z Berlina

Co oznacza „Russlandversteher"? Przyjaciel Rosji? Nie całkiem. Znawca Rosji? Niezupełnie. Zaklinacz Rosji? Zdecydowanie nie. A może „rozumiejący Rosję"? Tak, ale... po swojemu. Pewne terminy są nieprzetłumaczalne. Wymagają one opisu. Albo pozostawia się je nieprzetłumaczone. Jak „Salonfähig". Czy „polnische Wirtschaft". Ten, kto się orientuje, wie od razu, o co chodzi, i do słownika zaglądać nie musi

Russlandversteher" to niemiecki wynalazek językowy, opisujący osobę wykazującą zrozumienie głównie dla politycznego postępowania Rosji (takiej, jaka ona jest) w oczach Niemca lub – szerzej – „człowieka Zachodu". I nie jest to bynajmniej wynalazek ery putinowskiej. Oczywiście często odróżnia się dobrą Rosję od złego Putina. Odmianą „Russlandversteher" są „putinowscy okularnicy", czyli ci, którzy patrzą na świat (a dokładniej na Rosję) przez okulary Władimira Putina (jak czytamy w tygodniku „Der Spiegel" z 26 stycznia 2022 r.).

„Putinversteher" to podgatunek „Russlandversteher". Jego czołowym przedstawicielem jest Gerhard Schröder. Niegdyś socjalistyczny (z SPD) kanclerz Niemiec, a później pracownik rosyjskiego Gazpromu. On sam zresztą uważa siebie za „Russlandversteher", czemu dał niejednokrotnie wyraz na łamach niemieckiej prasy. Jak np. w wysokonakładowej gazecie „Bild-Zeitung" w 2014 r. z okazji Dnia Rosji (spotkania przedsiębiorców z Rosji i Niemiec) w Rostocku. Na pytanie dotyczące jego bardzo bliskich relacji z Rosją i prezydentem Putinem Schröder odpowiedział dziennikarzowi: „Przyznaję, że chcę rozumieć Rosję, jej mieszkańców i jej polityczne przywództwo". I dodał do tego komentarz bez słowa zażenowania: „Przeciwnie, jestem z tego dumny". Wyjątkowe świadectwo byłemu lewicowemu kanclerzowi Niemiec przynosi to, że zachwyt nad Moskwą wyraził on krótko po aneksji Krymu.

POLSKA ZAGRAŻA ROSJI?

Z reguły termin „Russlandversteher" służy ocenie postaw tych Niemców, którzy wykazują bezkrytyczne zrozumienie wobec argumentów Kremla w publicznej debacie na temat wojny na Ukrainie, względnie usprawiedliwiają jej wszelkie zbrodnicze poczynania (jak agresja na Gruzję czy ludobójstwo w Czeczenii), ponieważ „Zachód stawia Rosję pod ścianą". Dla „Russlandversteher" to Polska, zwłaszcza od chwili wstąpienia do NATO, zagraża Rosji, a nie odwrotnie! Polacy to rusofobi, a przecież stolica Polski to w końcu byłe rosyjskie miasto – starał się mnie przekonać pewien berliński dziennikarz. Aby zatrzeć jego rosyjski charakter, Polacy zburzyli po pierwszej wojnie światowej nawet sobór św. Aleksandra Newskiego – wywodził. Polacy, jego zdaniem, mordowali też Rosjan w wojnie polsko-bolszewickiej w obozach jenieckich, więc zbrodnia w Katyniu w odwecie nie musi wcale dziwić. Mój rozmówca zamilkł, kiedy zapytałem go, co sądzi o tym, że sowiecka komisja Nikołaja Burdenki w 1944 r. orzekła o winie Niemców za ludobójstwo polskich oficerów w Lesie Katyńskim. Nie, „Russlandversteher" to nie naiwniacy. To stalinowscy aktywiści.

Zmarły w roku 1922 niemiecki politolog, Hannes Adomeit, znawca polityki Kremla, który wykładał na wielu znanych uniwersytetach na świecie, w skrypcie wydanym na potrzeby Federalnej Akademii Polityki Bezpieczeństwa w Berlinie w 2019 r. wyjaśniał, co charakteryzuje typowego „Russlandversteher", jeśli chodzi o jego poglądy.

Oto ich zestaw: Władimir Putin jest „demonizowany" przez swoich przeciwników. Mówi się o nich, że są rusofobami. Zachód nie tylko brutalnie odrzucił rękę wyciągniętą przez prezydentów Borysa Jelcyna, a później Putina na rzecz bliższej współpracy, lecz także podejmował wysiłki, aby utrzymać Rosję jako mały kraj i izolować go. Nie prowadzi się dialogu z Rosją „jak równy z równym". Rozszerzenie NATO na Wschód stanowi „złamanie obietnicy" przez Zachód. Rosja jest „militarnie okrążana". Polityka Zachodu wyczarowała

eprasa.pl 1d5b8d9732

niebezpieczeństwo, że „nowo wybuchający konflikt Wschód – Zachód" wymknie się spod kontroli i że wybuchnie „trzecia i ostateczna wojna światowa". Zachód musi powrócić do polityki wschodniej i polityki odprężenia z lat 70. Zachód musi zrezygnować ze swojego „imperializmu wartości". Zachód musi „namawiać Ukrainę do zachowania umiaru".

Politolog trafnie zauważył, że poglądy te są lustrzanym odbiciem polityki appeasementu z konferencji monachijskiej w roku 1938. Także wówczas spełzła na niczym próba pohamowania agresora, którym wówczas były narodowo-socjalistyczne Niemcy, przed realizacją zaplanowanej gry wojennej. Słowa prezydenta Lecha Kaczyńskiego, wypowiedziane 12 sierpnia 2008 r. na wiecu w Tbilisi w dniach rosyjskiej agresji na Gruzję: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę", „Russlandversteher" uznaje za rusofobię. W niemieckich, ale nie tylko mediach pisze się czasem, że to Gruzja napadła na Rosję. W słynnym przemówieniu w Berlinie 1 września 1939 r. kanclerz III Rzeszy, socjalista Adolf Hitler, oskarżając Polskę o agresję na Niemcy, oświadczył: „O godz. 5.45 odpowiedzieliśmy ogniem".

NIEWIEDZA NIEMCÓW

Nie do wszystkich dociera, że Rosja (czy to carska, czy sowiecka) to państwo imperialistyczne. Jest to możliwe, ponieważ także gros społeczeństwa rosyjskiego utożsamia się z ideologią, która głosi, że Rosjanie to wręcz naród wybrany. To nie żart, że Rosja graniczy, z kim chce. Rosjanie zawsze, wedle jednego wzoru, zasiedlali podbite terytoria. Tak było co najmniej od XVI w. – uważa Botakoz Kassymbekova, historyk z Kazachstanu. Jest ona aktualnie profesorem historii Europy Wschodniej na uniwersytecie w Zurychu. Informuje ona Niemców o permanentnym programie rusyfikacji obcych terytoriów. Po zdobyciu Krymu w 1793 r., który niemal do końca XVIII w. stanowił chanat w imperium osmańskim i był zamieszkany niemal w 90 proc. przez Tatarów (ich ostatecznej zagłady Rosjanie dokonali po drugiej wojnie światowej), Moskwa przystąpiła do jego rusyfikacji.

Kassymbekova podaje ciekawostkę literacko-historyczną: w XIX w. car zesłał na Krym poetę Aleksandra Puszkina. To jemu Rosja zawdzięcza ukazanie Krymu w literaturze jako ziemi rosyjskiej. I przypomina prywatną rozmowę po upadku Związku Sowieckiego, którą przeprowadził w 1989 r. prezydent USA, George Bush z Michaiłem Gorbaczowem, w którym kochały się wówczas Niemcy. Gorbaczow powiedział, że nie można oderwać „państw bałtyckich" od Rosji, ponieważ w Estonii i na Łotwie połowa mieszkańców to Rosjanie. Już wówczas, w 1989 r., uwielbiany przez Niemców Michaił opowiadał Bushowi o Rosjanach na Ukrainie i w Kazachstanie, nazywając te państwa „regionami rosyjskich mniejszości", nie biorąc do ust określenia „republika".

Niemcy na ogół nic nie wiedzą o czystkach etnicznych, które Rosjanie przeprowadzali w podbitej Estonii czy na Łotwie ani o deportacjach (głównie Polaków) z Litwy, której na krótko Stalin podarował etnicznie polską Wileńszczyznę. Na marginesie: samo określenie, używane także w Polsce, „republiki bałtyckie" ma szowinistyczny i lekceważący charakter, taki jak „Priwislinskij kraj" na określenie Polski. Z kolei mieszkańcy tej części Małopolski, która wchodziła w skład II RP, są dumni z zaborczej nazwy „Hałyczyna" (Galicja). O tempora, o mores…

Teraz mamy wiek XXI. Władimir Putin wraca do starej, carskiej, rosyjskiej strategii podporządkowania Kremlowi obcych terytoriów. Rosja jest tam, gdzie mieszkają Rosjanie. Nie zraża to wcale „Russlandversteher". Po aneksji Krymu w 2014 r. Putin osiedlił na Krymie setki tysięcy Rosjan po to, by dziś mówić o „rosyjskich prawach do Krymu". Osiedlanie Rosjan na ziemiach podbitych przez Moskwę i czystki etniczne to wypróbowane instrumenty rosyjskiego imperializmu. Do „Russlandversteher" polityka ta trafia bez trudu. Bez słowa krytyki. Polityka Kremla jest prosta i skuteczna. Dzisiaj czystki etniczne Rosja realizuje przez niesymetryczne powoływanie do wojska na wojnę z Ukrainą mniejszości narodowych. Też nikt nie zwraca na to na Zachodzie uwagi. Dla „Russlandversteher" wszyscy mieszkańcy Rosji, bez względu

eprasa.pl 1d5b8d9732

Gerhard Schröder, niegdyś kanclerz Niemiec (z SPD), a później pracownik rosyjskiego Gazpromu, to czołowy „Putinversteher"

FOT. FRANK HOERMANN/SVEN SIMON/DPA PICTURE/AFP/EAST NEWS

na kolor skóry i kształt oczu, to Rosjanie. Jak długo oni ich za takich uważają. A cudzoziemcy, zwłaszcza naukowcy, przyjeżdżając do Rosji, nie dostrzegają mniejszości.

Imperializm? Gdzie? W Moskwie czy w Petersburgu? Kto zajmuje się nauczaniem historii Rosji na zachodnich uniwersytetach? Oczywiście – poza Niemcami czy Francuzami – absolwenci moskiewskich czy petersburskich uczelni. Jaką wiedzę oni przekazują lokalnym studentom, nietrudno się domyślić. Uważają się oni za specjalistów w zakresie całej Europy Wschodniej czy zgoła Azji i Zakaukazia. Kassymbekova podkreśla, że np. głosy naukowców ukraińskich, kazachskich czy czeczeńskich nie przebijają się do opinii publicznej. Tym samym – cytat – „świat akademicki powiela często kolonialne hierarchie".

W czasie niedawnej konferencji w Monachium, w obliczu eskalacji działań Rosji wobec Ukrainy, UE i NATO w mediach społecznościowych i prasie oraz w radiu i telewizji, również publicznych, a także w polityce można było ponownie zaobserwować to zjawisko: mianowicie istnieje specyficzna niemiecka prorosyjska psychologia – zbiór wzorców myślenia, komunikacji i zachowań dotyczących wszelkich kwestii związanych w jakikolwiek sposób z Rosją. To właśnie głos zabierają „Russlandversteher".

Co się pisze i mówi w Niemczech, ba, opowiada w szkołach i na uniwersytetach, na temat drugiej wojny światowej? Że wywołał ją Hitler z Józefem Stalinem? Broń Boże! Tylko Niemcy są na ławie oskarżonych, niemiecki faszyzm (którego nie było, nazizm to nie faszyzm) i jego prawdziwi lub wyimaginowani sojusznicy.

NAPAŚCI NA POLSKĘ NIE BYŁO?

Dzisiaj prawie już nikt nie pamięta wystawy na temat Wehrmachtu w rocznicę ataku Hitlera na Związek Sowiecki, swego wiernego sojusznika. Zorganizował ją hamburski Instytut Badań Społecznych (Institut für Sozialforschung, HIS), założony w 1984 r. przez Jana Philippa Reemtsmę, potomka tytoniowej dynastii, miejscowego multimilionera. Tytuł wystawy był nawet jak na Russlandversteher niezwykle prowokujący: „Vernichtungskrieg. Verbrechen der Wehrmacht 1941 bis 1944" („Totalna wojna. Zbrodnie Wehrmachtu od 1941 do 1944 r."). Jak gdyby napaści na Polskę nie było. Propagandową wystawę, która wywołała w Niemczech z różnych powodów ostre kontrowersje, pokazywano w latach 90. ubiegłego wieku w 34 miastach Niemiec i Austrii. Kiedy rozpoczęły się awantury wokół wystawy o Wehrmachcie, początkowo nawet nie zauważono krytyki ze strony świata nauki wobec wystawy z Hamburga. Jednym z pierwszych naukowców, który wskazał na rażące błędy prorosyjskiej ekspozycji „Russlandversteher", był historyk Bogdan Musiał. Zwrócił on uwagę, że niektóre zdjęcia, mające rzekomo wykazać zbrodnie na Rosjanach, pokazują zbrodnie Rosjan na Polakach, m.in. w okupowanym przez nich Lwowie. Reakcja? Hannes Heer, kurator wystawy, pozywa Musiała do sądu. Kiedy do grona krytyków propagandowej wystawy objazdowej dołączyli inni historycy, sprawa nabrała posmaku skandalu. Dziennikarz telewizyjny Rüdiger Proske np. opisał ją jako „najbardziej wyrafinowaną interpretację historycznego oszustwa w naszym kraju od czasów III Rzeszy". To związkowiec, żaden neonazista.

Gros społeczeństwa rosyjskiego utożsamia się z ideologią, która głosi, że Rosjanie to naród wybrany

Ale „Russlandversteher" mają się nadal dobrze. Botakoz Kassymbekova z Zurychu trafnie zauważa, że zjawisko to jest wynikiem braku albo fiaska podejmowanych starań o zbadanie dziejów drugiej wojny światowej. Związek Sowiecki – mówi historyk z Kazachstanu – był wówczas nie tylko ofiarą, lecz także stroną imperialistycznej wojny. W rozmowie z Susanne Lenz, zamieszczonej na łamach „Berliner Zeitung" pt. „Dlaczego tylu Niemców to »Russlandversteher«, a Rosjanie milczą o wojnie", Kassymbekova przypomina, że Rosja w porozumieniu z Hitlerem napadła na Polskę, a wspólne zwycięstwo uczciła rosyjsko-niemiecką paradą wojskową. Mówi, że Rosja okupowała Litwę, Łotwę i Estonię i napadła na Finlandię. I wreszcie: to nieprawda, że cierpieli głównie rosyjscy żołnierze. I tu wstrząsający cytat: „Podczas wojny Moskwa dopuszczała się aktów ludobójstwa, np. w lutym 1944 r. z Czeczenii deportowano całą ludność na Daleki Wschód. Dla wielu osób pozostanie bez środków do życia i schronienia na ekstremalnie zimnym kazachskim stepie w lutym oznaczało pewną śmierć. Połowa ludzi zmarła. Istnieją dowody na to, że mieszkańcy niektórych odległych górskich wiosek – dzieci, kobiety i starsi mężczyźni – zostali zamknięci w dużej stodole i spaleni żywcem, bo inaczej plan deportacji nie doszedłby do skutku".

My o tym wiemy, ale historyk z Zurychu uświadamia Niemców, przypominając o rosyjskich zbrodniach wobec Tatarów krymskich, Inguszów, Karaczajów, Kałmuków i Bałkarów. Większość Niemców w ogóle nie zna tych narodów, nigdy o nich nie słyszała.

„Russlandversteher" mają się dobrze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

Studnia hipokryzji i polityczne wahadło

Robert Bogdański

Sprawa gangów pedofilskich nie jest ani stara, ani zamknięta. I ma poważne polityczne konsekwencje

W całej tej historii najbardziej wstrząsające nie są opisy gwałtów i morderstw dokonywanych przez dorosłych mężczyzn na dziewczynkach młodszych niż 15 lat, nierzadko 11-letnich, ale świadomość, że nie sposób jest poznać odpowiedzi na najprostsze pytania, które pozwoliłyby ogarnąć rozumem skalę problemu. Dzieje się to na początku XXI w. w nowoczesnym kraju wyposażonym we wszelkiego rodzaju służby i statystyki. Nie można uzyskać jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, kiedy przestępstwa się zaczęły na skalę masową i czy przypadkiem nadal nie trwają, jakie było pochodzenie sprawców przestępstw, ilu było przestępców i ilu z nich zostało skazanych, wreszcie – ile było ofiar i ile z nich znalazło sprawiedliwość. To wydaje mi się największym skandalem, ale nie jest to skandal jedyny.

Wiele osób interesujących się Wielką Brytanią na hasło „gangi pedofilskie" zareaguje w sposób ocierający się o lekceważenie. Przypomną sobie nazwę miasta Rotherham, skojarzą, że chodziło o Pakistańczyków gwałcących białe dziewczęta z rodzin o podejrzanej reputacji, że pojawiały się oskarżenia o ukrywanie tego procederu przez lokalne władze, ale proces, który odbył się kilkanaście lat temu, doprowadził do skazania winnych. Będą mieli przekonanie, że to jest sprawa stara i zamknięta. Typowy „odgrzewany kotlet". Między innymi dlatego wielu sięgnęło do właśnie takiego argumentu, aby zdyskredytować Elona Muska, gdy na początku roku zaczął pisać o tym procederze na X. Tymczasem sprawa nie jest ani stara, ani zamknięta.

PODATNY GRUNT

Historię o gwałtach zacznijmy nietypowo: od gwałtu na języku. Ktokolwiek chce poszukać informacji o tej sprawie, powinien wpisać w wyszukiwarkę frazę „grooming gangs". Pod taką bowiem nazwą funkcjonuje to w brytyjskiej przestrzeni publicznej. Słowo „groom" oznacza pana młodego. Jako czasownik słowo odnosi się do utrzymywania w porządku i czystości np. w odniesieniu do bród czy końskiej sierści. Generalnie rzecz ujmując, skojarzenia z nim związane są pozytywne, przywołują na myśl opiekę i dbałość. I choć wywołują one gwałtowny sprzeciw, to jest w używaniu tego słowa pewien okrutnie przewrotny sens.

Członkowie gangów zaczynali bowiem od zapewnienia dziewczętom opieki i od dbania o nie. Dawali im coś, czego nie miały ani w rodzinach, ani w szkole: uwagę. Zapewniali, że są dla nich ważne. Jednocześnie traktowali je jako dorosłe: częstowali drinkami, blantami i oczywiście współżyli z nimi seksualnie, co dziewczyny traktowały jako coś naturalnego. Może się to normalnemu człowiekowi wydać szokujące, ale 12-, 13-letnie dziewczęta z brytyjskiej „working class" na ogół nie widzą nic dziwnego w podejmowaniu współżycia. Uważają także za swoje prawo, aby ubierać się w sposób wyzywający i eksponować swoją seksualność. Można powiedzieć, że są duchowymi spadkobierczyniami Spice Girls, choć pewnie to, co 25 lat temu wydawało się wyzywające, teraz dla dziewczynki z Rotherham może być nudne i ugrzecznione.

Grunt był więc podatny, dziewczęta chętne do współżycia i oderwane od rodzin, w których nikt nie wpadł na pomysł, aby zapytać, gdzie były, a zresztą gdyby nawet rodzic o to zapytał, dostałby prostą odpowiedź, że to nie jego interes. Cała popkultura, która je otaczała, mówiła jasno i jednoznacznie, że mają prawo. Do czego? Do wszystkiego! Dziewczęcy sen o dorosłości i niezależności na tym

eprasa.pl 1d5b8d9732

Demonstranci trzymają transparenty podczas protestu wzywającego do sprawiedliwego ukarania gangów pedofilskich, Oldham, Anglia, 20 stycznia 2025 r. FOT. ANTHONY DEVLIN/GETTY IMAGES

etapie się jednak kończył. Mężczyźni zaczynali traktować je jako swoją własność: współżyli z nimi niezależnie od ich protestów, szprycowali narkotykami, oddawali swoim kolegom, a potem wykorzystywali do zarabiania pieniędzy na nastoletniej prostytucji. Zbiorowe gwałty były na porządku dziennym. Kiedy ofiary usiłowały się wyrwać, były bite, polewano je benzyną i grożono podpaleniem, grożono nożami i pistoletami. Były też zmuszane do oglądania najbrutalniejszych aktów seksualnych na innych kobietach i mówiono im, że jak się nie podporządkują, będą następne. Dochodziło do podpaleń ich domów. W jednym z nich zginęli jedna z krnąbrnych dziewcząt, która była w ciąży z jednym z oprawców, jej matka i brat. Co interesujące, gdy dziewczęta przekraczały 15. rok życia, czyli rozpoczynały tzw. wiek zgody, gdy współżycie seksualne jest dopuszczalne prawnie, gangi traciły zainteresowanie nimi i zaczynały zajmować się młodszymi.

ODWRÓCONY WZROK

W czasie trwania tego koszmaru dziewczęta odkrywały z przerażeniem, że nie mogą liczyć na niczyją opiekę, także na opiekę państwa. Policja z reguły odrzucała ich doniesienia jako „mało wiarogodne". Jedna z ofiar przybiegła na policję po tym, jak została zgwałcona w ogrodzie kościelnym, gdzie piła alkohol z koleżankami. Funkcjonariusze powiedzieli jej, żeby przyszła z kimś dorosłym i trzeźwa. Kiedy wyszła z posterunku, dwóch mężczyzn zaoferowało jej podwiezienie. W samochodzie zgwałcili ją, a potem przekazali kolegom. Tak weszła w orbitę działalności gangu, którego członkowie zyskali pewność, że policja nie dowie się, co robią.

Policjanci wiedzieli, że dziewczęta pochodzą z prymitywnych rodzin, że ubierają się i zachowują wyzywająco, że piją i zaczynają się narkotyzować, a więc uznawali, że to, co się z nimi dzieje, to świadomy wybór stylu życia jako młodocianych prostytutek. W ten sposób zapewniali sobie wygodne moralne alibi dla swojej bezczynności. Po prostu trzymali się przepisów. Czynili to tak rygorystycznie, że w sytuacji, gdy ojciec wtargnął do domu, w którym wykorzystywana była jego córka, policjanci zatrzymali tylko jego, ponieważ nie dość, że naruszył mir domowy, to jeszcze uczynił to pod wpływem alkoholu i obrażał gospodarzy. Po wyjściu funkcjonariuszy gospodarze dokonali następnych gwałtów.

Tu dochodzimy do kwestii zapalnej. Policjanci wiedzieli jeszcze jedno: że pochodzenie etniczne sprawców i ich przynależność religijna sprawiają, iż powinni zachować daleko idącą ostrożność, aby nie być oskarżonymi o rasizm. Większość członków gangów stanowili bowiem muzułmanie pochodzenia pakistańskiego. To zresztą jest do tej pory przedmiotem manipulacji informacyjnych. Oskarżeń o „rasizm" wobec policjantów i osób zgłaszających przestępstwa z upodobaniem używali członkowie gangów w czasie procesów. Członkowie wspólnot muzułmańskich wskazywali, że akty pedofilskie były też dziełem ludzi białych.

Ponieważ w lokalnych społecznościach wszyscy wiedzieli, że większość przestępców nie była biała, oficjalne źródła przez wiele lat z uporem używały określenia „gangi azjatyckie". W dodatku okazało się, że dane policyjne, które stały się podstawą rządowych raportów, zostały oczyszczone z niewygodnych informacji w ten sposób, że wszędzie tam, gdzie pochodzenie etniczne sprawców było określane przez policjantów, a nie ich samych, informacje uznawano za niewiarygodne. W ten sposób w sprawach, w których przytłaczająca większość skazanych to muzułmanie pochodzenia pakistańskiego, oficjalne raporty wykorzystywane jako podstawa do pisania artykułów np. przez BBC, wskazują, że większość sprawców to biali. I sprawy nie ma. A raczej – sprawę wykorzystują biali rasiści i islamofobi. Zanurzeni w oceanie politycznej poprawności policjanci woleli nie zapisywać się pod ten sztandar.

Gangi składające się z ludzi o śniadym kolorze skóry i określających jako muzułmanie mogły liczyć na taryfę ulgową, bo szeregowi funkcjonariusze obawiali się, że w wyniku ich działań mogą wylądować co najwyżej na kursach wrażliwości etnicznej, a wysoko postawieni oficerowie dostawali od polityków silny sygnał, że sprawy nie należy eksponować, bo może to zagrozić spokojowi społecznemu

eprasa.pl 1d5b8d9732

w regionach, w których odsetek muzułmanów jest wysoki. Regularnie pojawiają się informacje, że lokalne władze obawiały się wybuchu zamieszek na tle etnicznym i kazały sprawy zamiatać pod dywan.

Wiele jednak wskazuje na to, że mogło chodzić nie tylko o zamieszki, lecz także o zagrożenie polityczne. Pouczający jest tu przykład mandatu dla obecnej minister spraw wewnętrznych Jess Phillips, która od dwóch dekad startuje w okręgu Birmingham Yardley i regularnie uzyskuje ok. połowy głosów. Tymczasem w wyborach w roku 2024 pani Phillips ledwo prześliznęła się do parlamentu, wygrywając zaledwie o 700 głosów z aktywistą dopiero co powstałej partii. Statystyka wyborcza pokazuje, że kandydat ten zabierał głosy właściwie tylko kandydatce laburzystów. Człowiekiem, który o mały włos nie zabrał mandatu pani minister, był Jody McIntyre, muzułmański radykał, budujący swoją kampanię bardzo silnie na wsparciu dla Palestyńczyków i proteście przeciwko wojskowej akcji Izraela w Gazie. Pewne światło na ten fenomen może rzucić fakt, że według spisu z roku 2021 w Birmingham Yardley mieszkało 45 proc. muzułmanów, a ich społeczność zanotowała ostatnio dynamiczny wzrost, bo w roku 2011 było ich tam 31 proc.

Tak się składa, że pani minister Jess Phillips, podobnie jak jej partia, zdecydowanie nie zgadza się na podjęcie narodowego śledztwa w sprawie gangów. Wniosek w tej sprawie przepadł w parlamencie, a laburzyści wprowadzili dyscyplinę w głosowaniu. Jest bardziej niż prawdopodobne, że politycy Partii Pracy obawiają się, iż przeprowadzenie takiego ogólnego śledztwa i przedstawienie uczciwego raportu mogłoby ujawnić praktyki polegające na politycznych interwencjach w celu niedrażnienia muzułmanów. W czasie debaty parlamentarnej Keir Starmer zaprezentował stanowisko akcjonistyczne: dość gadania i deliberowania, czas na działanie!

Tymczasem nadal nie wiadomo choćby, ile właściwie było ofiar tego procederu. Jedna z posłanek konserwatywnych rzuciła w pewnym momencie zawrotną liczbę miliona dziewcząt, jednak potem wycofała się, stwierdzając, że wielkość ta opierała się na nieuprawionej ekstrapolacji. Ponadto mamy do czynienia z liczbami cząstkowymi: 1,4 tys. ofiar w Rotherham w latach 1997–2013, ok. 1 tys. w Telford od końca lat 70., po kilkaset w wielu innych miastach środkowej Anglii. Specjalna operacja przeprowadzona w 2023 r. na polecenie rządu wykazała, że w ciągu 12 miesięcy ujawniono 4 tys. ofiar. Jeden z członków Izby Lordów, Lord Pearson, operuje liczbą ćwierć miliona ofiar w ciągu ostatniego ćwierćwiecza.

Oficjalne raporty rozmywają problem w ogólnej dyskusji na temat rozmaitych nadużyć seksualnych wobec dzieci w społeczeństwie brytyjskim, dołączając oczywiście do ogólnego obrazu Kościoły, nauczycieli i członków rodzin. Tym sposobem działalność pewnego organisty, który na obozie dla chłopców oglądał ich genitalia pod pozorem badań lekarskich, jest w sensie statystycznym zrównana z działalnością zwyrodnialców, którzy poddawali swoje ofiary brutalnym zbiorowym gwałtom. Podopieczni tego organisty z pewnością byli molestowani, jednak dziewczęta przeżyły coś, co nie mieści się na skali, jeżeli umieścić na niej organistę.

POLITYCZNY KOSZT

Wszystko to sprawia, że gwałtownie spada zaufanie do tradycyjnych partii politycznych i ostatecznie przestaje być aktualny obraz brytyjskiej polityki, w którym dominowali na zmianę albo konserwatyści, albo laburzyści. Bo ci ostatni zapewne najbardziej obawiają się, że ich notowania się załamią, gdy wyjdą na jaw polityczne interwencje zmierzające do zamiatania sprawy pod dywan, a konserwatyści są pytani, co zrobili w czasie swoich rządów i dlaczego pomysł ogólnonarodowego dochodzenia przyszedł im do głowy dopiero, gdy stracili władzę. Poza tym akurat kultura politycznej poprawności w odniesieniu do mniejszości etnicznych i religijnych, które po drodze w wielu regionach przestały być mniejszościami, była kultywowana zgodnie przez wszystkie dominujące partie: torysów, wigów i liberałów.

Nic więc dziwnego, że wyniki badań opinii publicznej pokazują, że na początku roku 2025 społeczeństwo Wielkiej Brytanii nie wierzy właściwie nikomu, kto wypowiada się w tej sprawie. Ponad 70 proc. nie ufa Elonowi Muskowi, który swoimi wpisami na X przywołał sprawę na nowo do świadomości opinii publicznej. Ale mniej więcej tyle samo osób nie ufa premierowi Starmerowi, a tylko nieco mniej – liderce konserwatystów oraz liderowi Reform Party, Nigelowi Farage'owi. Stosunek obywateli ufających rządowi do nieufających ma się jak 1:5 (14 proc. ufa, 68 proc. nie ufa).

Oczywiście nie jest tak, że sprawa gangów była jedyną determinującą poglądy Brytyjczyków na sposób rządzenia, ale niewątpliwie świadomość, że przez dziesięciolecia pod okiem policji i lokalnych władz, które wspomagali lokalni posłowie, odbywały się najobrzydliwsze zbrodnie, a ich ofiary były lekceważone w imię zachowania „spokoju społecznego", jest niszcząca.

Diagram preferencji wyborczych w Wielkiej Brytanii zaczął przypominać podobne diagramy w innych państwach europejskich, zaczyna się rozdrobnienie: w wyborach w 2024 r. trzy główne partie osiągnęły zaledwie 54 proc., najmniej od ponad 100 lat, a obecnie badania opinii pokazują, że aż pięć partii ma poparcie po ok. 10 proc. lub wyższe. Lokalnie zyskiwać mogą radykałowie z partii w rodzaju tej, której członkiem jest rywal pani minister Phillips, Jody McIntyre. To Partia Pracujących Wielkiej Brytanii (do której przeniósł się były lider laburzystów, Jeremy Corbyn), partia eksploatująca nastroje antyizraelskie i prorosyjskie.

Na straży jednolitości rządów stała w Wielkiej Brytanii zawsze większościowa ordynacja wyborcza. To dzięki niej laburzyści, uzyskując w ostatnich wyborach 34 proc. głosów, zdobyli dwie trzecie miejsc w parlamencie. Tylko że teraz na czele sondaży znajduje się Reform Party Farage'a, która ma w programie zmianę ordynacji wyborczej. Gdyby wybory odbywały się teraz, Farage miałby szansę zostać premierem, a jego partia mogłaby objąć rządy. Jeżeli zmienią ordynację, a do tego będą mieli sojuszników, to Wielka Brytania może stać się następnym krajem europejskim z niestabilnym systemem rządów. Paradoksalnie jedną z przyczyn tej przemiany będzie przemożne dążenie do jedności i integracji społecznej w ostatnich dziesięcioleciach. Studnia hipokryzji wydaje się zamykać, ale wahadło zaczyna się rozpędzać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

FOT. INSTAGRAM/KINECHAN2.0

CHRONIĆ SIĘ PRZED FANAMI

Brazylijska influencerka Kine Chan wydaje 1,8 tys. dol. dziennie na ochroniarzy. Chce bowiem swobodnie robić zakupy. Tymczasem gdy pojawia się w sklepie, przykuwa uwagę swoich fanów, a ci, reagując żywiołowo na jej obecność, nie dają jej spokoju. Dwudziestotrzyletnia instagramerka z Brazylii ściągnęła zainteresowanie mediów przede wszystkim ekscentrycznymi strojami.

OBRABOWAĆ MANEKINA

Na targu w boliwijskim mieście Warnes mężczyzna próbował dokonać napadu rabunkowego. Myślał, że zbliża się do człowieka trzymającego torbę. Kiedy zaatakował, okazało się, że... ma do czynienia nie z żywą osobą, lecz z manekinem, ale od razu się nie zorientował. Akcja się nie powiodła. Niedoszły grabieżca torby manekinowi nie zabrał, ale próbując ją mu wyrwać, zdewastował go. Ostatecznie został schwytany przez policję.

AI W BANKU

DBS – największy bank w Singapurze – zamierza zwolnić w ciągu najbliższych trzech lat 4 tys. pracowników. Ich zadania ma bowiem przejąć sztuczna inteligencja. Rzecznik banku zapowiedział, że redukcja zatrudnienia to skutek „naturalnej rotacji kadr" w miarę kończenia projektów, natomiast ustępujący dyrektor generalny firmy stwierdził, że spodziewa się utworzenia ok. 1 tys. nowych miejsc pracy związanych z AI.

LUKSUSY DLA PSA

Miłość do czworonożnych ulubieńców nie zna granic. Zamożna właścicielka dalmatyńczyka zafundowała mu 13-godzinną podróż samolotem ze Szwajcarii do Japonii w iście luksusowych warunkach. Pies miał własny kąt i rozsiadał się wygodnie na rozkładanym łóżku. Towarzyszący mu ludzie męczyli się w wąskich siedzeniach w klasie ekonomicznej.

NA PRZEKÓR BIOLOGII

W USA mimo „rewolucji zdrowego rozsądku" niezgoda na używanie transpłciowych imion i zaimków nadal przysparza kłopotów. Przekonał się o tym Colt Black – członek ciała zarządzającego szkolnictwem w hrabstwie Frederick w stanie Maryland. Wystąpił on przeciw zmuszaniu pracowników szkół w tym hrabstwie do używania wobec transpłciowych uczniów imion i zaimków, które nie znajdują oparcia w biologii. Na Blacka posypały się więc skargi. Ciało, którego jest członkiem, wszczęło wobec niego dochodzenie. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pieniądze kontra ideologia

Nowy układ sił na świecie pozwala największym przedsiębiorcom na odważne zmiany w ich dotychczasowych strategiach biznesowych. I nie chodzi tylko o gremialne rezygnowanie przez globalne korporacje z polityki różnorodności DEI (diversity, equity, inclusion), nakazującej menedżerom zatrudniać nie na podstawie kwalifikacji, ale na podstawie „różnorodności".

Korporacje coraz śmielej obalają też mit o konieczności porzucenia paliw kopalnych. W zeszłą środę, dwie dekady po tym, jak prezes BP rozwijał tę nazwą jako „Beyond Petroleum" (Poza erą ropy), BP potwierdziło, że zamierza ograniczać inwestycje w odnawialne źródła energii i skupić się na zwiększaniu wydobycia ropy i gazu. Wcześniej o podobnych krokach poinformowały Shell i norweski Equinor.

Również w środę 26 lutego eurokraci z KE pochwalili się światu nową strategią dla europejskiej gospodarki. Ta jest konieczna, bo Europa sromotnie przegrywa z rywalami z USA czy z Chin. Niestety, nowa strategia, mająca zapobiec dalszemu spadkowi unijnej konkurencyjności, nazywa się – siedzą państwo? – Czysty Ład Przemysłowy. I zakłada pozyskanie ponad 100 mld euro na wsparcie „czystej produkcji w UE". Efekt jest łatwy do przewidzenia: mieszkańcy i przedsiębiorcy UE nie muszą się już martwić, że nadmierna biurokracja i piekielnie wysokie koszty energii doprowadzą do „powolnej agonii". Eurokraci upierając się przy dekarbonizacji unijnej gospodarki, tę agonię znacznie przyspieszają. Europa nadal biegnie bowiem w kierunku przeciwnym do światowych mocarstw. Eurokraci stojąc nad przepaścią, zdecydowali się zaś w ubiegłym tygodniu zrobić duży krok naprzód. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

Cudze zyski w Polsce

Tomasz Cukiernik

Jak zachodnie koncerny wytransferowują z Polski grube miliardy, które mogłyby przyczynić się do budowy naszego dobrobytu

Swego czasu kolega wracał samolotem z Brukseli do Krakowa. Był to okres, kiedy polskie cementownie były przejmowane przez zachodnią konkurencję. W fotelu obok siedział przedstawiciel tej firmy. Po nawiązaniu krótkiej konwersacji kolega stwierdził, że teraz dla firm z branży przyjdą ciężkie czasy, bo wykańczają je coraz ostrzejsze unijne regulacje środowiskowe, dziwiąc się, że ktoś w takiej sytuacji chce kupować polskie cementownie. Współpasażer głośno się zaśmiał. – To myśmy lobbowali za tymi przepisami, żeby przejąć polską konkurencję – stwierdził wprost.

TRANSFEROWANE MILIARDY

Z danych Ministerstwa Finansów wynika, że w latach 2005–2023 zagraniczne koncerny wytransferowały z Polski do innych krajów Unii Europejskiej i Wielkiej Brytanii gigantyczną kwotę 1268 mld zł. To w przybliżeniu dwa razy więcej, niż w tym czasie wyniosły wszystkie dotacje unijne dla Polski netto (po odjęciu składki członkowskiej). Średniorocznie wychodzi prawie 67 mld zł. To niemal tyle, ile rocznie kosztuje budżet państwa program „Rodzina 800+" (ok. 70 mld zł). Koncerny zrobiły to po to, by w Polsce nie płacić podatku dochodowego. Jak się to dzieje? Spółka córka zleca zagranicznej centrali różne mniej lub bardziej potrzebne oraz mniej lub bardziej wyimaginowane usługi doradcze, księgowe, prawne, reklamowe, badania rynku itd. Realizacja tego zadania możliwa jest także za pomocą dywidend, odsetek czy opłat licencyjnych.

Konkretne dane pokazują jednoznacznie, że centrale zagranicznych koncernów są znacznie bardziej zyskowne niż ich spółki działające w Polsce. Otóż średnio zysk siedmiu duńskich korporacji wyniósł 18 proc. przychodu, podczas gdy zysk działających w Polsce spółek zależnych tych koncernów – zaledwie 3 proc. Na przykład zysk centrali firmy Lego w latach 2021–2023 wyniósł 22 proc., a spółki Lego w Polsce – 5 proc. Z kolei zysk działającej w przemyśle farmaceutycznym firmy Novo Nordisk wyniósł 34 proc., a jej spółki w Polsce – 2 proc. A w przypadku firmy VKR (Velux) było to odpowiednio 12 proc. i 3 proc. Podobnie wygląda sytuacja z inwestorami z innych krajów członkowskich Unii Europejskiej. Zysk netto centrali austriackiej firmy

eprasa.pl 1d5b8d9732

FOT. ADOBE STOCK

produkującej napój Red Bull w latach 2021–2023 sięgnął 19 proc., podczas gdy oddziału w Polsce – 3 proc. Zysk hiszpańskiego przedsiębiorstwa Inditex (Zara) wyniósł 14 proc., a jego polskiego oddziału – 2 proc. Z kolei zysk netto centrali szwedzkiej firmy Thule wyniósł 12 proc., a jej polskiego oddziału – 2 proc.

Raporty Związku Przedsiębiorców i Pracodawców sprzed kilku lat wskazują na konkretnych liczbach, że niemieckie i francuskie firmy działające w Polsce niemal nie płacą u nas podatku dochodowego lub jest on odprowadzany w marginalnej wysokości w porównaniu z osiąganymi lokalnie przychodami. W najbardziej skrajnym przypadku zapłacony w latach 2015–2019 przez sieć handlową Auchan Polska podatek CIT stanowił zaledwie 0,004 proc. przychodów spółki. Z kolei zdecydowana większość badanych firm niemieckich zapłaciła w Polsce podatek wynoszący mniej niż 1 proc. przychodu. Na przykład w spółce Volkswagen Motor Polska udział podatku CIT w przychodzie w ciągu dziewięciu badanych lat 2012–2020 wyniósł jeszcze mniej niż w przypadku francuskiego Auchan, bo 0,003 proc.

NIEUCZCIWA KONKURENCJA

Polska jest częścią wspólnego unijnego rynku i nie chodzi o to, by zakazać zagranicznego inwestowania w Polsce. Chodzi o to, by wszystkie firmy miały jednakowe szanse na wspólnym rynku i by organy państwa czy też Unii Europejskiej broniły uczciwej konkurencji, a ukrócały tę nieuczciwą. Tak się niestety nie dzieje. Polskie firmy są zwykle dyskryminowane i przez eurokratów, i przez polskich polityków, i przez polskich urzędników, i tłamszone są przez zagraniczną konkurencję oraz pomijane przez rodzimych konsumentów. Inne kraje potrafią zadbać o własny interes. – Jeżeli chodzi o przetwórstwo, to [w Polsce] praktycznie jest niewiele małych masarni, a pozostałe to te potężne, których właścicielami są głównie Duńczycy przodujący w hodowli trzody chlewnej w całej Europie. Oni zabezpieczają interesy swoich rolników – mówił w Radiu Maryja Edward Moskal z NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność".

Cały problem polega na tym, że na wspólnym unijnym rynku globalne koncerny – w sposób mniej lub bardziej legalny – robią wszystko, by nie dopuścić do swoich rynków konkurencji z Europy Środkowej, jednocześnie rozpychając się łokciami na rynkach naszej części Europy. Na przykład według Fundacji Pomyśl o Przyszłości duński producent klocków Lego, próbuje usunąć polską konkurencję, czyli firmę Cobi za pomocą kruczków prawnych, wikłając ją w procesy licencyjne. Z kolei firma Fakro wskazuje, że koncern Velux stosuje wobec niej cały arsenał zabronionych antykonkurencyjnych praktyk. Mimo sporu ciągnącego się od dwóch dekad na razie instytucje Unii Europejskiej nie zamierzają bronić uczciwej konkurencji rynkowej, tym samym faworyzując duńską korporację kosztem polskiej konkurencji. A należy pamiętać o olbrzymiej przewadze kapitałowej i korzyściach wynikających z efektu skali, co dużym koncernom pozwala taniej niż małym firmom produkować i sprzedawać. – Gdyby Fakro mogło sprzedawać okna na rynku niemieckim, miało taką skalę sprzedaży jak nasz konkurent, to cały zysk płynąłby do Polski. Cała sztuka polega na tym, że nas do tego rynku nie dopuszczą. Nie pozwolą, żeby zysk trafiał do Polski – mówi Ryszard Florek, prezes Fakro. – Unia Europejska i zachodnie firmy robią wszystko, żeby w Polsce nie powstały globalne firmy. Gdyby nasz konkurent nie łamał prawa, to bylibyśmy dzisiaj co najmniej dwa razy więksi. W Fakro nie pracowałyby 4 tys. osób, tylko pracowałoby przynajmniej 10 tys., a do polskiego PKB wpływałoby co najmniej 1 mld zł więcej tylko z branży okien dachowych.

Jeśli spojrzymy na statystyki, to widać wyraźny związek pomiędzy liczbą firm globalnych w danym kraju a średnim wynagrodzeniem. Im firm globalnych w danym kraju jest więcej, tym wyższe są średnie wynagrodzenia. Na przykład na 5 mln mieszkańców w Danii firm globalnych jest 41, we Włoszech – sześć, a w Polsce – jedna (łącznie w Polsce jest tylko siedem takich firm). W efekcie w 2022 r. w Danii średnie zarobki netto wyniosły ponad 30 tys. euro rocznie, we Włoszech – ponad 20 tys. euro, a w Polsce ok. 10 tys. euro. – Tam, gdzie nie ma firm globalnych, wynagrodzenia są niskie i niski jest PKB. Tam, gdzie są rodzime firmy globalne, tam zamożność jest wysoka. I te kraje szybciej się bogacą. A podobno kapitał nie ma narodowości – mówi prezes Florek. – Jeżeli chcemy doganiać kraje bogate, to musimy mieć nie jedną firmę globalną na 5 mln mieszkańców, tylko przynajmniej kilkanaście – dodaje. Jednym słowem, koncerny globalne ściągają zyski do swojego kraju macierzystego, co generuje bogactwo w tym właśnie kraju.

Ale jeśli jako konsumenci nie mamy możliwości wpływania na to, by te nieuczciwe praktyki zagranicznych koncernów zostały zaniechane, to powinniśmy przynajmniej wspierać polskie firmy na polskim rynku, tak jak robią to społeczeństwa zachodnie. Duńczyk nie zrobi zakupów we francuskim sklepie, bo nie pozwoli mu na to jego świadomość gospodarcza. Niemiec kupuje niemieckie auta, a Francuz – francuskie wina. Duńczyk kupi od Duńczyka, Francuz od Francuza, a Włoch od Włocha. – Jest wiele do zrobienia w Polsce w tym kierunku. Przede wszystkim Polacy muszą zrozumieć, że

eprasa.pl 1d5b8d9732

trzeba zacząć budować kapitał społeczny. Żeby wszyscy Polacy wzięli odpowiedzialność za rozwój gospodarczy kraju. Sam przedsiębiorca nie stworzy firmy globalnej, bez klientów rodzimych, bez wsparcia polityków, którzy by tworzyli dobre prawo, dziennikarzy, konsumentów – uważa prezes Florek. Powołana przez niego Fundacja Pomyśl o Przyszłości pokazuje, jak ogromny wpływ na rozwój gospodarki ma każdy z nas, bo każdy z nas dysponuje swoim najważniejszym orężem, którym są jego własne pieniądze. Mądrość gospodarcza z punktu widzenia konsumenta to wybieranie polskich produktów i usług, jeśli oczywiście mamy do czynienia z podobną jakością i ceną. Codziennie decydujemy o tym, w którym kraju i jakie zyski będą opodatkowane. Świadomość konsumentów w rozwiniętych gospodarczo krajach Europy Zachodniej sprawiła, że urosły tam wielkie korporacje. To one płacą wysokie podatki w swoim kraju, generują wysokopłatne miejsca pracy i przyczyniają się do wzrostu gospodarczego. Duńczycy, Szwedzi czy Austriacy postawili na globalne firmy, bo wiedzą, że to przede wszystkim one ściągają kapitał do rodzimej gospodarki i powodują, że ludzie mogą więcej zarabiać.

JESTEŚMY KOLONIZOWANI

Natomiast powołując się nie tylko na casus cementowni, widać wyraźnie, że Unia Europejska to forum, gdzie koncerny, które nie są w stanie uczciwie wygrywać w grze rynkowej, załatwiają swoje interesy za pomocą lobbingu i korupcji. Po to eurokraci wprowadzają różne regulacje, które w rzeczywistości nie są niczym innym jak „sztucznie kreowanymi przeszkodami", by zaszkodzić konkurencji. Po to wdrożono tzw. pakiet mobilności i w jaskrawy sposób pokazują to choćby kolejne afery z łapówkami i nieuczciwym finansowaniem w tle na szczytach unijnych władz, które konsekwentnie zamiatane są pod dywan. Na dodatek polskie firmy nie mają co liczyć nawet na polskich polityków i urzędników, którzy pojadą do Brukseli. Przykładem jest Polka, będąca urzędniczką średniego szczebla w Komisji Europejskiej, która podpisywała się pod decyzjami uderzającymi w polską firmę Smart Kid Belt. – Kiedy Polacy pojadą do Brukseli, już nie są zainteresowani interesem gospodarczym kraju, zdarza się, że stają się większymi „Europejczykami" niż Polakami – ocenia prezes Florek.

W przeciwieństwie do społeczeństw Europy Zachodniej Polacy nie nauczyli się patriotyzmu gospodarczego

Zachód potrzebuje polskich pracowników, polskich podwykonawców i Polski jako rynku zbytu dla swoich towarów i usług, a jednocześnie nie życzy sobie, by polskie firmy stały się konkurencyjne, dlatego zwalcza – przy pomocy unijnych instytucji, a także przepisów krajowych – w szczególności duże koncerny. – Kiedyś Polska miała 180 statków handlowych, teraz ma trzy. Najpierw spowodowano, żeby upadły, przedumpingowano, a potem je poprzejmowano. Tak działają koncerny z Europy Zachodniej chronione przez komisarzy Komisji Europejskiej – mówi prezes Florek. – Za unijne srebrniki w postaci dotacji politycy zgadzają się na różne niekorzystne dla nas regulacje. Tak jesteśmy kolonizowani. Temu musimy się przeciwstawić. Samo wstąpienie do Unii Europejskiej nie gwarantuje bogactwa. Trzeba jeszcze umieć z tej Unii korzystać – słusznie zauważa prezes Florek.

W przeciwieństwie do społeczeństw Europy Zachodniej Polacy nie nauczyli się patriotyzmu gospodarczego, który prowadzi do przyspieszenia wzrostu gospodarczego i szybszego bogacenia się społeczeństwa. Dodatkowo to krajowe firmy, a nie obce korporacje międzynarodowe, finansują inicjatywy ważne dla narodu, społeczeństwa, takie jak promocja i wsparcie dla nauki, kultury, sztuki, sportu, wiary czy tożsamości. Bo poza generowaniem zysku i płaceniem podatków, zatrudnianiem pracowników i płaceniem ZUS są też inne istotne kwestie, którymi powinien zajmować się rodzimy biznes. Oczywiście z różnych powodów nie wszyscy to robią. Ale przynajmniej niektórzy polscy właściciele firm myślą o polskim interesie narodowym i polskiej racji stanu. Czy firma będąca zagranicznym inwestorem wesprze polskich artystów, naukowców czy sportowców, którym na sercu leży interes narodowy? Wolne żarty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

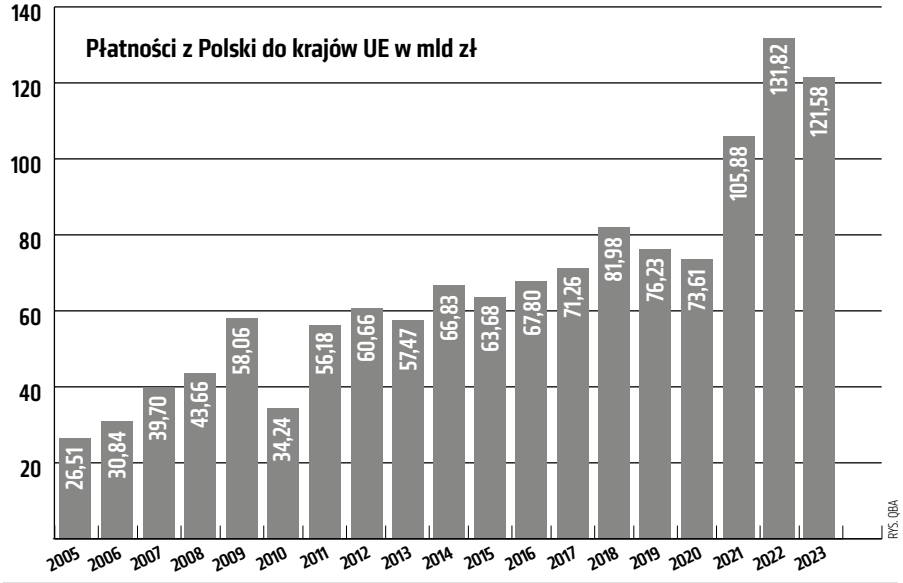

Płatności do krajów UE oraz Wielkiej Brytanii uzyskane w Polsce przez podatników posiadających siedzibę lub zarząd na terytorium innego niż Polska państwa członkowskiego UE oraz Wielkiej Brytanii, z tytułu: dywidend i innych przychodów (dochodów) z tytułu udziału w zyskach osób prawnych, odsetek, opłat licencyjnych oraz przychodów z tytułu świadczeń: doradczych, księgowych, badania rynku, usług prawnych, usług reklamowych itd. w latach 2005–2023. Opracowanie własne na podstawie danych Ministerstwa Finansów.

eprasa.pl 1d5b8d9732

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Lewe związki „ministry" Kotuli

Marząca o zostaniu „doktorą", prawie „magistra", „ministra" do spraw równości Katarzyna Kotula wygadała się, że treść projektu jednej z ustaw, który wypichcił jej resort, zostanie ujawniona dopiero po wyborach prezydenckich (żeby nie drażnić wyborców przed wyborami).

I, jak się okazuje, chodziło nie o projekt ustawy o „związkach partnerskich", lecz ustawy o „uzgadnianiu płci". Więc myślę sobie, co to dopiero musi być za wykwit, skoro nawet na ujawnionym projekcie ustawy o „związkach partnerskich" nikt – nawet z jej obozu politycznego – nie zostawia suchej nitki.

Albowiem na projekt ustawy o „związkach partnerskich" autorstwa ekipy „ministry" Kotuli rzucił się, kto żyw, na czele z Ministerstwem Sprawiedliwości pod batutą Adama Bodnara (a nie Zbigniewa Ziobry). I to właśnie bodnarowcy, i to bez owijania w bawełnę, napisali do „ministry" Kotuli, że „projektodawca [czyli właśnie ona] powinien rozważyć, czy wprowadzenie takich samych preferencji dla osób pozostających w związku partnerskim, jakie przysługują małżonkom, nie będzie prowadzić do nadużyć".

A jako że taki „związek partnerski" – zgodnie z wizją „ministry" Kotuli – ma być zawiązywalny i rozwiązywalny dosłownie na pstryknięcie palcami, to „może to skutkować sytuacjami, w których partnerzy wykorzystają preferencje w sposób krótkoterminowy".

Tę obawę bodnarowców podzielają nie tylko ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Finansów, lecz także Rzecznik Praw Obywatelskich, wskazując, iż tak łatwo zawiązywalne i rozwiązywalne „związeczki" mogą być i będą wykorzystywane do celów całkiem innych niż budowanie trwałych relacji między dwojgiem ludzi. I to – wbrew nadziejom „ministry" Kotuli – nie do czynienia dobra, lecz zła. Czyli np. do „optymalizacji podatkowej", do „obchodzenia obostrzeń związanych z zakupem nieruchomości" czy też do „uzyskania ochrony międzynarodowej na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej".

A jako że to poręczne narzędzie będzie mogło być używane nie tylko przez „związkowców" heteroseksualnych, lecz także, rzecz jasna, homoseksualnych, to wnet może się okazać, że wymiar sprawiedliwości ma kłopot z pozostającymi w takich „związkach" gangusami, którzy dzięki temu nie będą musieli przeciw sobie zeznawać.

To zaś z kolei – zdaniem bodnarowców, ideologicznie sprzyjających przecież kotulowcom – „może podważać założenia leżące u podstaw przyznawania preferencji prawnych zarezerwowanych dla instytucji małżeństwa". I „będzie się odbywać ze stratą dla Skarbu Państwa".

A teraz biorę popcorn i czekam na premierę projektu ustawy o „uzgadnianiu płci". ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ceaușescu, Georgescu i Gustaw Kramer

W Internecie można znaleźć wstrząsające zdjęcia, pokazujące leżące pod murem zwłoki rumuńskiego dyktatora Nicolae Ceaușescu i jego żony Heleny. Egzekucja odbyła się błyskawicznie. Jeszcze 21 grudnia 1989 r. małżeństwo uciekło śmigłowcem z budynku komitetu centralnego rumuńskiej partii komunistycznej w Bukareszcie. Stało się to po tym, jak dyktator został wygwizdany, kiedy przemawiał z balkonu podczas wiecu, który miał dowieść, że cieszy się wciąż poparciem. Już 25 grudnia zaś odbył się „proces", a właściwie parodia procesu, i po godz. 15 małżonkowie Ceaușescu byli martwi.

Ten epizod trzeba właściwie zrozumieć, żeby odpowiednio zinterpretować hucpę, która dzieje się w Rumunii wokół wyborów prezydenckich. W 1989 r. rumuńskie służby oraz wojsko wyczuły wiatr zmian i dokonały błyskawicznego zwrotu, tak aby pod nowymi sztandarami wciąż kontrolować sytuację. Zamordowanie dyktatora i jego żony – bo przecież trudno uznać, że po godzinnej „rozprawie" wydano prawomocny wyrok – miało jeden cel: uciszyć ludzi, którzy mieli ogromną wiedzę i występując przed prawdziwym sądem w warunkach cywilizowanego procesu, mogli pogrążyć wiele osób, które chciały sobie ułożyć kariery w nowej, demokratycznej Rumunii. Ślady tamtych wydarzeń widać w historii tego kraju do dziś.

Dlatego gdy służby znajdują u ochroniarza Călina Georgescu zgrabne paczuszki banknotów z banderolami oraz elegancko wydrukowane bilety lotnicze do Moskwy, mam tylko jedno skojarzenie – filmowe. W genialnym, znakomitym „Vabanku" Juliusza Machulskiego komisarz Przygoda („szczególarz" – jak go określił Kwinto) dokonuje przeszukania willi Gustawa Kramera. Znalazłszy gotówkę, skradzioną z banku tegoż Kramera, pyta go ironicznie: „Czy zawsze trzyma pan pieniądze w koszu z brudną bielizną?". To pieniądze, które podrzucili główni bohaterowie, żeby Kramera wrobić. Jak wiemy – skutecznie, bo ten kończy za kratami.

Gdzie skończy pan Georgescu? Po komedii, którą odstawiono, stawiałbym, że nawet druga tura nie będzie potrzebna, bo jeśli pozwoli się Rumunom wybrać, to mogą dać mu zwycięstwo już w pierwszej. Chyba że wcześniej pałkarze demokracji walczącej zrobią z nim to, co komisarz Przygoda z Kramerem. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

Wojna o metale rzadkie

Jacek Przybylski

Metale ziem rzadkich, znane też jako REE, są kluczowym elementem współczesnej elektroniki. Są też przyczyną wojen w Afryce i jednym z głównych powodów, dla których Donald Trump marzy o Grenlandii. Stały się także podstawą porozumienia między USA i Ukrainą

FOT. ADOBE STOCK

W piątek, już po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy", prezydenci Ukrainy i USA mieli podpisać w Waszyngtonie wstępną umowę w sprawie dostępu do ukraińskich zasobów mineralnych. Porozumienie nazwano ładnie „Umową o ustanowieniu zasad i warunków funduszu inwestycyjnego na rzecz odbudowy Ukrainy". W dokumencie znalazł się m.in. zapis – jak informowała ukraińska Europejska Prawda – o tym, że rząd Ukrainy wpłaci do funduszu 50 proc. wszystkich przychodów pochodzących z wydobycia zasobów naturalnych i że fundusz będzie inwestował w projekty na rzecz rozwoju Ukrainy.

„Powiedzieliśmy Ukrainie, że mają bardzo cenne metale ziem rzadkich" – oznajmił Donald Trump. „Chcemy zawrzeć umowę z Ukrainą, w ramach której zabezpieczy ona to, co jej dajemy, za pomocą swoich metali ziem rzadkich i innych rzeczy" – dodał amerykański prezydent.

Ukraina ma co prawda dużo „innych rzeczy", czyli wiele cennych minerałów i surowców, takich jak choćby lit, tytan i uran. Prawdopodobnie nie ma jednak tak dużo metali ziem rzadkich. Ogólnie „Forbes" szacował, że w 2023 r. zasoby mineralne Ukrainy wynosiły 111 mld ton, głównie węgla i rudy żelaza, o wartości 14,8 bln dol. Ponad 70 proc. z nich znajduje się jednak na wschodzie kraju, który pozostaje pod okupacją Rosji.

Czym są pierwiastki ziem rzadkich? To rodzina 17 metali, w której skład wchodzą wszystkie lantanowce (lantan, cer, prazeodym, neodym, promet, samar, europ, gadolin, terb, dysproz, holm, erb, tul, iterb i lutet) oraz dwa skandowce (skand i itr). Pierwiastki te są kluczowe dla nowoczesnych gospodarek cyfrowych. Są bowiem wykorzystywane m.in. do produkcji magnesów, elektrod akumulatorowych, smartfonów, samochodów elektrycznych, katalizatorów, światłowodów, procesorów, słuchawek, wyświetlaczy ciekłokrystalicznych, turbin wiatrowych, a także środków kontrastowych do rezonansu magnetycznego, laserów, silników lotniczych, systemów naprowadzania rakiet, pojazdów bezzałogowych, sonarów, zaawansowanych systemów łączności oraz wielu innych produktów zarówno cywilnych,

eprasa.pl 1d5b8d9732

jak i wojskowych. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że pierwiastków ziem rzadkich potrzebuje w zasadzie każde współczesne urządzenie elektroniczne, które jest choć trochę zaawansowane technologicznie. Trudno też bez dostępu do tych pierwiastków myśleć o rozwoju przemysłu lotniczego czy kosmicznego.

Metale ziem rzadkich, znane też jako REE (rare-earth elements), występują w skorupie ziemskiej na całym świecie. I wcale nie są aż tak bardzo rzadkie, jak sugerowałaby ich nazwa. Przeciwnie: występują stosunkowo obficie i częściej niż wiele innych pierwiastków. Według danych Sondażu Geologicznego USA (US Geological Survey, USGS) w 2023 r. zasoby metali ziem rzadkich na świecie szacowane były na ok. 110 mln ton metrycznych. Eksperci USGS szacują, że Chiny mają 44 mln ton metrycznych, Brazylia 21 mln, Indie 6,9 mln, Australia 5,7 mln, Rosja 3,8 mln, Wietnam 3,5 mln, Stany Zjednoczone 1,9 mln, a Grenlandia 1,5 mln ton metrycznych.

Kłopot w tym, że metale ziem rzadkich występują rzadko w wysokich stężeniach, a do tego najczęściej są ze sobą zmieszane. W rudzie bastnazytowej (wydobywanej w Chinach i USA) lub monacytowej (wydobywanej w Indiach, Brazylii, Malezji, Wietnamie czy Australii) zawartość metali ziem rzadkich stanowi zazwyczaj zaledwie ułamek procenta.

To sprawia, że proces ich wydobywania i przetwarzania jest skomplikowany oraz kosztowny. Jest on również szkodliwy dla środowiska, ponieważ podczas przetwórstwa powstają kwasy, toksyczny fluor oraz radioaktywna woda. Stąd wiele państw woli w celu rafinacji eksportować je poza swoje granice. I nawet Chiny zaczęły coraz częściej inwestować w przetwórstwo tych minerałów poza swoim terytorium (głównie w Afryce).

CHIŃSKI MONOPOL

W przypadku metali ziem rzadkich oraz produktów je zawierających od przełomu lat 80. i 90. XX w. zdecydowanie największym producentem na świecie jest Chińska Republika Ludowa. Wcześniej liderem były USA. W latach 1985–1995 udział Chin w światowej produkcji poszybował z 20 proc. do 60 proc. Według danych Sondażu Geologicznego USA (USGS) Chiny wydobyły w 2024 r. aż 270 tys. ton metrycznych, USA 45 tys., Mjanma 31 tys., Australia, Nigeria i Tajlandia po 13 tys., Indie 2,9 tys., Rosja 2,5 tys., a Madagaskar 2 tys ton.

Wprawdzie na terenie Chin znajduje się ok. 35 proc. rozpoznanych zasobów na Ziemi, jednak Chińczycy niemal całkowicie zdominowali również globalny łańcuch dostaw REE. Według danych Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS) Chiny są więc obecnie niemalże monopolistą na rynku przetwórstwa metali rzadkich. Odpowiadają za ok. 90 proc. światowej produkcji.

W bogatych krajach zachodnich długo uważano bowiem, że nie ma sensu inwestować w rozwój wydobycia i zasobochłonnego przetwórstwa w USA czy innych krajach zachodnich, skoro w Chinach jest ono o wiele tańsze. Zimny prysznic spadł na polityków ponad dekadę temu, gdy władze w Pekinie wprowadziły ograniczenia eksportowe metali rzadkich po tym, jak Japończycy

REKLAMA

eprasa.pl 1d5b8d9732

aresztowali w pobliżu kontrolowanych przez siebie wysp na Morzu Wschodniochińskim kapitana chińskiej łodzi rybackiej. Chiny wywołały wówczas falę zarzutów o polityczne wykorzystywanie swojej pozycji rynku metali ziem rzadkich. Ceny cennych pierwiastków wystrzeliły wówczas niemal pięciokrotnie. I chociaż Chińczycy w 2015 r. ostatecznie znieśli ograniczenia, to Japończycy błyskawicznie wyciągnęli wnioski i zaczęli mocno inwestować w produkcję metali ziem rzadkich na terenie Australii.

W 2019 r. dziennik „Renmin Ribao", będący oficjalnym organem prasowym Komunistycznej Partii Chin (KPCh), zagroził wprost, że władze w Pekinie są gotowe wprowadzić ograniczenia w dostępie do metali ziem rzadkich w ramach działań odwetowych w wojnie handlowej z USA. „Nie mówcie, że was nie ostrzegaliśmy" – podkreślali otwarcie Chińczycy podczas pierwszej kadencji prezydenta Donalda Trumpa. To istotna fraza, ponieważ chińskie media państwowe stosują ją ostrożnie i rzadko. Wcześniej słowa „Nie mówcie, że was nie ostrzegaliśmy" padły w 1978 r. przed chińskim atakiem na Wietnam oraz w roku 2017 podczas konfliktu granicznego z Indiami.

Zmiana na stanowisku prezydenta USA załagodziła nieco chińsko-amerykańskie potyczki handlowe, ale nie zmniejszyła ambicji chińskich władz zmierzających do wykorzystania rzadkiego asa w rękawie. W lutym 2021 r. „Financial Times" poinformował, że chińskie Ministerstwo Przemysłu i Technologii Informacyjnych bada możliwość takiego ograniczenia eksportu minerałów rzadkich ziem, aby uderzyć w możliwości produkcyjne amerykańskich myśliwców F-35 i innej zaawansowanej broni. Amerykanie, podobnie jak wcześniej Japończycy, wyciągnęli z tych działań właściwe wnioski i wprowadzili w życie program, którego celem jest zwiększenie wydobycia pierwiastków ziem rzadkich ze złóż na terenie USA i zapewnienie, aby do roku 2027 krajowy łańcuch dostaw REE był wystarczający na pokrycie zapotrzebowania przemysłu zbrojeniowego. Władze w Waszyngtonie uruchomiły także specjalne dotacje dla tych firm, które chciałyby inwestować w przetwórstwo metali ziem rzadkich na terenie Stanów Zjednoczonych.

Chińczycy doskonale wiedzą, że dzięki konsekwentnie realizowanej polityce przemysłowej i uznaniu już ponad dwie dekady temu pierwiastków ziem rzadkich za surowce strategiczne nadal trzymają w garści dużą część światowego przemysłu i że od ich metali rzadkich uzależniona jest kondycja gospodarek Japonii, krajów Unii Europejskiej czy Stanów Zjednoczonych, choć akurat Japończykom – jako jedynym w tym gronie – udało się istotnie zmniejszyć uzależnienie od importu z Chin (z ponad 90 proc. do niecałych 60 proc.). Dostawy z Chin stanowią jednak nadal niemal 98 proc. importu metali ziem rzadkich do państw Unii Europejskiej oraz 80 proc. importu do Stanów Zjednoczonych.

KUSZENIE TRUMPA

Z tego powodu mocarstwa zaczęły się interesować terenami, które mogłyby im pomóc w osiągnięciu samowystarczalności w sferze tych strategicznie ważnych pierwiastków. Takimi jak choćby skuta lodem i zamieszkana przez zaledwie 60 tys. mieszkańców Grenlandia, w której znajduje się Kvanefjeld, czyli jedno z trzech największych na świecie złóż metali ziem rzadkich mogące dostarczać do 15 proc. globalnego zapotrzebowania na pierwiastki kluczowe dla cyfrowej gospodarki (a jednocześnie szóste co do rozmiarów złoże uranu na świecie). I to m.in. dlatego Donald Trump przekonywał wielokrotnie, że Stany Zjednoczone powinny przejąć „własność i kontrolę" nad Grenlandią.

98 proc.

NIEMAL TAKI ODSETEK IMPORTU METALI ZIEM RZADKICH DO UE STANOWIĄ DOSTAWY Z CHIN

Prezydent Wołodymyr Zełenski, walcząc o przetrwanie na globalnej szachownicy, sprytnie kusił więc znanego z merkantylnego podejścia do rzeczywistości amerykańskiego prezydenta dostępem do ukraińskich złóż metali rzadkich. Kłopot w tym, że Ukrainy próżno szukać w raporcie USGS dotyczącym krajów o największych złożach tych pierwiastków. Wprawdzie Ukraina może mieć złoża takich pierwiastków jak lantan, cer, neodyn, erb, itr i skand, ale najprawdopodobniej w opłacalnych do wydobycia ilościach występują one raczej na terenach okupowanego przez rosyjskie wojska Donbasu.

Donalda Trumpa kuszą więc cennymi pierwiastkami również władze w Moskwie. „Amerykanie potrzebują metali ziem rzadkich. My ich mamy dużo" – oświadczył w ubiegłym tygodniu rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow, podkreślając, że choć Rosja ma już własne plany eksploatacji strategicznych zasobów, to widzi na tym polu „całkiem duże możliwości współpracy". W zeszły poniedziałek na antenie telewizji otwartość na wspólne projekty z „amerykańskimi partnerami" deklarował zaś… Władimir Putin, prezydent Rosji, która znajduje się na piątym miejscu wśród krajów mających największe złoża metali ziem rzadkich.

Odwilż we wzajemnych stosunkach zapanowała również w Białym Domu. Amerykański przywódca Donald Trump zapowiedział bowiem zbliżenie gospodarcze między Moskwą a Waszyngtonem oraz „duże transakcje dotyczące inwestycji gospodarczych z Rosją". Szef amerykańskiej dyplomacji Marco Rubio zapowiedział zaś po rozmowach w Arabii Saudyjskiej, że porozumienie pokojowe między Rosją a Ukrainą może otworzyć „niesamowite możliwości" dla Stanów Zjednoczonych w zakresie partnerstwa z Rosją. Niewykluczone, że deklaracje nowej ekipy w Białym Domu służyć mają jedynie za zachętę dla Moskwy w trwających negocjacjach pokojowych. Eksperci nie pozostawiają jednak na tych planach suchej nitki.

Negocjacje między USA a Ukrainą sprawiły, że w sprawie cennych pierwiastków obudziła się również Europa. Władze w Paryżu zaproponowały Kijowowi współpracę w dostawach kluczowych surowców, które mogłyby wzmocnić unijny rynek.

Na koniec dwa zdania na uspokojenie. Polska nie powinna stać się łakomym kąskiem dla światowych mocarstw. Zdaniem głównego geologa kraju, Krzysztofa Galosa, nie ma u nas bowiem złóż metali ziem rzadkich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1d5b8d9732

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI: „POWSTANIE WARSZAWSKIE W 100 PRZEDMIOTACH"

„Powstanie Warszawskie w 100 przedmiotach" nie jest zwykłym albumem ze zdjęciami.

To nowy sposób opowiedzenia dziejów społecznych, politycznych,wojskowych, technicznych i kulturalnych Powstania.
Każdy z pokazanych przedmiotów opowiada historię, którą trudno zrozumieć bez właściwego kontekstu. Przedmioty czasem zwyczajne awansowały na świadków wielkiej historii.

Powstanie Warszawskie do dziś wywołuje gorące emocje, często w poprzek tradycyjnych podziałów politycznych. Jedni twierdzą, że przyniosło tylko zniszczenie Warszawy i hekatombę cywilnych ofiar – inni utrzymują, że powstrzymało sowietyzację Polski. Nasza książka nie wnosi do tego sporu żadnego nowego komentarza politycznego czy historycznego. Przybliża za to czas próby i honoru poprzez przedmioty, rzeczy, którymi posługiwali się powstańcy, żołnierze ruszający na pomoc Warszawie i zwykli mieszkańcy.

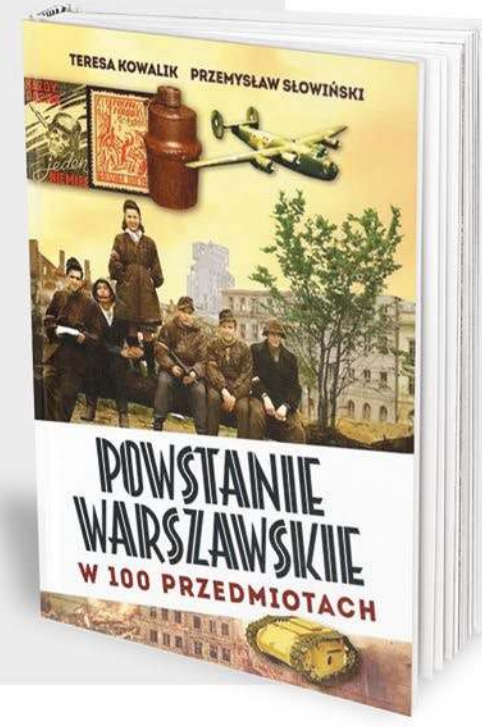

166 zł

oszczędność 71 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1d5b8d9732

ISUZU D-MAX 1.9 AT

FOT. JAP.

To nie jest auto dla niskich ludzi. Posiadanie pick-upa to jednak jedyny sposób, aby w czasach, gdy na drogach jest aż tyle wszelkiej maści SUV-ów i crossoverów, móc oglądać świat ponad dachami osobówek.

Olbrzymie pick-upy przywodzą na myśl amerykańskie szosy (pamiętam, że gdy byłem korespondentem w Waszyngtonie i kupiłem tam mitsubishi Outlandera, na światłach zaczepił mnie pewien Amerykanin, dopytując uprzejmie, co to za model, bo on też szuka jakieś małego auta). Prawdziwy pick-up to bowiem synonim praktyczności, dużej ładowności i świetnego zachowania w trudnym terenie.

Testowane Isuzu D-Max 1.9 AT spełnia wszystkie te warunki (ma 1060 kg ładowności i prześwit wynoszący aż 24 cm). Współczesne pick-upy mocno różnią się jednak od swych odpowiedników sprzed lat. Obecnie, gdy człowiek podniesie wysoko nogę, złapie się za poręcz i wdrapie w końcu do kabiny Isuzu, to nie zobaczy już wcale surowego wnętrza potężnego woła roboczego, lecz kabinę wykończoną niemal tak, jak wykończone są wnętrza przeciętnego SUV-a. Oczywiście dominują twarde plastiki, ale jakość wykończenia jest naprawdę niezła. Na pokładzie znalazły się zaś nawet kolorowy ekran systemu multimedialnego (banalnie prosty w obsłudze) oraz przyciemniane tylne szyby.

Producenci dbają także o wygląd zewnętrzny, w tym o atrakcyjne lakiery (jak choćby pomarańczowy pustynny metalizowany) czy nakładki nadkoli. Japońscy konstruktorzy w najnowszej wersji modelu Isuzu D-Max poprawili również komfort podróżowania swym pick-upem, a także zwiększyli przyjemność z prowadzenia tego olbrzyma (ma 528 cm długości, 187 cm szerokości i 181 cm wysokości). W porównaniu z poprzednim wcieleniem D-Maxa poprawa jest odczuwalna, ale układ kierowniczy mógłby być jeszcze bardziej precyzyjny.

Pod maską pick-upa znajduje się silnik wysokoprężny o pojemności 1,9 l i mocy 163 KM, który współpracuje ze skrzynią manualną lub sześciobiegową automatyczną skrzynią (jak w testowanym egzemplarzu). Automat zazwyczaj pracuje płynnie, choć czasem nieco zbyt długo zastanawia się nad redukcją, gdy kierowca nagle silniej dociśnie pedał gazu.

Przy gwałtownym przyspieszaniu oraz przy prędkościach autostradowych we znaki daje się z kolei głośna praca silnika. Sam silnik ma znakomitą renomę. I chociaż mógłby mieć jednak nieco większą liczbę koni mechanicznych (np. 204 KM, czyli dokładnie tyle, ile ma model bezpośredniego japońskiego konkurenta), to auto i tak wydaje się całkiem dynamiczne, a jednocześnie bardzo oszczędne. Średni apetyt na paliwo na trasie, autostradzie oraz w mieście wyniósł 8,4 l/100 km. Na drogach krajowych można jednak zejść w okolice 6 l/100 km.

Cena bazowa Isuzu D-Max 1.9 AT wynosi 179,9 tys. zł. Wersja testowa, wyposażona m.in. w roletę aluminiową, wyceniona była na 244,7 tys. zł. ©℗

TELEWIZOR SAMSUNG S90D

Świetna jakość obrazu, rewelacyjny kontrast, bardzo szerokie kąty widzenia, czarna i głęboka czerń, smukła konstrukcja oraz łatwy w obsłudze interfejs – to największe zalety telewizora południowokoreańskiej firmy.

Testowany model sytuuje się gdzieś pomiędzy średnią a najwyższą półką cenową. Wzornictwo jest minimalistyczne, a sam telewizor niebywale smukły. Podobać może się też wyjątkowo cienka ramka wokół ekranu (ma zaledwie 1 mm szerokości).

Jakość obrazu jest świetna. Wprawdzie można znaleźć na rynku konkurencyjne modele z jeszcze dokładniejszą reprodukcją barw w ustawieniach fabrycznych, ale w przypadku S90D naprawdę nie można narzekać. Z kolei biel jest czysta, a czerń czarna i głęboka. Telewizor dobrze radzi sobie również z szarościami. Największe wrażenie robią zaś niemal nieskończony kontrast oraz bardzo szerokie kąty widzenia.

Telewizor został wyposażony w procesor NQ4 AI Gen2, który wykorzystuje algorytmy sztucznej inteligencji do polepszania dźwięku oraz obrazu. Gracze docenią z kolei stosunkowo niskie opóźnienie sygnału, cztery porty HDMI 2.1 oraz częstotliwość odświeżania ekranu na poziomie 144 Hz.

Po stronie plusów zapisać muszę także jakość dźwięku płynącego z wbudowanych głośników. Nie zastąpią one co prawda zestawu do kina domowego, ale z powodzeniem sprawdzą się w przypadku seriali czy filmów, powinny też zdać egzamin podczas słuchania muzyki. Wysokie tony są pełne detali, a i do basu nie bardzo jest się jak przyczepić.

Wady? Po pierwsze, próżno tu niestety szukać Dolby Vision czy Chromecasta. Po drugie, wprawdzie system Tizen OS został wyraźnie ulepszony, ale nadal działa nieco za wolno. Po trzecie wreszcie – podstawka nie robi wrażenia szczególnie solidnej. Mimo tych minusów model S90D to jeden z ciekawszych, które można obecnie kupić, nie wydając fortuny.

Cena? Za wersję 55-calową trzeba obecnie zapłacić 4099 zł. Model S90D w rozmiarze 65-cali to wydatek rzędu 6499 zł, 77 cali kosztuje 8599 zł, a za wersję z ekranem o przekątnej aż 83 cali trzeba już zapłacić 12349 zł. Przy zakupie koniecznie trzeba pamiętać, że w zależności od rozmiaru telewizory mają różną matrycę (WOLED lub QD-OLED). ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 1d5b8d9732

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Lincze miejskie

JACEK KOMUDA

Myliłby się ten, kto sądzi, że w XVII w. tylko szlachta urządzała awantury i swawoleństwa. Gwałtowników łamiących prawo nie brakowało także wśród mieszczan. Którzy też zresztą solidarnie występowali przeciwko szlachcie i starostom łamiącym ich przywileje bądź naruszających spokój. W wielu miasteczkach zdarzały się zatem sceny przypominające późniejsze lincze znane z dziejów Dzikiego Zachodu w USA.

Pierwszym znanym ośrodkiem, którego mieszkańcy reagowali żywo i brutalnie na wszelkie przejawy szlacheckiej samowoli, był Drohobycz w województwie ruskim. Na początku XVII w. miasteczko znajdowało się w stanie ciągłej wojny z rodziną Ramułtów, która urządzała zajazdy na mieszczan. W 1603 r. szlachcice poranili w miasteczku dwóch ruskich księży, a trzeciego – Fiodora, popa raniowskiego – zabili. Mieszkańcy uderzyli wówczas w dzwony i zebrawszy się do gromady, zaatakowali dwóch przedstawicieli rodu. Rozwścieczeni rozpędzili czeladź, a sami Ramułtowie przeżyli tylko dlatego, że cudem udało im się wyrwać z rąk rozwścieczonych mieszczan i schronić w kościele.

Innym razem ludność zareagowała ze wściekłością na burdę, którą wzniecili Marcin Grzybowski i niejaki Kożuchowski. Mieszczanie wykrzykiwali ponoć: „Bij! Zabij! Mamy ich czym zapłacić, zrzuciwszy się po sześciu groszy!”. Zabili Grzybowskiego, a Kożuchowskiego wrzucili do miejskiego więzienia.

Podobne zdarzenie miało miejsce w Krośnie w 1633 r., gdzie zatrzymał się podkomorzyc sanocki, Stanisław Sienieński, i niepokoił mieszczan swawolnymi wybrykami. Swawola ta nie trwała długo, wkrótce w mieście uderzono w dzwony, jak pisze Łoziński: „Cała męska ludność, tym razem nie wyjmując i Żydów, uderzyła zbrojnie na podkomorzyca i jego towarzyszy. Jeden z nich został zabity, a pojmany Sienieński znalazł się w więzieniu ratuszowym, skąd go dopiero po pewnym czasie wypuszczono”.

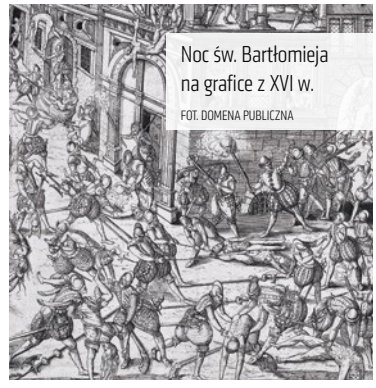

Noc św. Bartłomieja na grafice z XVI w.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jeszcze gorszej zemsty dokonała w 1613 r. na szlachcicu Tomaszu Błudnickim ludność miasteczka Kołomyja. Kiedy ze służbą jechał saniami do Lwowa, ogromny tłum zastąpił mu drogę, a potem porwał z sanek i zawlókł do saporowieckiego lasu. Tutaj pop Hrehory Oseredko nakazał mu uklęknąć i spowiadać się, jak podaje w aktach grodzkich syn Błudnickiego – „z urąganiem i bluźnierstwem wielkim przeciwko wierze katolickiej”. Następnie sam pierwszy uderzył go w pierś rohatyną albo oszczepem, przebijając ciało na wylot, „za czym i insi wszyscy hurmą wielką przypadłszy, kto jako i czym mógł, siekli, kłuli okrutnie, już zabitemu haniebne rany rozmaite zadawali”. Mieszczanie zrabowali szkatułę, w której było 2 tys. zł, i papiery, szablę, łuk, sajdak. Na koniec, rozebrawszy szlachcica do naga, ułożyli ciało na sankach i pojechali na błota, aby utopić je w rozlewiskach.

Tak samo zaprowadzono do lasu dwóch służących Błudnickiego, zamordowano ich i ciała utopiono. W zbrodni tej uczestniczył cały tłum mieszczan: 400–500 osób, jak podawał potem syn zabitego, który wrócił z wojny polsko-moskiewskiej i natychmiast wytoczył proces przywódcom mordu. Ostatecznie uzyskał na nich wyroki śmierci, infamii i konfiskaty majątków, ale w 1620 r. rodzina Błudnickich dała się przejednać, przyjąwszy zapewne znaczny okup od mieszczan kołomyjskich, po czym uwolniła ich od zarzutów. Zdarzenie to stało się po latach inspiracją do napisania przez Józefa Hena książki „Crimen” i nakręcenia w 1988 r. serialu pod tym samym tytułem. Wykorzystano w nim jednak nie tylko zabójstwo Błudnickiego, lecz także krwawe zdarzenie, które miało miejsce we Lwowie w 1618 r. Wówczas bowiem przejeżdżający ul. św. Jana szlachcic Jan Kurnatowski dopuścił się jakiejś burdy na mieszkających tutaj Ormianach. Wówczas wszczęły się rozruch i awantura, mieszczanie pod przewodnictwem Krzysztofa Chaczki rzucili się na szlachcica i – co ciekawe – ukamienowali go. Jak pisze Władysław Łoziński, była to iście biblijna zemsta. „Wszystko, co żyło na tej ulicy, nawet kobiety i dzieci – poczęły miotać kamienie na Kurnatowskiego”.

Liczba miast i miasteczek, których mieszkańcy słynęli z awanturnictwa albo też srogo odpłacali szlachcie za zniewagi, jest bardzo duża. Na Kujawach słynął z tego Radziejów, którego mieszczanie nie raz i nie dwa brali udział w zajazdach. Na przykład w 1700 r. przyłączyli się do Macieja Gąsiorowskiego wyprawiającego się na Mariannę Mniewską, uczestnicząc w zajeździe pod dowództwem własnego burmistrza Walentego Psełdowicza. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

SIOSTRY GOTUJĄ

Możemy zaszaleć

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

W najbliższy wtorek przypada ostatni dzień karnawału, popularnie nazywany „śledzikiem". Skąd nazwa ta pochodzi i dlaczego jest tak popularna? Ostatki to czas, kiedy kończy się karnawał i możemy po raz ostatni przed Wielkim Postem zaszaleć kulinarnie, zaczynając od tłustego czwartku, a kończąc we wtorek przed Środą Popielcową. Ten czas to zapusty.

Dawniej, chociaż pewnie też teraz, w niektórych domach organizowano imprezy towarzyskie, a stoły uginały się od jedzenia i picia. Nazwa tego wieczoru – „śledzik" – pochodzi z rejonu Kaszub, gdzie śledź był jedną z potraw, która była tania i zarazem najbardziej dostępna przez cały rok. Doskonale też wpisywała się w postny charakter nadchodzącego czasu, czyli Wielkiego Postu. Nazwa ta, tak jak zwyczaj jedzenia śledzia, rozprzestrzeniła się na całą Polskę i teraz już nikt nie powie o wtorkowym wieczorze inaczej niż „śledzik". Tego wieczoru, oprócz suto nakrytego stołu, nie mogło zabraknąć kropli czegoś mocniejszego, ale tak to już jest, że rybka śledzik lubi pływać. Śledzik zwiastuje dobrą zabawę i nadejście postu, czyli 40 długich dni przemyśleń i małych wyrzeczeń kulinarnych. I dobrze, bo warto raz do roku dać sobie taki czas i odpuścić jedzenie mięsa oraz słodkości, a także picie alkoholu w oczekiwaniu na najważniejsze w Kościele katolickim święto – Zmartwychwstanie Pańskie. Dlatego warto we wtorkowy wieczór u kresu karnawału najeść się do syta, z umiarem oczywiście, jeszcze raz upiec faworki i pączki, zrobić wystawną kolację, zaprosić sąsiadów i cieszyć się wspólnym czasem.

FOT. ADOBE STOCK

My proponujemy na ten wieczór przepis na lekko „pijane śledzie" w wiśniówce. Według przepisu powinniśmy śledzie marynować minimum trzy dni, ale że czas goni, wystarczy jedna noc. Alkohol oczywiście wyparuje i nie będzie odczuwalny. Pozostanie jedynie wyjątkowy smak wiśni i pestek.

Śledzik

• 4–5 płatów śledziowych do namoczenia • szklanka wiśniówki • 3 liście laurowe • kilka ziaren ziela angielskiego • 2–3 cebule czerwone

Śledzie zalewamy wiśniówką, dodajemy liść laurowy i ziele angielskie, pokrojone cebule i odstawiamy na całą noc w chłodne miejsce. Po tym czasie płaty wyjmujemy, kroimy na mniejsze kawałki, układamy na półmisku i nakładamy salsę.

Salsa

• cebulka z marynaty • wiśnie z wiśniówki • świeży imbir – kawałek 2 cm • 2 łyżki octu balsamicznego • 2–4 łyżki oleju roślinnego

Cebulkę kroimy, wiśnie wypestkowane kroimy na kawałeczki, imbir ścieramy na tarce, układamy na pokrojonych śledziach. Ocet balsamiczny mieszamy z olejem i polewamy całość. Ozdabiamy świeżym koperkiem. ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Czechow

JOANNA BOJAŃCZYK

Z biblioteki znajomych wyłowiłam dwa tomy listów Antoniego Czechowa. Wydawnictwo Literackie, rok 1989. Wyblakła obwoluta, pod nią płócienna okładka – luksus, na który mało którego wydawcę dzisiaj stać. Przełożyły: Natalia Gałczyńska, Ałła Sarachanowa, Natalia Modzelewska. Książka wydana w czasach rozpadającej się komuny, łóżek polowych na ulicach i pęczniejącej nadziei na zmianę.

Wszystko było u Szekspira – powiedział ktoś. Władza, miłość, zazdrość, mędrcy, złodzieje i zbrodniarze. Ja powiedziałabym: wszystko jest u Czechowa. Wszystko, choć może władza i zbrodnia w mniejszym niż u Williama natężeniu. Za to uśmiech, nie raniący dowcip, ironia i delikatność.

Wyłączam Czechowa z niechęci, którą darzę Rosję i jej kulturę – cóż, urodził się Rosjaninem, nie jego wina. Nie ma w nim ani nienawiści do Polaków, którą miał Dostojewski, ani pogardy, którą żywił Tołstoj. A w jego rodzinnym Taganrogu dzisiaj rządzi okrutny ruski mir...

Skromny doktor z prowincji, syn sklepikarza z domu wyniósł skromny zasób lektur i nikły stopień wyrobienia towarzyskiego. Brak kapitału kulturowego, jak się dzisiaj mówi. Ale mu to nie przeszkodziło. Do wszystkiego doszedł sam. Skończył medycynę, został lekarzem i znanym pisarzem, nie straciwszy świadomości swoich źródeł.

„Niech no Pan napisze opowieść o synu pańszczyźnianego chłopa, młodym człowieku, który był przedtem chłopcem sklepowym i śpiewakiem cerkiewnym, gimnazjalistą i studentem, którego wychowywano w stosunku do zwierzchności, w całowaniu popów po rękach i hołdowaniu cudzym myślom, który dziękował za każdy kęs chleba, był wielokrotnie bity, biegał po korepetycjach bez kaloszy, wdawał się w bójki, dręczył zwierzęta, lubił zjeść obiad u bogatego krewniaka, kłamał przed Bogiem i przed ludźmi bez żadnej potrzeby, jedynie z poczucia własnej nicości..." – napisał w liście do wydawcy.

Urodzony w 1860 r., piękny mężczyzna, mam jego zdjęcie w telefonie, poznał Rosję od spodu właśnie dlatego, że sam z nizin pochodził. Widział rzeczywistość ruskiej prowincji w całym jej okrucieństwie i nieuchronności. Czytając listy do wydawców, kobiet, przyjaciół, rodzeństwa, wchodzi się na zaplecze Czechowowskich opowieści. Widzi się skorumpowanych naczelników, karciarzy, rozleniwione panienki.

Pisał już w gimnazjum, sława przyszła wcześnie, ale razem z nią kryzys i zwątpienie we własny talent. „Powodzenie wcale mnie nie cieszy. Wszystko, co teraz piszę, nie podoba mi się, wydaje się nudne, a wszystko, co roi się w głowie, jest interesujące, wzrusza i podnieca". Cały Czechow. Ach, gdyby wiedział, jak bardzo będzie kochany po 150 latach. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Elity kordonowe

W Europie rządzą kordony sanitarne i dlatego wydaje się, że to już końcówka demokracji warczących. W tej fazie znajduje się już większość europejskich demokracji. Cały mechanizm polega na ratunkowym tworzeniu kosmicznych i egzotycznych koalicji – byleby ten straszny czarny lud, wyzywany od populistów, nie dorwał się do władzy. Tego rodzaju postawy klasy politycznej mają co najmniej dwa efekty.

Pierwszy to niestabilność systemu. Kiedy wszyscy się zmawiają przeciwko jednemu, zaraz okazuje się, że – co prawda – można arytmetycznie wybory wygrać, ale jest to układ tymczasowy. I w Austrii, i we Francji – teraz też grozi nam to w Niemczech – po takich karkołomnych konstrukcjach tak uzyskana większość jest ciężka do utrzymania. Grożą więc chwiejne rządy i kolejne przyspieszone wybory. Dlatego widać, że to raczej może i ostatnia, a na pewno przejściowa forma walki starego z nowym. Jeszcze da się okordonić tych strasznych populistów, ale ta gra do jednej bramki coraz mniej zadowala suwerena.

Drugim efektem namawiania się wszystkich na jednego jest obnażenie ideowej iluzoryczności partii mainstreamowych. Okazuje się, że w sensie programowym można je jednak wszystkie sprowadzić do jednego postulatu – nie dać wygrać nowemu. Na bok idą wszystkie ideowe różnice, liberałowie idą pod rękę z lewicowcami, chadecy z zielonymi, byleby tylko namówić się na tego nowego. Pokazuje to pozorność programowych różnic i obnaża w końcu jedyną motywację – utrzymanie się przy władzy, nawet za cenę własnej, okazuje się, że pozornej tożsamości ideowej.

To rzeczywiście chyba ostatnia faza walki starego z nowym. Rozpaczliwa obrona, by jednak wszystko zostało po staremu. To znaczy, że elity polityczne Europy tracą powoli legitymację do przywództwa, skoro cała ta dotychczasowa rywalizacja na programy okazuje się tylko pozorami dla ubogich – wierzących, że to wszystko naprawdę.

Ale cała Europa wygląda z tym wszystkim nieciekawie. I jak tu się dziwić takiemu Trumpowi, że nie zaprasza Europy do stołu rokowań o nowym kształcie świata? A kogo on ma zaprosić? Przecież na pewno nie urzędników Unii, ale już wychodzi, że i przywódców większych państw europejskich też nie. No bo jak tu rozmawiać i o czym z przywódcami chwiejnych rządów, od samego ich powstania? Europa w jednym z ważniejszych dla niej momentów jest oniemiała, gdyż nie jest w stanie wykrzesać z siebie pomysłu na siebie samą. Widać wyraźnie, że europejskie elity się zużyły, a ich jedynym pomysłem stało się utrzymanie się przy władzy. Nawet za cenę trwałego zmarginalizowania Starego Kontynentu. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Przywróćmy Polsce zdrowie

Hasło Roberta Kennedy'ego „MAHA" („Make America Health Again", co można tłumaczyć jako „Przywróćmy Ameryce zdrowie") oficjalnie oznacza walkę z kryzysem zdrowotnym Amerykanów, w szczególności z chorobami przewlekłymi. Biorąc pod uwagę zapowiedzi i działania obecnego ministra zdrowia USA, oznaczać to będzie zmianę amerykańskiej polityki żywnościowej i rolnej, a przede wszystkim konfrontację z potężnymi politycznymi wpływami koncernów farmaceutycznych.

W Polsce, w porównaniu z USA, jakość żywności na szczęście nie jest jeszcze tak tragiczna, natomiast wszechwładza Big Pharmy – porównywalna. Mija właśnie pięć lat od ogłoszenia pandemii COVID-19 i dokładnie trzy lata od jej nie tyle formalnego, ile faktycznego odwołania. Nie muszę przypominać, że wraz z rozpoczęciem rosyjskiego militarnego rajdu na Kijów skończyła się nakręcana przez rządy i media psychoza. Upłynęło wystarczająco dużo czasu, by spróbować dokonać bilansu i oceny działań instytucji państwa wobec tego unikalnego doświadczenia (z każdym miesiącem przybywa badań, obserwacji i świadectw). Nie jestem naiwny, więc mogę założyć, że w przewidywalnej przyszłości nic podobnego się nie stanie. Dokonaniem takiego bilansu nie jest zainteresowany obecny obóz władzy, a tym bardziej dzisiejsza opozycja, bo musiałaby wystawić sobie bolesny rachunek.

Na świecie powstają jednak komisje i raporty dotyczące COVID-19. Ujawniają np. patologiczne mechanizmy i skalę zakupu szczepionek, śmierdzącą korupcję, procedurę zamówień i zwolnienie producentów szczepionek z odpowiedzialności za niepożądane powikłania poszczepienne. Pracownicy akademiccy, rady towarzystw medycznych, władze agencji rządowych, decydenci bardzo często uwikłani są w konflikt interesów. Widać to choćby po procesach lekarzy – sygnatariuszy apeli do władz w czasie pandemii ostrzegających przed szczepieniami i żądających odblokowania systemu ochrony zdrowia. Kolejne rozprawy są odraczane, ponieważ obrońcy skutecznie wnioskują o wyłączenie ze składów orzekających sędziów lekarzy, którzy są „na liście płac" koncernów.

Tymczasem Ministerstwo Zdrowia wprowadza elektroniczny system obowiązkowych i zalecanych szczepień i zapowiada drakońskie kary dla rodziców niechcących poddać dzieci szczepieniom. Jest to reakcja władz na opór społeczny i rosnącą świadomość rodziców. Polityka władz w czasie pandemii zniszczyła zaufanie obywateli do szczepień. Działania Roberta Kennedy'ego pozwalają mieć nadzieję, że z czasem i u nas uczciwość oraz zdrowy rozsądek wezmą górę. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Warkocz zaburzający

Może pani Małgorzata Kidawa-Błońska uznała, że była to jakby kołysanka? No nie wiem, nie wiem, ale wtedy musiałbym zapytać: A Pani to właściwie co śpiewano w dzieciństwie? Byłoby to ze względu na okoliczność bardzo obcesowe pytanie. Stop. Precedensów w ścisłym rozumieniu prawa w Polsce nie ma, ale w nieścisłym są i mamy oto doniosły precedens senacki. Stop. Otóż Szanowni Senatorowie i Osoby Senatorskie, od teraz możecie zwracać się do bliźnich w następujący np. sposób: „Śpij k.... jeb.na, śpij k....". Stop. Nie ryzykujecie nic, a ściślej rzecz ujmując, ryzykujecie jedynie zwrócenie uwagi. Stop. Napruty jak dziadka sweterek senator Lewicy, czyli grupy trzymającej władzę, Maciej Kopiec w te słowa był łaskaw zwracać się do parlamentarzystów, a ci w trosce o jego sławę oraz rozpoznawalność nagrali go w trakcie wypowiedzi, a film opublikowali. Stop. Sprawiedliwie przyznać należy, że ujęcia nie wzbudziły zachwytu pani marszałek Senatu Kidawy-Błońskiej, która w ramach surowych konsekwencji co zrobiła? Zwróciła mu uwagę. Stop. Tak tylko przypomnę, że napojony poseł Konfederacji, czyli grupy nietrzymającej władzy, Ryszard Wilk za o niebo mniej drastyczny występ w Sejmie został przez Konfederację zawieszony, a marszałek Szymon Hołownia chce mu dosolić 20 tys. kary. Stop. Kluczem do zróżnicowania reakcji może być trzymanie się bądź nie władzy... Warto pamiętać. Stop.

Bodnar zatrudniony chwilowo przez naród na stanowisku ministra sprawiedliwości rzekł, że wyroki Trybunału Konstytucyjnego są przez podwładnych Tuska niepublikowane, gdyż Sejm uchwałą stwierdził, że Trybunał utracił swoją rolę. Stop. Kiedy uświadomiono Bodnarowi, że sam kilka lat temu mówił, iż niepublikowanie wyroków TK to standardy białoruskie, a Sejm nie może decydować uchwałą o legalności czy nielegalności TK, podobnie jak nie może zakazać Słońcu świecić, wtedy Bodnar odpowiedział sprytnie, że ma miejsce sytuacja. Stop. W domyśle: ma miejsce sytuacja rewolucyjnego rozumienia prawa. Stop. Warto pamiętać.

Europosłanka z PO Marta Wcisło powiedziała, że ona nie widzi drożyzny i tyle. Stop. Jakieś malkontenckie marudy na złość rządowi skrzeczą o podwyżkach cen energii i o szybujących ku przestworzom cenach w sklepach, ale zapewne to nieprawda, bo blondynka ze zjawiskowym warkoczem przecież by to zauważyła, a tego normalnie nie widzi. Stop. Inna sprawa, że widzenie mogą jej zaburzać warkocz albo pensja z dodatkami, którą bierze z Parlamentu Europejskiego: szacunkowo od 50 do 70 tys. zł miesięcznie. Stop. Warto pamiętać. Stop. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Czas na samokrytykę AI

Ciekawymi poglądami popisywała się ostatnio tzw. sztuczna inteligencja, znana szerzej pod angielskim skrótem AI. Przekonali się o tym anglojęzyczni użytkownicy najnowszych modeli telefonów Apple. Potrafią one samodzielnie zapisywać dyktowane zdania, wykorzystując do tego sztuczną inteligencję. Okazało się jednak, że telefony Apple angielskie słowo „racist" (rasista) zapisują jako „Trump". Zaskoczeni użytkownicy zaczęli nawet publikować w Internecie filmy pokazujące innowacyjne funkcjonowanie swojego telefonu. Firma Apple usiłowała zamknąć sprawę niezbyt przekonującym tłumaczeniem, że oprogramowanie urządzeń nie radzi sobie jeszcze z odróżnianiem angielskich słów zawierających literę „r". Byłby to problem poważny – słów z literą „r" jest w angielszczyźnie bez liku.

Jak twierdzi prof. Peter Bell, zajmujący się rozpoznawaniem mowy na Uniwersytecie w Edynburgu, tłumaczenia te są fałszywe. Wymowa słów „racist" i „Trump" jest w angielszczyźnie odmienna i nawet niedosłyszący telefon nie powinien popełnić błędu. Zdaniem prof. Bella odpowiedzialnością za problem obciążyć należy człowieka. Podejrzenie, że sztuczna inteligencja w pierwotnym odruchu samoświadomości zdemaskowała Donalda Trumpa jako rasistę, wydaje się zbyt daleko idące.

Nie jest to pierwszy raz, gdy telefony Apple zaskakują swoich użytkowników. Niedawno podały one wiadomość, że znany tenisista Rafael Nadal zadeklarował bycie homoseksualistą. Informacjom tym zaprzeczył nie tylko hiszpański sportowiec, lecz także jego żona. Pomyłka wyniknęła rzekomo z błędnego funkcjonowania systemu AI, który omyłkowo zinterpretował wyszukiwane w światowych mediach informacje.

Na reakcję koncernu Apple nie trzeba było długo czekać. Firma ogłosiła właśnie, że wycofuje się ze stosowania praktyk DEI (diversity, equity, inclusion) w swojej polityce wewnętrznej. Pracownicy przestaną być zatrudniani na podstawie kryteriów „różnorodności", preferujących mniejszości rasowe i seksualne. Jak uzasadnia zarząd, pochopne promowanie „inkluzywności" kadrowej narażać mogło Apple na ryzyko w obszarach „sporów sądowych, reputacji i finansów".

Wygląda na to, że przypisywana Józefowi Stalinowi maksyma „kadry są najważniejsze" nawet w świecie cyfrowym potwierdza swą aktualność. Inteligencja może być sztuczna, ale pracujących z nią ludzi warto, na wszelki wypadek, dobierać pod ścisłą kontrolą. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby pomogło to zaawansowanym algorytmom AI w lepszym rozpoznawaniu słów. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Co czyta premier?

Do czego mogą służyć szwedzkie kryminały? Na przykład do analizy polskiego życia parlamentarnego i przenikania poza zasłonę politycznej propagandy kierującej się „mową nienawiści". Premier Donald Tusk, broniąc z trybuny parlamentarnej panią minister od równości Katarzynę Kotulę, posiłkując się tytułem słynnej powieści Stiega Larssona, wskazał na właściwy powód, którym kierowali się posłowie PiS i Konfederacji chcący odwołać panią minister ze sprawowanego urzędu. Dzięki lekturze bestsellerowej powieści szwedzkiego pisarza premier Tusk posiadł pewną wiedzę, że nie chodziło o to, że minister Kotula nic nie robi poza „piastowaniem urzędu", że jako osoba magisterska poświadczała nieprawdę w oficjalnych dokumentach, że jej tłumaczenia o „automatycznym zaciąganiu" tych kłamstw „przez system" są żałosne. Nie, to tylko pozór. Jej odwołania domagali się „mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet".

Prezes Rady Ministrów nie tylko błysnął nowatorskim wykorzystaniem współczesnych skandynawskich powieści kryminalnych dla wsparcia „demokracji walczącej". Dał się poznać jako osoba wyczulona na „chrześcijańskie i liberalno-demokratyczne poszanowanie godności kobiet", którego to poszanowania nie uznają nienawistnicy z PiS i Konfederacji. Wiemy od pewnego czasu, że premier Donald Tusk był ukrytym, ale teraz coraz bardziej jawnym wielbicielem i znawcą nauczania św. Jana Pawła II. Papieża cytował podczas przemówienia w Parlamencie Europejskim, inaugurującego polską prezydencję w Unii Europejskiej. Czuł się w obowiązku pouczyć amerykańskiego wiceprezydenta J.D. Vance'a, który cytując w Monachium słynne słowa polskiego papieża o „otwieraniu drzwi Chrystusowi", nie rozpoznał ich właściwego sensu, którym było – jak nauczał D. Tusk – konsolidowanie oporu polskiego wobec Rosji.

Zionący „mową nienawiści" szczególarze zaczęli przypominać, że w chwili, gdy Jan Paweł II wypowiadał te słowa (inauguracja pontyfikatu w 1978 r.), nie było Rosji, tylko Związek Sowiecki, i że papież mówił, by Zbawicielowi otwierać drzwi „systemów politycznych, społecznych i gospodarczych" oraz „szerokie obszary kultury", a nie tylko drzwi jednego systemu (komunistycznego).

Pieczeniarze zaczęli wytykać prezesowi Rady Ministrów, że cytując Jana Pawła II, jednocześnie robi wszystko przez podległy sobie resort kultury i dziedzictwa narodowego, aby doprowadzić do zniszczenia toruńskiego Muzeum Pamięć i Tożsamość św. Jana Pawła II, że usuwając z list wyborczych i stanowisk państwowych wszystkich działaczy PO, którzy nie dość jednoznacznie wspierają „prawo do aborcji", promuje cywilizację śmierci, z którą całe życie walczył Jan Paweł II. No i to powoływanie się na chrześcijaństwo w kontekście obrony minister Kotuli! Osoby, która brała udział w marszach pod znakiem czerwonego pioruna, charakteryzujących się szczególnie wulgarnymi atakami nie tylko na duchowieństwo katolickie, lecz także na największe świętości oraz na zwykłych wiernych, którym zakłócano Msze Święte i dewastowano ich świątynie.

Jak więc widać, „demokracja walcząca" ma co robić, by chronić naszą sferę publiczną przed falą hejtu, dezinformacji i obcych ingerencji. Już pod koniec XVIII w. politycy promujący we Francji „rządy cnoty" (też chodziło wtedy o walkę z kłamstwem „klechów" i „obcą ingerencją" emigrantów – monarchistów) deklarowali, że „nie ma wolności dla wrogów wolności". A kto rychło w czas nie zrozumie, na czym polega „prawdziwa wolność", będzie miał tête-à-tête z Obywatelką Gilotyną i straci dla niej głowę.

Jak więc widać, „demokracja walcząca" ma co robić, by chronić naszą sferę publiczną przed falą hejtu, dezinformacji i obcych ingerencji

Dziesiątki tysięcy wandejskich chłopów boleśnie się o tym przekonało. Wysyłający ich oraz innych „wrogów Republiki" (a wystarczyło nawet podejrzenie) na szafot Maksymilian de Robespierre rozpoczynał w 1789 r. swoją karierę w Stanach Generalnych jako zadeklarowany przeciwnik kary śmierci. No, ale tak się zaangażował w promowanie „rządów cnoty", tak się starał uczynić z Republiki „żarliwą wspólnotę" (Saint-Just), że po drodze zapomniał o swoich wcześniejszych przekonaniach.

Gdzie tam Donaldowi Tuskowi do „Nieprzekupnego"! Ale słowa przestrogi przed „mową nienawiści" w ustach polityka, który w sierpniu 2010 r. antychrześcijański seans nienawiści na Krakowskim Przedmieściu nazywał „happeningiem", skłaniają do zadumy nad właściwym sensem słów. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

BUFOR

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Amerykanie chcą dostępu do złóż metali na Ukrainie. Gdy Ukraina (w ramach spłaty swoich długów) odda złoża w dzierżawę, wówczas przyjadą tam Amerykanie i staną się… BUFOREM pomiędzy Rosją a Polską. Ruscy nie będą atakować terenów, na których są Amerykanie. Takie rozwiązanie wzmacnia bezpieczeństwo Polski dużo bardziej niż to, co mamy teraz.

Europejskie koncepcje zabezpieczenia się przed Putinem poprzez wciągnięcie Ukrainy do NATO są żałosne, bo nierealne. Największym udziałowcem NATO są Stany Zjednoczone. Bez ich zgody Ukraina do NATO nie wejdzie. Skoro Ameryka mówi „nie", to gadanie o przyjmowaniu traci sens. Europejscy przywódcy marnują czas.

***

Oficjalne stanowisko USA jest takie: umiarkowanie utalentowany komik, Wołodymyr Zełenski, naciągnął Stany Zjednoczone na kwotę 350 mld dol., aby toczyć wojnę, której nie dało się wygrać. Złośliwa wzmianka na temat komika pochodzi od prezydenta Trumpa, natomiast cała reszta jest OFICJALNYM stanowiskiem USA, które prezentują sekretarz stanu, sekretarz obrony, finansów, kongresmani, senatorowie…

Stwierdzenie, że ktoś „naciągnął" Amerykę, oznacza, że jest to sprawa o wyłudzenie. Są na to paragrafy – za wyłudzenie można trafić do więzienia, a ponadto trzeba oddać to, co się wyłudziło.

W Polsce popularną formą wyłudzenia było „na wnuczka" – wyłudzający podawał się za zaginionego wnuka i przekonywał łatwowierną starszą osobę, by mu udzieliła pomocy finansowej. Czytali państwo o tych aferach wiele razy. I nie ma znaczenia, że starsza osoba płaciła dobrowolnie – wyłudzenie tym różni się od kradzieży, że przestępca doprowadza ofiarę do stanu, w którym ofiara płaci z własnej woli. W przypadku USA starszą osobą był Joe Biden, a wnuczkiem Zełenski. Obecnie do domu (białego), w którym mieszkał dziadek Biden, przyszli ludzie mniej naiwni, odkryli przestępstwo i zabrali się do odzyskiwania wyłudzonej forsy.

***

Trump o Zełenskim: naciągnął Stany Zjednoczone na 350 mld dol., a do tego przyznaje, że połowa pieniędzy, które mu wysłaliśmy „ZAGINĘŁA". Niech się lepiej weźmie w garść albo z jego kraju nie zostanie nic. W międzyczasie my z dużym powodzeniem negocjujemy koniec wojny z Rosją. Biden nigdy tego nie próbował, Europa też nie potrafiła zaprowadzić pokoju, a Zełenski prawdopodobnie chce nadal ciągnąć kasę.

Minister Sikorski powiedział: Przypominam Trumpowi, że to MY jesteśmy obrońcami Ukrainy. Odpowiem: Ależ bądźcie sobie obrońcami Ukrainy, ile tylko chcecie. Trumpowi właśnie o to chodzi, że Ameryka nie ma zamiaru być obrońcą Ukrainy kosztem własnych obywateli.

Europa może się na takie stanowisko złościć i zżymać, ale nie jest w stanie niczego zmienić. Europa się nie liczy, bo nie ma w ręku mocnych kart. Podobnie jak po drugiej wojnie światowej, gdy Europa była wyniszczona i słaba, a mocne karty mieli jedynie Amerykanie i Ruscy. Wtedy, tak jak i dziś, Amerykanie dogadali się z Ruskimi na nowy podział ziem celem zakończenia wojny. Polska została sprzedana Stalinowi w zamian za pokój, a Niemcy zostały podzielone na wschodnie i zachodnie.

Obecnie Europa jest wyniszczona kryzysem – nałożyła na siebie takie ograniczenia gospodarcze, które powodują, że jest niekonkurencyjna. Opłaty emisyjne, ograniczenie produkcji, rolnictwa, Zielony Ład. Europa nie ma w ręku innych kart poza buńczucznymi oświadczeniami polityków. Nie ma silnej armii, lecz armię niedofinansowaną i nieprzygotowaną do wojny oraz niedoświadczoną w prawdziwym boju. Ameryka ma armię doświadczoną i mocne zaplecze gospodarcze, by tę armię powiększyć i zbroić. Europa nie jest w stanie obronić się bez Ameryki. Ameryka jest się w stanie obronić bez pomocy Europy. Obronić lub… dogadać z przeciwnikiem.

Trump: Europa jest słaba. Nie udało jej się doprowadzić do pokoju. Miałem dobrą rozmowę z Putinem i nie za bardzo z Zełenskim. Ameryka musi odzyskać pieniądze zainwestowane w Ukrainę! Jeśli Ukraina nie zgodzi się na oddanie części zysków ze złóż, to USA odłączą ją od swojej sieci satelitów telekomunikacyjnych.

***

Rozmowy pokojowe odbywają się w Arabii Saudyjskiej. Czemu tam? Ameryka, Rosja i Arabia produkują ropę i gaz. Europa kupuje tę ropę i gaz. Trzej dostawcy paliw to ogromna siła, a gdy w jakiejś sprawie zaczynają mówić jednym głosem, wówczas Unia Europejska musi klęczeć pod drzwiami i grzecznie słuchać, co jej każą wykonać.

Szef amerykańskiej dyplomacji, Marco Rubio: Rozmowy w Arabii Saudyjskiej to był duży postęp. Ustalono przywrócenie pracy ambasad oraz kilka innych rzeczy.

Zełenski nie był zaproszony. Obraził się i nie przybył na kolejne spotkanie. Uważa, że takie spotkanie to ukłon w stronę Putina. Ma rację. Tylko co konkretnego z tej jego racji wynika? Nic.

***

Amerykanie chcą podziału Ukrainy podobnego jak ten, który nastąpił po drugiej wojnie światowej, gdy podzielono Niemcy. Część wschodnia Niemiec poszła w łapy ruskie, bo Stalin był silny. Część zachodnia została pod kontrolą Amerykanów. Alternatywą byłaby wojna USA z ZSRS jako kontynuacja drugiej wojny światowej. Wybrano układ niesmaczny, ale pokojowy.

Dziś USA chcą od Ukrainy dostępu do złóż metali, aby odzyskać forsę wyłudzoną i sprzeniewierzoną w ramach „pomocy wojskowej". Ukraina ma spłacić całą tę forsę, którą ukraiński prezydent brał „na wnuczka". Gwarancją bezpieczeństwa Ukrainy będą nie czołgi i broń, lecz koncesje na wydobycie, bo koncesje oznaczają amerykańskie przedsiębiorstwa, dzierżawy i inwestycje na terenie Ukrainy Zachodniej. A na Ukrainie Wschodniej będzie rządził Rusek, tak jak kiedyś w Niemczech Wschodnich. To układ może i niesmaczny, ale pokojowy. A Polska przy takim układzie będzie miała darmowy bufor od wschodu, czyli dużo lepiej niż teraz, gdy pompujemy forsę w tę wojnę. ©℗

eprasa.pl 1d5b8d9732

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

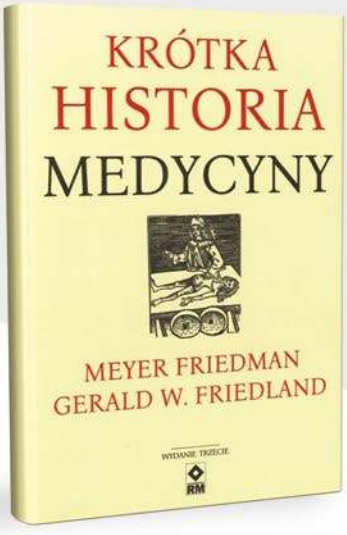

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

MEYER FRIEDMAN, GERALD W.FRIEDLAND:
„KRÓTKA HISTORIA MEDYCYNY"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~756 ZŁ~~

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 465ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1d5b8d9732

W ROKU 1618 I RZECZPOSPOLITA OSIĄGNĘŁA SZCZYT SWEJ POTĘGI.
JAK DOSZŁO DO TEGO, ŻE TAK WIELKIE, DUMNE I POTĘŻNE PAŃSTWO PRZESTAŁO ISTNIEĆ?

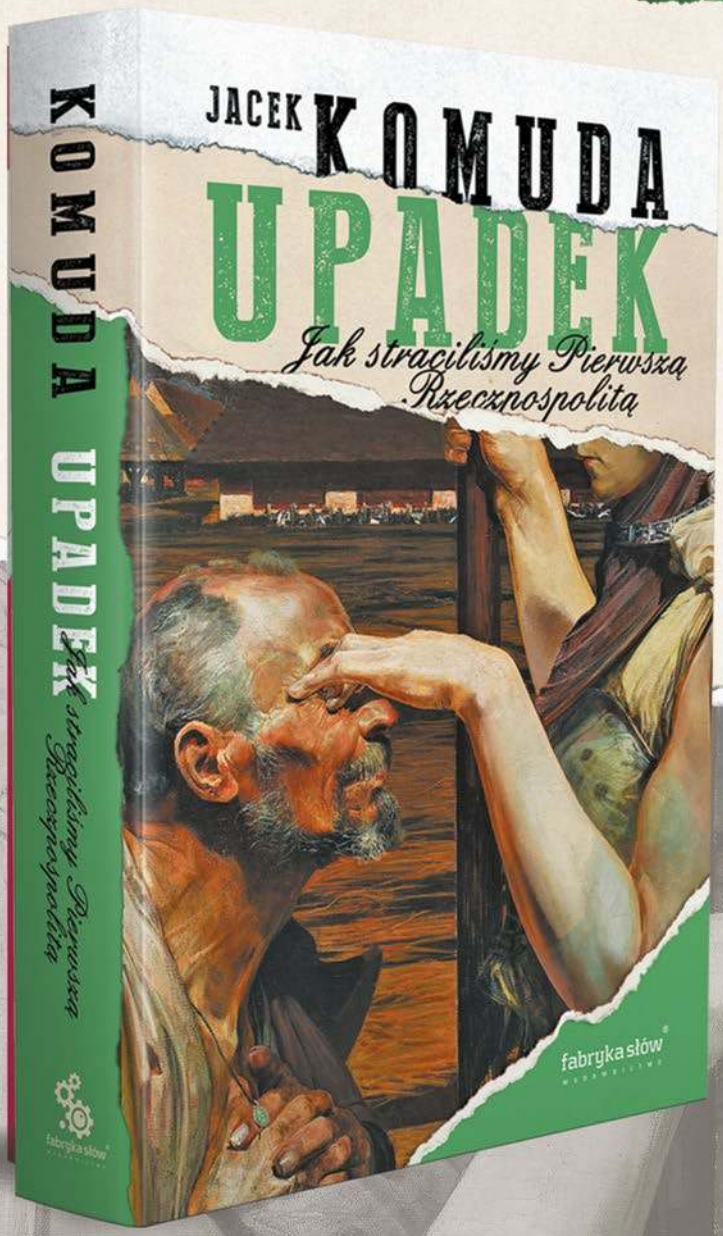

Jej terytorium zajmowało ponad milion kilometrów kwadratowych, rozciągało się między dwoma morzami i było istnym tyglem kulturowym. Do końca XVIII wieku ten kolos całkowicie znikł z mapy Europy. Znikła nie tylko pamięć o Rzeczypospolitej, ale nawet jej nazwa…

fabryka słów
WYDAWNICTWO

PREMIERA 26.02.2025

patronat medialny

DO RZECZY
Wielka HISTORIA
HISTORIA RZECZY
HISTORIA .ORG.PL
granice.pl
ciekawostki historyczne.pl

eprasa.pl 1d5b8d9732